

5
ay
ia



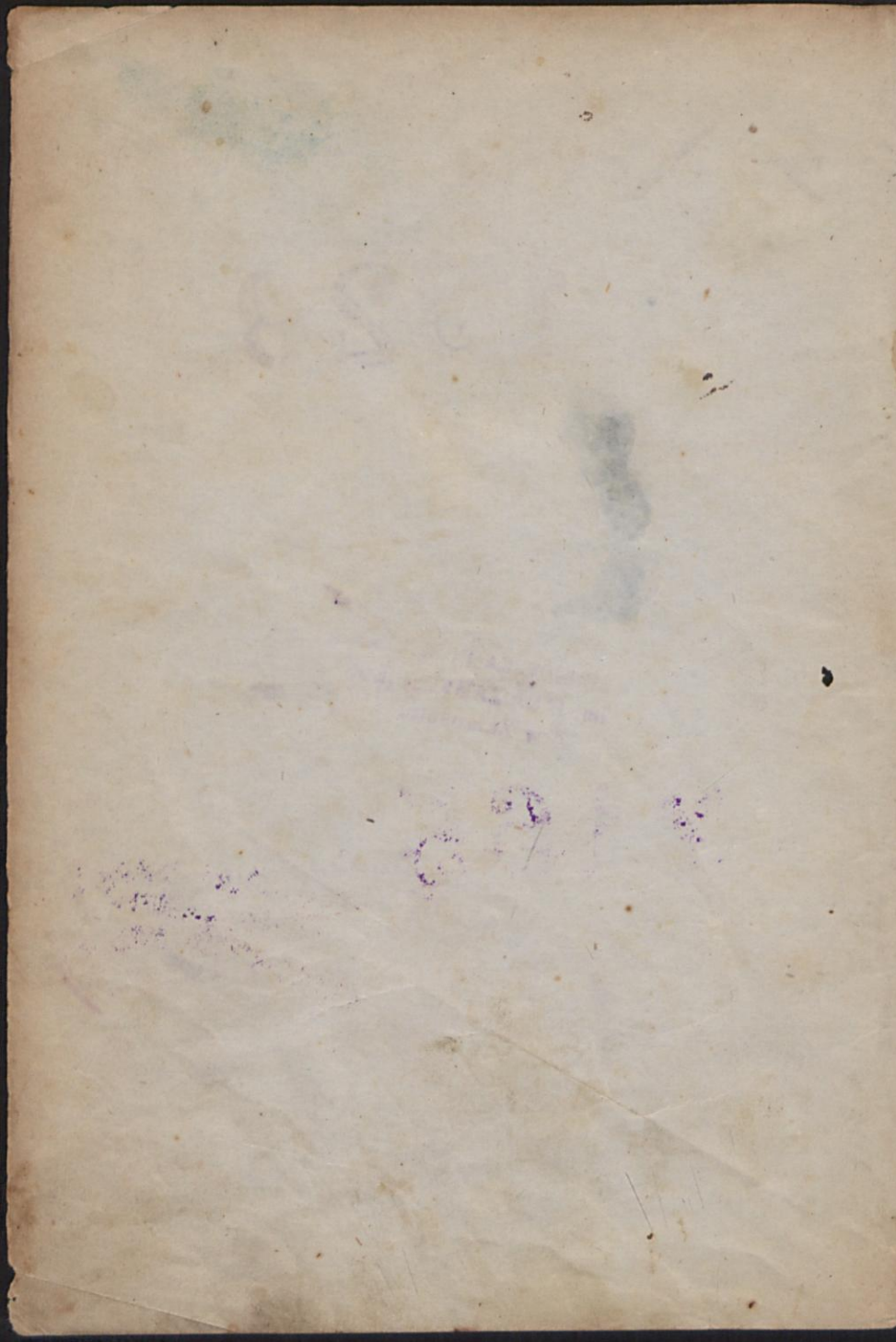
~~2/165~~

~~1329~~

1329

~~BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. JANA ZAMOŚCIEGO
w Zamościu.~~

GABINET CZYTELNICZY KRAJO IV.
Poznań
pierwotne sumienie ten, kto
do jedynego twórcy, a
kulturalnego, wyl-wartości
szlachetnym humanitarny
idealów.
Chmielna 23. p. z. G. L. i K. LICHTAŃSKICH WARSZAWA



9
~~_____~~
OPINIA PARAFIALNA.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARJASIEWICZA.

~~2165~~



WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.

OZCIONKAMI GAZETY LEKARSKIEJ.

Ulica Śto-Krzyzka Nr. 1343 (nowy 9).

1872.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejska i Narodowej
w Zamósćiu

1329

S

Дозволено Цензурою.

Варшава, 13 (25) Сентября 1872 года.

8-3 884-3

Zach

Opin

Księgozbiór BP



10098894

Zamosc ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

14037 P

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Stron.
I. Parafia	1
II. Arystokratka Parafialna	14
III. Alodya	22
IV. Parafianka	29
V. Figle szatana	36
VI. Marzenia	40
VII. Major	51
VIII. Dwaj dyplomaci	57
IX. Prosper	64
X. Błędne ogniki	71
XI. Strategia majora	78
XII. Niedziela w parafii	89
XIII. Kościół parafialny	95
XIV. Wielki nieznajomy	101
XV. Przed kościołem i na rynku	111
XVI. W pałacu	118
XVII. Kontramarsz majora	123
XVIII. Niespodzianka	134
XIX. Sytuacya	147
XX. Kto winien?	154
XXI. Nowe marzenia	162
XXII. Dawna pokusa	166

	Stron.
XXIII. Zaprosiny	176
XXIV. Kłopoty parafialne.	182
XXV. Mały nieznamy	187
XXVI. Nowiny	199
XXVII. Herbata z hrabią	204
XXVIII. Pieśń bez słów	210
XXIX. Książki	216
XXX. Zagranicą	220
XXXI. Kandydat	227
XXXII. Na statku	234
XXXIII. Przy ruinie	248
XXXIV. Katastrofa	252
XXXV. W Szczawnicy	260
XXXVI. Dawny nieznamy	267
XXXVII. Znamość z nieznamym	271
XXXVIII. Matka i córka	277
XXXIX. W parafii	285
XL. Wizyta	293
XLI. Mała bohaterka.	300
XLII. Plan tajemniczy	310
XLIII. Skutki burzy	314
XLIV. Laury majora	319
XLV. Wesele i smutek	326

I.

P A R A F I A.

Parafia nasza, która w niniejszej powieści występuje, jest parafią w szerszym znaczeniu tego słowa. Nie ogranicza się ona na jednej miejscowości, ale zajmuje spory kawał powiatu, chociaż do niej przeważnie tylko tak zwani właściciele większych posiadłości należą.

Punktem środkowym tej parafii jest małe, prawie zupełnie żydowskie miasteczko z białym, murowanym kościołkiem, w którym gospodarzy sędziwy proboszcz łacińskiego obrządku.

Lud okoliczny jest obrządku grecko-katolickiego i w każdej prawie wsi ma swoje cerkwie parafialne. Dwory zaś, obrządku łacińskiego, mają kościół parafialny w miasteczku.

Ztąd też pochodzi, że okoliczni dworaków mieszkańcy w promieniu więcej niż milowym, mają jeden kościół parafialny w miasteczku, i tworzą dosyć sporą liczbę.

Z taką to parafią mamy się teraz zapoznać.

Ktoś powiedział, że chcąc poznać społeczeństwo, trzeba poznać jedną jego cząstkę, która pewną całość stanowi, bo w tej cząstce, jakby w miniaturze obaczy prawie wszystkie dobre i złe strony społeczeństwa.

Do takich zamkniętych w sobie cząstek bezprzeczenie należy — parafia.

W parafii jest w skupionych rysach to wszystko, czego w szerokiej sferze społeczeństwa dopiero z trudem i oględnością szukać potrzeba.

Ujemne osobliwie strony społeczeństwa, które na szerszej ocenie przy blasku wyższej cywilizacji i wszechwładnego postępu nie bardzo rażą patrzące oko, występują tutaj w pierwotnej swojej świetności i są niejako zbiornikiem tych sił ciemnych, które tam gdzieś po za parafią walczą z nowszymi wyobrażeniami.

Otóż z tego stanowiska patrząc na naszą parafię widzimy w niej naprzód same piękne i dodatnie strony, które mniej więcej każda parafia posiada.

Do tych stron należy przedewszystkiém rygor sądu, i wzajemna, nieubłagana kontrola.

To też zasłużyć sobie na prawdziwą cześć w parafii, należy prawie do rzeczy niemożliwych.

Po za parafią można jednym, świetniejszym epizodem życia zyskać sobie wawrzyny i opinią publiczną przychylić na swoją stronę. Na szerszej bowiem ocenie życia widzi się tylko człowieka jak aktora w tej lub owej roli i stosownie do odegrania téjże daje się mu poklask lub spędza sykiem z widowni.

W parafii o syk łatwo, ale o poklask bardzo trudno!

Tam bowiem zna się wszystkie momenty życia człowieka, tam patrzy się na niego i wtedy, gdy on wcale nie pozuje, ale jest tém, czém jest w istocie. Tam widne są najsubtelniejsze pobudki tych lub owych czynów, i z aptekarską subtelnością odważone. Aktorskie szaty poznają tam odrazu, a ktoby mimo to chciał się choć na chwilę w nie ubrać, niech będzie pewny, że zostanie wysmianym!

To téż parafia jest więcej skłonną do ostracyzmu niżeli do rozdawania wawrzynów i to stanowi czasem ujemną jej stronę.

Wydarza się bowiem czasem, że parafia pewno nieporozumiała się jeszcze dostatecznie z postępem czasu i żyje sobie spokojnie w swoich przedpotopowych wyobrażeniach. W takiej to parafii biada każdemu wyższemu umysłowi, każdemu ruchliwшему człowiekowi, który chciałby parafię swoją pchnąć na lepsze tory! Ukamienowan będzie i wyświecon nie mając jednej całej nitki na sobie!

Parafia bowiem taka nie lubi żadnych wyróżnień form tych, jakie z sobą przyniosły wiekowe tradycje; jest ona przedewszystkiém zasad najściślej zachowawczych.

Z takiej parafii wychodzą często na naszą arenę społeczeństwa ludzie wielkiej siły i energii, aby walczyć przeciw wszystkiemu, czego ich parafia nie uznaje! Taką, wielką parafią była w swoim czasie Vendea, walcząca za Burbonami!

Już to co do wyobrażeń wiekowych, które tam gdzieś w pierwszych szeregach ludzkości z sobą walczą, postępuje czasem parafia o wiek w tyle i broni się przeciw wszelkim nowościom z heroiczną odwagą.

Jeżeli parafia taka w okręgu wyborczym górę wzięmie, to wysłała do sejmu posła z parafialnym sztandarem, który tam nie da się zbić z toru ani nawoływaniom dzien-
nikarzy ani homerycznym śmiechom galeryi.

Poseł takiej parafii nie widzi w sejmie ogólnych ko-
rzyści kraju, ale drobne interesa swego kącika.

Przy rozprawach o ustawie drogowej, heroicznie wal-
czyć będzie o uznanie drogi przeryniającej parafię za
drogę krajową, a jeżeli ma wyższe zdolności, to pokaże
się nawet wykazać, że ta droga ma znaczenie strategiczne
i dla tego jako droga państwowa ma być budowaną z fun-
duszów państwowych.

Daléj przy téjże ustawie drogowej głósuje taki po-
seł za paragrafem, który orzeka że robotnika do dróg ma
dostarczać gmina miejska, a potrzebnego materiału —
dwory. Czyni on to z tém lekszém sumieniem, że drogi
w parafii nie mają mostów, a tém samém dwory uwolnione
są od dostarczania materiałów!...

Jeżeli zaś w rozprawach sejmowych z porządku rze-
czy nastąpią rozprawy o szkołkach dla ludu i rozpowsze-
chnienia oświaty, poseł parafialny jeżeli ma odwagę, wy-
stępuje wtedy zażarcie przeciw takim bezbożnym rzeczom,
które robotnika na wsi podrożają, albo zabłyszczą nieo-
becnością, jeżeli ta nieobecność jego nadwiera komplet
potrzebnych do uchwały głosów.

W ogóle poseł takiej parafii bez względu na to, ja-
kiej barwy jest obecne ministeryum, zasiada zawsze na
prawej stronie, bo jemu się zdaje, że przedewszystkiém
bronić musi istniejącego porządku rzeczy przeciw któremu
spiskują adwokaci i professorowie!

Jeżeli poseł parafialny przeszedłszy przez alembik sejmowy dostanie się jako delegat do Wiednia, to już go ztamtąd żadna siła opinii nie wyprze. Wyrozumowawszy bowiem sobie, że lepiej jest siedzieć w Wiedniu niżeli w Kołomei lub Bożeżanach, będzie tam siedział choćby sam jeden, choćby cały kraj mu powiedział, że tam nie robić nie ma!...

Jeżeli zaś rzeczywiście z Wiednia wyjedzie to będziecie pewni, że nie wyjeżdża tak na sucho. Korzystając z długiej kadencyi rady państwa, wyrobił sobie biedaczysko małą konCESSYJKĘ na kolej żelazną, albo jaki bank eksploatacyjny, albo przynajmniej uzyskał za wyższą instancję tytuł i płacę radcy administracyjnego, czyli mówiąc ulubionym językiem galicyjskim — Verwaltungsrate jakiegoś towarzystwa, chociażby w Besarabii!...

Poseł bowiem parafialny jest przedewszystkiem patryotą praktycznym i z ironicznym uśmiechem zapoznanego męża stanu czyta ramoty dziennikarskie, w których osoba jego nie przedstawia się w świetle bardzo korzystném.

Gdy wraca z laurami do swojej parafii, wtedy potrzeba mu wielkiej ostrożności!

Parafia bowiem dla swoich mandataryuszów jest czasem okrótne nieubłaganą.

Bywały wypadki, że poseł z podobnej ale chłopskiej parafii, gdy wrócił do parafii z wiedeńskiej rady państwa nie załatwiwszy tam kwestyi obiecanych komittentom łąk i lasów dominialnych, pociągniony był w sposób bardzo prosty i patryarchalny do odpowiedzialności i dopiero

po wyliczeniu kilkunastu plag na ławie karczemnej otrzymał absolutorium za swoje czynności poselskie.

Poseł z dworskiej parafii nie ma się wprawdzie podobnego traktamentu obawiać, ale za to wisi nad nim nie mniej zastraszająca zmora plag moralnych.

W parafii, jak w sejmie lwowskim i jak wszędzie na świecie jest także i opozycja, która stanowi tak zwane prawo mniejszości.

Wracający z jakim korzystnym dla siebie nabytkiem poseł do parafii, ma przedewszystkiem na oku tę krzykliwą klikę ludzi, których czems udobruchać potrzeba.

Najprzód wyprawić parafii smaczny, wymieniony obiadek pod pozorem porozumienia się z swymi wyborcami. Obiady wyprawiali najwięksi dyplomaci, na obiadach radzono o losach Europy, bo obiady skłaniają ludzi do zgody.

Jaki taki po obiedzie już nie krzyczał na posła, a jeżeli znaleźli się jeszcze jacy, którzy nieprzychylnie postępowanie posła oceniali, to w obec głosów całej parafii zostali w nieznaczącej mniejszości i odgrywali co najwięcej takie role, jaką przy każdej kanonizacyi odgrywa tak zwany „advocator diaboli.“

Przechodząc z pola politycznego na pole często prywatne, tak zwana parafia odzwierciedla nam tutaj żywo to wszystko, co w szerokiej sferze społeczeństwa z sobą walczy lub się łączy.

Głównem tętmem życia w parafii jest ta sama *walka o byt*, na której *Darwin*, *Vogt* i *Haeckel* osnuli swoje dalekośnione teorie.

Jak wszystko co żyje, walczy o swój byt, tak samo każdy parafianin walczy o swój byt — w parafii.

Słowo to jednak „byt“ ma tutaj wcale inne znaczenie od podobnego słowa, jakiego używają wyż wspomniane tory apostołowie realizmu i materji.

„Byt“ naprzykład u pana Michała znaczy czysta hipoteka i wygrany proces o kawał lasu, który mu sąsiad w nieświadomości złego zagarnął!

Żona zaś pana Michała pod tém jednozgłoskowym słowem rozumie: nową suknię jedwabną na każdą wizytę, wierzch aksamitny do wyprawnych jeszcze sobolów, nowa karetka wiedeńska i nieudanie się małżeństwa między Alfonsem i Maryą, które jéj antagonistka pani Marcinowa proteguje.

Ponieważ zaś pan Michał dotąd hipoteki oczyścić ani do lasu przyjść nie może — a pani Michałowa w skutek tego także od marzonych ideałów jest oddaloną, przeto walka ich obopólna o ten „byt“ w parafii trwa ciągle.

Do „bytu“ pana Marcina potrzebny jest koniecznie tytuł marszałka powiatowego. Pan Marcin jest jakby stworzony na marszałka. Silny, barczysty, o rumianych policzkach przenosi głowę wszystkich parafian, a kuchnia jego i piwnica mają dobrą reputacyę w całej parafii. Prócz tego pani Marcinowa jest urodzoną hrabianką i posiada wszelkie przymioty damy wielkiego świata. Pałac z malowanym dachem i chorągiewką herbową, ogród angielski i służba w liberyi są dalsze akcesorya, tak wielce przydatne do laski marszałkowskiej! . Wprawdzie szwankuje temu coś co do powszechnéj estymy parafian, dla

tego pan Marcin mimo znacznych wydatków na trunki i afekty sąsiedzkie doprowadził tylko do wice-marszałkowskiego a walczy dotąd o cały tytuł!

Rozpaczliwie a nawet prawie z rezygnacją walczy w parafii o „byt“ swój — literat parafialny!

Biedny ten człowiek jest prawdziwym męczennikiem w swojej parafii, jest jednym z owych proroków, których zazwyczaj kamieniuje — parafia.

Jeżeli ten człowiek z szerszego obszaru świata nie przyniósł do parafii już gotowego swego nazwiska, tylko tam się go dorabia, to może już naprzód zrobić krzyżyk nad sobą!

Parafia nie lubi żadnych wyróżnień.

— Zkąd jemu do literatury? woła pan Pafnucy.

— Zdaje się, że bziką dostał! mówi pan Piotr.

— Biedak! Pewnie bankrutuje! sądzi pan Walenty.

— Czy czytałeś co on tam gryzmoli? pyta poprawiając szkiełko w oku dandyś parafialny.

— Androny! odpowiada lubownik polowania z chartami!

Jeżeli zaś literat nie należy do ludzi produkcyjnych ale jest prostym konsumentem literackim, to jest: kupuje, zbiera i czyta książki, wtedy opinia parafialna jest dla niego mniej groźną. Osobliwie zastęp płci pięknej, korzystając „w nudnych wieczorach“ z jego książek, bierze często osobę w obronę, chociaż ta obrona nigdy pewnej linii nie przekracza, po za którą leży — sympatya serca.

Czasem literat ma w całym kraju opinię pisarza pierwszego rzędu — parafia w to nigdy wierzyć nie będzie!

— Jakto! woła żona radczy powiatowego — to ten pan X*** co to matka jego była rodzoną siostrą pani Maciejowej, a babka stryjeczną ciotką św. pamięci Szymona, który był bratem... i ten pan X... miałby na raz tak mądrym zostać?... Znałam przecież dobrze jego ciotecznego brata, który dzierżawił majątek po moim stryju a ciotecznym bracie pana Lamberta i nawet drugiej raty nie miał z czego zapłacić, przezco musiano go sądownie wyrzucić... i ten pan X... ma dzisiaj być sławnym człowiekiem?... Czy świat się kończy czy co?...

To jednak wiele nie przeszkadza marzyć pani radczyni, że gdy jój mąż w parafii na posła wybranym zostanie, to łatwo z posła przemieni się w delegata, a z delegata wyjdzie na ministra bez teki dla spraw galicyjskich!...

Pani radczyni często nawet upaja się podobnym marzeniem...

Najtrudniejszą rolę w parafii mają młodzi ludzie, którzy jeszcze marzą o ideałach życia — o mężach i żonach!

Dla panien i kawalerów jest nieubłaganą parafia.

Wszystko u tych zawadza. Jest panna piękna, to parafia wynajdzie, że ma jedną łopatkę wyższą i że używa dla zrównania sznórowki ortopedycznej.

Jest panna bogata, to parafia wynajdzie jakieś długie zakulisowe, które jój posag bardzo oszczuplą. W braku zaś długów wynajdzie jakieś niedostatki moralne, albo rodowe sięgając czasem nawet do prababki!

Jeżeli dla płci pięknej opinia parafii jest tak bezwzględna, jakąż więc być może dla tych biednych ludzi,

którzy zapisani w rubrykę kawalerów, stoją przed opinią parafii jak okazy w sali anatomicznej!

Nie się tam przed nią nie ukryje!

Zapisuje ona skropulatnie ile pan Piotr zeszlęj nie-dzieli w karty przegrał, poczemu Silbermanowi z miasteczka żyto sprzedał, aby pewny dług zapłacić, i na jaki termin podpisał weksel Goldmanowi, ekwipując się jako konkurent do panny Binci!

Parafia sądzi najczęściej ludzi tylko z realnych ich stosunków. Na nie więc zwraca przedewszystkiem całą swoją uwagę.

A te realne stosunki bada z anatomiczną ścisłością. Przed jęj mikroskopem i skalpelem nie się nie ukryje, chociażby było tak małym — jak trychiny!

To téz parafia nie ma prawie nigdy u siebie ideałów dla siebie.

Najzacniejszy młodzieniec nie będzie nigdy w parafii ideałem dla panien — wyjąwszy jeśli jest sromotnie bogaty lub należy do tak zwanęj wyższęj warstwy towarzystwa.

I odwrotnie, najzacniejsza panna nie przedstawi się kawalerom parafii jako ideał życia — wyjąwszy jeśli ma posag znakomity lub z parentelą, dającą stanowisko w towarzystwie.

Ponieważ jednak zazwyczaj każdy kawaler parafii, jeśli ma jaki mająteczek, chce udawać że ma dziesięć razy więcej i do tego pretensye swoje nastraja; ponieważ to samo dzieje się również i ze strony panien — dla tego w parafii rzadko się kiedy ci kochają, a tém rzadziej zawierają małżeństwa.

Jedno bowiem i drugie jest przy takich warunkach prawie niepodobne. Każdy chce się za lepszego sprzedać, jak jest w istocie, a tu trudno o taką sprzedaż, bo wzajemnie o sobie wszystko wiedzą.

Zdaje się, że dawniej było inaczej. Prawdopodobnie nie chciano siebie wzajem oszukiwać, jeżeli za warunek dobrego ożenienia się położono, aby żona była z bliska.

Przysłowie bowiem dawne powiada, że konia i żonę trzeba brać z sąsiedztwa.

Dzisiaj ta maksyma niepodobna jest do zaaplikowania.

Przy obopólnej chęci sprzedania się wyżej ceny rzeczywiście poupadały dawne zwyczaje żenienia się w sąsiedztwach.

Nastąpiła emigracya z parafii do stolic różnych dzielnic polskich, do wód mineralnych, do innych krajów, gdzie zazwyczaj spotyka się różnych turystów już samo przez się bogatych, jeśli mają za co podróżować.

Życie więc w parafii, która dawniej była całym światem naszych prababek i pradziadów, była polem ich cnót obywatelskich i różnych praktyk miłosierdzia chrześcijańskiego — życie to dzisiejsze w parafii zredukowało się do jakichś poniewolnych rekolekcyj, które przed i po wyścieczce w świat szerszy odbyć koniecznie potrzeba!

Dla jednych pobyt w parafii ma takie samo znaczenie, jak dla Paryżanina pobyt kilkomiesięczny w wiejskiej willi. Mieszka on tam dla powietrza, dla widoku zielonych drzew, dla śpiewu słowika. Otaczający jego willę ludzie nie go nie obchodzą, są jemu zupełnie obojętni, nie widzi ich nawet! Żadne stosunki bliższego życia z nimi go nie wiążą, on dla nich nie ma żadnego obowiązku! Przemienie

pora gorąca, on wyjedzie z ich stron, i zostawi po sobie jakąś niedostateczną powieść, jaką sobie o nim ludzie urobiją.

Dla drugich pobyt w parafii jest skutkiem potrzeb materyalnych. Oddają się tym zajęciom o tyle, o ile z nich wypłyną środki dla porzucenia czempredzėj parafii, aby niejakiś czas pomiędzy obcymi ludzi pozować — na coś lepszego, czego parafia uznać nie chce!

Ztąd téż owo łączne życie parafii ustaje z każdym dniem coraz więcj, bo w parafii wszyscy — zadobrze się znają.

Kawalerowie i panny ciągną po żony i mężów do miejsce jak najbardziej od parafii oddalonych i lękają się tylko, aby ich tam kto z parafii nie spotkał!

W takim bowiem razie cała naprzód wystudyowana rola upada!

Panna, która przez cały karnawał miała mieć pięć kroć sto tysięcy posagu, aby przed popielcem wyjść za takiego co ma milion, spada nagle w takim razie do kilkunastu tysięcy albo nawet i niżej i najrozsądniej jeszcze uczyni, jeśli czempredzėj wyjedzie.

Kawaler, który sto mil od swojej parafii miał udawać portsmana i mówić ciągle o swoich biegunach, które w Londynie pierwsze nagrody wygrały, maleje nagle w obec świadka z parafii do zadłużonego właściciela małego folwarku, na którym ma wszystkiego trzy konie fornałskie, dwa kulawe a trzeciego ślepego.

Statystyka małżeństw z ostatnich lat, jasno okazuje zupełny upadek życia w parafii.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JANA ZAMOŃSKIEGO
w Zamościu.

Małżeństwa bardzo rzadko zawiązują się w parafii. Na szerokim świecie, u wód zagranicznych, na brzegach mórz przeciwległych szukają siebie tęsknące za sobą idę- ały i padają sobie w objęcia — w kostiumach przybra- nych ról swoich!

Mniejsza o to, co potém nastąpi, ale jest efekt, a wi- dzowie dali oklask!

A jakież to efekt sprawi w parafii! Cóż powie pan Piotr, jaką minę zrobi pani Pawłowa, a jak się zmartwi panna Eutalia, która tak lubi do góry swój nosek mały nosić!...

Ty czarnooka panienko z tym dziecięcym uśmiechem na twarzy, która wsiadasz do wagonu aby na skrzydłach pary ulecieć na wybrzeża morza, zatrzymaj się na chwilę!... Oto babunia daje ci bukiet do ręki, abyś w podróży wy- glądała jak na balu!... I roztropna babunia nie robi tego bez pewnej myśli!... Oto patrz! Tam na peronie stoi ten młody brunecik z cielecą torebką przez ramię... Kupił właśnie bilet téj saméj klasy i patrzy gdzie ty z mamą usiądziesz... Patrz! Zbliża się do konduktora... coś mówi do niego... konduktor niezgrabny... patrzy na was... idzie z nim... otwiera drzwiczki...

— Przyjemny mężczyzna, szepce do córki matka, ma porządne kufry i tłomoki... widać że coś porządnego... maniery dobre nawet dystyngowane.

Córka przytyka bukiet do twarzy i ponad róże i go- ździki wysyła marzące wejrzenie do przyjemnego towa- rzysza podróży!...

Pocziwā babunia! Jak téż ona w porę dała ten bu- kiet!...



II.

ARYSTOKRATKA PARAFIALNA.

Po tym ogólnym obrazie przejdźmy do naszej parafii, w której oczekują nas nasi przyszli znajomi.

Parafia ta rozciąga się w milowém półkołu po obu stronach rzeki nad którą leży małe miasteczko.

Najbliżej miasteczka, prawie o ćwierć mili tylko, widać malowniczą grupę drzew starych z pomiędzy których bieleją ściany dworu. Szeroka ulica wysadzana lipami prowadzi z miasta aż do samego ogrodu, do którego wchodzi się przez misterną bramę, pomalowaną na czerwono.

W samym środku ogrodu jest dwór stary, sięgający co najmniej siedemnastego wieku. Gmach dosyć niezgrabny, ale obszerny i budowany na wieki. Późniejsze generacye pierwszego założyciela pracowały usilnie nad tém, aby go jakoś w duchu czasu czémś przyozdobić, ale usiłowania ich, zamiast upragnionych korzyści, przyniosły mu tylko widoczny uszczerbek. Łataniny i przystawki zrobiły z pierwotnego gmachu jakąś dziwną karykaturę pretenstjonalnego pałacu.

Najwięcej do tego przyczyniła się dzisiejsza właścicielka majątku, wdowa po św. p. Benedyckie, nazywana w parafii powszechnie: pani Patrycyą.

Dwór ten był majątkiem nieboszczyka męża, bo pani Patrycyą nic mu do domu nie wniosła, jak o tém bardzo dobrze wiedziano w parafii.

Pani Patrycyą jednak była innego zdania. Nie kryła się z tém bynajmniej w parafii, a osobliwie panu Benedyktowi często to powtarzała, że zostawszy jego żoną wniosła mu w dom to, czego żadna inna żona w całej parafii mężowi nie wniosła — to jest, swoje lepsze urodzenie.

Stryjenka pani Patrycyi rodziła się z babki Radziwiłłowój, a cioteczny jój brat był przez siostrę żony swojój skolligacony z Odrowążami, a nawet wielkie było podejrzenie, że przyrodnia siostra jój matki żyła w morgantyczném małżeństwie z księciem Albertem ***.

Parentela taka była znakomitym posagiem pani Patrycyi, jak to trzy razy dziennie dowodziła św. pamięci panu Benedyktowi.

Pan Benedykt strzegł zrazu troskliwie te skarby domowe i czynił co mógł, aby im nadać jak najlepszą oprawę. Ubrał lokaje w sutą liberyę, kupił w Wiedniu okazałą karetę i powóz podróżny, postawił ośm koni cugowych i trzy wierzchowce na stajni, wyciął sad stóletni, aby z okna buduaru żony otworzyć widok na rzekę i wszystkie gumna, które z ganku mógł dawniej nadzorować, zmiótł z przed pałacu, jak się zmiata śmiecie.

Dwór sam otrzymał teraz nazwę pałacu, i jęczał biedak prawie przez dwa lata pod ciosami mularzy, którzy

mu w bokach wybijali dziury, i różne przyczepki do niego przyklejali.

Gdy tym sposobem pani Patrycyja pańską atmosferę już dostatecznie w koło siebie przygotowała, wtedy zapragnęła tę atmosferę czémś godném zaludnić.

W parafii jednak trudna była na to rada. Członkowie parafii byli ludzie zacni i poczciwi, ale urodzeniem swoim nieodpowiadali wysokim pretensyom pani Patrycyji. Zrobiło się wprawdzie dla parafii coś, co było koniecznością wypływającą z stosunków sąsiedzkich, ale marzenia pani Patrycyji sięgały daleko, bardzo daleko ponad te stosunki.

Zaradzając tym marzeniom, weszła na szczególną drogę, która dla pana Benedykta była dosyć cierniistą.

Wyszukiwała po różnych książkach i pismach nazwiska, o których jęj się zdawało, że z jęj familią muszą być w pokrewieństwie i pisywała do nich jako kuzynka długie, francuzkie listy.

Na większą część tych listów nie było żadnej odpowiedzi, ale zawsze została dosyć spora korespondencya. Prócz tego za młodych lat podróżowali trochę po za granicą państwo Benedyktowie. W podróżach, przy wodach mineralnych spotyka się bardzo wiele ludzi. Pani Benedyktowęj jednak zostali tylko ci w pamięci, którzy do tak zwanego wyższego towarzystwa należeli. Z tymi rozpoczęła natychmiast korespondencyę pisemną i co kilka tygodni wysyłała spory pęk listów na pocztę.

Zdawało się jęj, że tym sposobem żyje na większym świecie, że ma relacyę z całą arystokracją, i że tym spo-

sobem dom swój prowadzi w sposób odpowiedni swemu stanowisku towarzyskiemu.

Były to jednak tylko marzenia!

Bliższe sąsiedztwa tak zwanego wyższego towarzystwa, którym narzucała się swoją korespondencyą, nie odpowiadały — dalekie zaś nie mogły swego afektu stwierdzić odwiedzinami, bo z Litwy albo z Ukrainy trudno było z prostą wizytą przyjeżdżać.

Dwór więc państwa Benedyktów mimo tak licznych z światem relacyj, był w rzeczywistości dosyć pusty, bo parafialne znajomości odstraszone tak wygórowanemi pretensjami.

Panu Benedyktowi nie podobały się te pustki w domu. Chciał napowrót wejść w stosunki z najbliższymi sąsiadami, ale pani Patrycyja umiała z taką wyrafinowaną dumą parafialnych gości przyjmować, że po kilku takich próbkach prawie zaprzestano tam bywać.

Zmartwiło to pana Benedykta, a gdy razu jednego o tém z żoną swoją na seryo mówić zaczął, zasypała go pani Patrycyja tak gęstym gradem najwyborniejszych swoich frazesów, że pan Benedykt syt sławy i życia położył się do łóżka, wyspowiadał się ze skrucą proboszczowi z grzechu swego ożenienia i po téj spowiedzi na zawsze powieki zamknął.

Pani Patrycyja została teraz wdową, mimo to nie zmieniła wcale dawnego trybu życia.

Przeciwnie nie mając męża przy boku ani gospodarstwa, które zdała na rządzę, miała tém więcej czasu dla swoich rozlicznych korespondencyj.

Korrespondencyom tym oddawała się teraz z całym zapalem. Po całych dniach i nocach siedziała przy biurku w eleganckim negliżyku. Zdawało się jej, że rozmawia z księciem Józefem, z hrabiną Edwardową, z baronową...

Stworzyła sobie dziwne, sztuczne życie. Próżne pokoje dawne zaludniła legionami hrabiów i książąt i wierzyła nawet, że żyje w ich sferze.

Podniętą do tych licznych korespondencyj była jeszcze jedna okoliczność. Poczta dla całej parafii była w miasteczku. Na tę pocztę chodziła i jeździła parafia przynajmniej dwa razy na tydzień. Pocztmistrz człowiek rozmowny i światowy, żył w przyjaźni z całą parafią i posiadał wiele jej sekretów. Przez jego ręce przechodziły różne listy, które ciekawe światło rzucały na stosunki parafii. Niektórzy więc ciekawsi z parafii przyjeżdżali osobiście na pocztę aby tam skontrolować korespondencyę parafii i z pocztmistrem kilka słów pogawędzić.

Pani Patrycyja wiedziała o tém i to dodawało jej nowego obodźca do podtrzymywania różnych korespondencyj z osobami tak zwanego wyższego towarzystwa.

Tym sposobem rozchodziła się po całej parafii opinia nader świetna o jej stosunkach i dodawała jej chudej i wyniosłej postaci tém większego blasku.

Zdaje się, że oprócz osobistej przyjemności miała pani Patrycyja jeszcze inne powody do podtrzymywania tak znakomitych, chociaż często tylko fikcyjnych stosunków z wyższym światem.

Bodaj czy nie głównym do tego powodem była panna Alodya, jej jedynaczka.

Panna Alodya była bardzo piękną dziewczicą. Miała twarz bladą, podłużną, oczy szafirowe, włosy jasne i uśmiech zachwycający.

Osobliwie w tym uśmiechu było coś czarodziejskiego. Nie był to uśmiech wesoły ani pusty, ale jakiś rzewny, smutny, melancholijny.

Trudno zbadać, co właściwie mogło ten uśmiech oblec w szatę smutku i melancholii, bo wiadomo przecież było w całej parafii, że panna Alodya żadnych szczególnych katastrof w życiu nie przeżyła!

Nie wiadano o żadnej miłości nieszczęśliwej, któraby to młode serduszko rozranić mogła, a w domu była zaraz od urodzenia pieszczoną od wszystkich jako jedynaczka.

Pan Benedykt obawiał się tego złowrogiego uśmiechu u swego dziecka i przypowiadał sobie w duchu jakieś wielkie nieszczęście. Sądził on, że Bóg nie napróżno czasem takie znamiona daje dzieciom, i że te znamiona coś smutnego oznaczają.

Zrazu wmówił w siebie, że dziecię z takim uśmiechem nie może żyć długo. Uśmiech taki to żal nieświadomy siebie, tak krótkiego życia!

Opowiadał nawet wiele rzeczy z własnego doświadczenia, że dzieci, które skazane są na krótkie życie, zawsze czémś się odznaczają.

Niektóre dojrzewają bardzo prędko w rozum i bystre pojęcie, inne zadziwiają nadzwyczajną zdolnością do muzyki. U jednych rysy twarzy przedwcześnie dojrzeją, u drugich rozwina się skłonności starszych ludzi. Słowem sama natura kładzie już niejako palec na wybraną ofiarę.

Otóż pan Benedykt był pewny, że jedynaczka jego prędko umrze. Z trwogą liczył rocznice urodzin, prosił Boga jeszcze przynajmniej o rok życia, po roku prosił o drugi, trzeci i czwarty i tak się dobrze panu Benedyktowi jego modlitwy udawały, że panna Lodya dosięgła lat szesnastu.

Wtedy pożegnał pan Benedykt jedynaczkę i żonę i odszedł do Boga, aby Mu za miłosierdzie Jego podziękować.

Lodya żyła już cztery lata po śmierci ojca i z każdym rokiem rozwijała się lepiej i wyglądała zdrowiej.

Pozostał jój jednak ten uśmiech smutny, melancholijny.

Trudno odgadnąć, czy ten uśmiech poetyczny, czy też stworzona przez panią Patrycyę pewna pańska aureola w koło jój pięknej główki była powodem, że kawalerowie parafii bardzo mile na nią patrzyli i często nawet widocznie o jój względy się dobijali.

Lodzianka odpowiadała wszystkim smutnym swoim uśmiechem, co témbardziej jeszcze drażniło zdrowe parafialne serca kawalerów; że do tego uśmiechu najczęściej nie dodawano żadnego słówka!

A któż dobrze zrozumie uśmiech kobiety?

Wprawdzie jest uśmiech, który jaśniej odpowiada niżeli wszystkie słowa mowy ludzkiej, ale uśmiech Alodyi.. ten uśmiech smutny i zaświatowy, który może tylko aniołowie w niebie wiedzą i rozumiają... któż sobie dostatecznie go wytłómaczy?...

Złośliwi parafianie twierdzili, że ten melancholijny uśmiech pięknej Alodyi odnosi się do owych mytycznych

hrabiów i książąt, z którymi matka koresponduje, a których ani pani Patrycja ani Alodya nigdy na żywe oczy nie widziały. Do nich to uśmiecha się piękna jedynaczka, a uśmiecha się smutno i rzewnie, jak się uśmiecha biedny poeta do wyśnionych swoich ideałów, na które tylko oczyma duszy patrzy!

III.

A L O D Y A.

Alodya była jedynaczką. Przyszła na świat w tój sztucznej, przez panią Patrycyą stworzonej atmosferze, która jój atmosferą pozostać miała.

To też zaraz w kilka miesięcy przyniosła matka do kołyski spory pakiet listów i położyła pod małą główkę dziecięcia, z tём przemówieniem, aby słodko zasypiało na tylu serdecznych afektach, które jój nadesłali z różnych stron znajomi.

I w obec niańki i bony wyliczała tytuły gratulujących dodając do każdego krótkie komentarze.

Niańka i bona słuchały w skupieniu ducha długiego rejestru imion znakomych i zazdrościły szczęścia małej dziecinie, która kiedyś tak wysoko stanie, jak ich marzenia nigdy nie osiągną.

Zaraz przy kołysce nucono jój piosnki o przyszłych znakomych kawalerach, które przyjadą w złotych karetach i klękać będą przed nią!...

W nastrojonój z pańska atmosferze nie mogła być służba inną. Dogadzała ona tym sposobem ambicyi pani Patrycyi i z tём było jój dobrze.

Biedna Alodya odosobniona chińskim murem od reszty świata, do którego kiedyś przystosowywać się miała, rosła wśród tych pieaszot i podchlebstw sług zapłaconych, jak wąta egzotyczna roślina w ogrzaném powietrzu trebhauzu. Powietrze poza szybami było jój obce. Nie знаła nawet, że tam mogą być wichry i burze, i że do tego trzeba się zawczasu przyzwycząć. Myślała, że cały świat jest taki jak atmosfera trebhauzu, że po za tém nie ma dla niej nic, wcale nic! Myślała również, że po za tym trebhauzem nie ma od niej piękniejszej i lepszej, bo koło niej rzeczywiście nie było ani lepszej ani piękniejszej!...

Biedna jedynaczka rosła wśród tych kadzideł bon i guwernantek, po pani Patrycyja lubiła takie kadzidla i nie mi się otaczała.

Pan Benedykt chciał zrazu trochę przewietrzyć tę wonną niezdrową atmosferę, ale otrzymał za to taką naukę od pani Patrycyi, że już się więcej o to nie kusił.

Gdy Alodya już zupełnie dorosła, wtedy wciągała ją pani Patrycyja w sferę swoich korespondencyj i często z listem w ręku zwykła z nią rozmawiać o swoich mytycznych znajomych. Raz rzekła do niej:

— Wiesz Lodziu, książę Marcin każe cię uściskać!.. Poczciwy książę!... Gdybyś go poznała, tobyś pokochała jak ojca!.. Pamiętam poznaliśmy się w wagonie jadąc do Wrocławia... Jakież to człowiek miły! Wieleż facecyjek naopowiadał nam w tej krótkiej podróży!...

— Czyż go mama potem widziała? pytała Alodya.

— Nie *ma chère* — odtąd nigdy nie spotkałam go! Ale ludzie tacy zapisują się głęboko w naszej pamięci i są tego godni!

— Czy pisał potem do mamy?

— Nie pisał, ale wyszukałam adres do niego, przypomniałam mu naszą rozmowę, i odtąd jesteście z sobą w bardzo częstej korespondencji. Posłałam mu niedawno twoją fotografię!... Jaki grzeczny człowiek! Odpisuje mi że po takiej matce spodziewał się takiej córki....

Alodya spojrzała do zwierciadła a do księcia Marcina uśmiechnęła się jakby do widma swoim smutnym melancholijnym uśmiechem.

— A tu hrabina Ludwika pyta się o twoje zdrowie, przypominasz sobie tę staruszkę z dużym nosem którą poznaliśmy na parowym statku jadąc przez Saską Szwajcaryą?

— Zkądże ona sobie o mnie przypomniała? Wtedy nawet niewiele mówiliśmy z sobą!

— Któż wśród tak pięknych widoków mówi wiele?... Pisałam do niej niedawno i pozdrawiałam ją także od ciebie. Przez grzeczność więc piszę o tobie!... A czy nie przypominasz sobie tego nieoszacowanego jak go nazywano Bzi-bzi?

— Bzi-bzi?... Nie przypominam sobie!

— Jakto! Hrabia Aharver!

— Hrabia Aharver?... A teraz przypominam sobie, że to chciał koniecznie mojej białej róży!...

— Otóż wiesz... w sekrecie posłałam jemu kilka zaszuszonych listków tej białej róży...

— Ale zlituj się mama — ta biała róża wpadła mi wtedy ze statku do wody i przepadła!

— To wszystko jedno! Alboż on pozna że to inna róża?... A zresztą o tym przypadku z różą zdaje się że nic nie wie...

— Jakto mameczko! Wszak sam ją ratowa!

— Widać, że na szczęście zapomniał! Nic a nic o tém nie pisze! Przeciwnie unosi się nad uschłemi listkami, które mu posłałam i pisze takie cudowne rzeczy!... Patrz!

Alodya wzięła list do ręki i wskazane miejsce kilka razy odczytała. Jój twarz zarumieniła się jakimś nader przyjemném uczuciem.

Hrabia Aharver pisał bowiem, że téj chwili nigdy w życiu nie zapomni, że odtąd polubił wszystkie białe róże i wszystkie pola swoje niemi obsadził, i byłby jeszcze daleko szczęśliwszym, gdyby nie miał od lat dziesięciu swojej przybocznej Róży, której poprzysiągł być wiernym aż do śmierci... Ale nie wątpi, że znajdzie się podobny jemu człowiek (matka czytała tu: hrabia) który tym samym afektem rozgore co i on wtedy i będzie o tyle szczęśliwszym, że mu wolno będzie z tą białą różą ukłęknać na ślubnym kobiercu...

— Dowcipnie pisze! rzekła po chwili Alodya.

— Na taki dowcip nikt w naszej parafii się nie zgodzi! Nie wiem, o czém ci ludzie cały dzień myślą!

— To prawda!

— Albo jak ci się podoba ten list od księżnej... co to na téj loteryi fantowej była dla nas tak grzeczną!

— Czy sama pisała do mamy?

— Odpowiada mi na mój list względem zarządzonej przezemnie składki w parafii naszej na cel ochronek... patrz!

Alodya czytała ustęp:

„A teraz droga towarzyszek moich prac w winnicy Pana chciej serdecznie uściskać twoją Alodyę, o której piszesz mi tyle pięknych rzeczy! Oby ten brylancik znalazł godną siebie oprawę, i spodziewam się że znajdzie, bo nawet w bliżkiej mnie sferze słyszałam tam głosy, które się o niego dopytywały...”

Alodya poczerwieniała cała na twarzy.

— Czy wiesz Lodziu co to znaczy „w bliżkiej mi sferze...” co pisze księżna!...

Oczy jedynaczki zamigotały jasnym ogniem.

Była piękna, cudownie piękna jak Juno!...

Któraż kobieta nie jest piękna gdy marzy?...

Alodya marzyła w tej chwili o tej bliżkiej sferze, która też koło księżnej znajdować się musi...

I odeszła do swego buduaru, aby tam dalej kontynuować złote marzenia swoje, aby rozsnuwać z podanej przędzy te nici złote, które tak są misterne jak nici pajęczcze i również tak słabe!...

Ale tych misternych tkanek nikt nie rozrywał!...

Ale patrzcie w te lochy odwieczne, do których żadna żyjąca istota nie wchodzi, żaden wiatr nie zawieje, żadna kropla deszczu nie upadnie!... Patrzcie tam na te subtelne tkanki pajęczcze, jak silne powrozy z nich się porobiły, dla tego, że im nikt tu nie przeszkadzał, ani człowiek, ani wiatr, ani deszcz?...

Alodya śniła dalej w swoim pysznym buduarze...

Z buduaru wychodziło okno do parku, w którym tak pięknie i uroczonie!...

Ten park zaludniał się w tej chwili cudownymi postaciami!... Jacyś rycerze zdala przybyli na rumakach

z pacholkami w tyle i zażądali wnijsiecia do pałacu, w którym była królowna...

Tak dawniej do snu śpiewała jój niańka...

Dzisiaj ta śpiewka weszła do jój snów...

Gdyby jeden z tych snów stał się rzeczywistością, cóżby to za efekt sprawiło w całej parafii.

Jakżeby tu ludzie biegali od jednego dworu do drugiego i podawali sobie nadzwyczajną wiadomość, że Alodya.. idzie tak świetnie zamąż!...

Cóżby na to powiedziała pani Alfredowa, która tylko od niechcenia kłania się jój w kościele parafialnym? Jakże wielkie oczy zrobiłyby Natalcia z Fruzią, które myślały, że ona pójdzie za pana Walentego z Ustronia!... Pani Władysławowa pewnie żółciowej febry dostanie, bo widocznie jój nie sprzyja!...

Jakież to zamieszanie stałoby się w całej parafii, jakżeby wszyscy i wszystkie zazdrościły jój tak świetnego losu!... Czyż może być przyjemniejsze uczucie nad tryumf we własnej parafii?... Na szerokim świecie nawet jedni drugich nie widzą, nie zazdroszczą im niczego, nie dziwią się cudzemu szczęściu, nie umią nawet go ocenić!...

W parafii zaś inaczej. Tu podobne zdarzenie sprawia efekt należyty! Tu grom taki odbija się stokrotném echem zacząwszy od piersi pana Pawła a skończywszy na szerokiej twarzy pana Piotra!...

Ileż to rozkoszy w takim tryumfie?...

Alodya poła sie długo, długo w noc takiem marzeniem!... We śnie snuła dalej rzeczywiste sny swoje, a gdy się zbudziła, już miała matka gotowy pokarm dla jój nie-

nasyconej wyobraźni i znowu drażniła ją ustępami z listów od osób znakomitych rodem i pozycyą towarzyską.

Takim pokarmem żywiła się Alodya do lat dwudziestu i wcale się jój dziwić nie można, jeżeli kawalerom parafialnym odpowiadała owym zagadkowym melancholijnym uśmiechem, którego oni nie rozumieli!...

Bo czémże w obec jój marzeń byli ci prozaiczni ludzie, przejeżdżający poprzód okna pałacu na prostych wózkach do miasteczka na jarmark?...

Czemże nawet pan Leander miał być w obec tych marzeń, chociaż miał wiedeński karykiel, o którym jednak cała parafia wiedziała, że wzięty na kredyt?...

Przy takich marzeniach nie mogła Alodya pojąć ciwego szczęścia, które serce kobiecie daje — ona pojmowała je tylko fantazyą, a tu przedewszystkiém chciała efektu, kostiumu teatralnego i ogni bengalskich, któreby całą parafię olśnić mogły.

I tak się zrosła z tém marzeniem, że wierzyła całą duszą, że to nastąpić musi!

IV.

PARAFIANKA.

O ćwierć mili od wspaniałego dworu pani Patrycyi widać było małą osadę z trzema krzyżami cerkiewki.

Alodya lubiła ten widok, bo z pomiędzy drzew osady podnosiły się tu błyszczące krzyże wysoko ku niebu i nader malowniczo rysowały się w przezroczu powietrza.

Jedynaczka pani Patrycyi patrzyła bez myśli na ten piękny widok, patrzyła poprostu okiem artystki, i kilka razy nawet usiłowała ołówkiem narysować w albumie ten widoczek.

Pani Patrycyja często śmiała się z córki, że w kosztownym albumie, przeznaczonem na widoki Szwajcaryi, Renu i Apeninów, rysuje widoczek parafialny, na który składa się kilkanaście drzew i trzy krzyże cerkiewki!

Alodya śmiała się także wraz z matką, mimo to patrzyła zawsze z jakimś niezwykłym uczuciem na tę grupę drzew i trzy kopułki.

Nigdy jednak nie zastanowiła się nad tém dziwném, zagadkowym uczuciem. Nie miała bowiem jak się jój zda wało, żadnego do tego powodu.

Osada ta była jedną częścią dosyć obszernej wioski, która miała kilku właścicieli.

Właściciel téj osady, nazwanéj Majdan, był człowiekiem nieodgrywającym żadnej głośniejszój roli w parafii. Miał bardzo skromny dworek o czterech pokoikach, okazalsze nieco gumna i sterty poza gumnami i córkę równieź jak Alodya, jedynaczkę, którą na chrzcie świętym z pewną ukrytą tendencją nazwał: Bona.

Pan Nazaryusz (tak się nazywał właściciel Majdanu) wyrozumował sobie, że kobiéta przedewszystkiém powinna być „dobrą“, a wszystko inne uważał za przypadkowe dodatki.

I zrazu, osobliwie gdy żyła jeszcze nieboszczka jego żona, cieszył się pan Nazaryusz ze swojój Bonusi, bo Bonusia była rzeczywiście bardzo dobrém dzieckiem.

Sredniego wzrostu, ciemnych włosów, z niebieskimi oczyma wyglądała jak polny bławatek w kościółku parafialnym. Twarzyczkę miała okrągłą dosyć rumianą, czoło pięknie wymodelowane, a na ustach nieustający uśmiech dziecinny.

Siostra pana Nazaryusza wzięła po śmierci matki Bonusię w swoję opiekę i zaczęła ją powoli do otaczającego świata przystosowywać.

Bonusia musiała być zawsze starannie ubraną chociaż bez przesady. Ciotunia starała się zawsze być w porozumieniu z bieżącą modą parafii, aby Bonusia mogła dotrzymać kroku wszystkim panienkom sąsiedztwa.

Nie było to jednak rzeczą tak łatwą, jak się ciotuni wydawało. Bonusia za życia matki miała zupełną wolność bez żadnych ograniczeń. Matka widziała w jedynacze

wszystko, co jest najlepszego na świecie. Wierzyła w jé rozum, gdy dopiero miała lat dwanaście, wierzyła w jéj gust i znajomość ubierania się, jakiej nabyła w szkole klasztornej.

Bonusia bowiem przewyższała matkę wykształceniem, która będąc żoną niezamożnego właściciela małej osady, musiała się oddać cała wiejskiemu gospodarstwu, a córkę oddała na naukę do panien Benedyktynek w pobliskim mieście powiatowém.

Z klasztornego wychowania nie wyniosła Bonusia wiele światowości. Czyniło to nawet czasem ujmę przyrodzonym jéj wdziękowi, gdy się ubrała w sukienkę skrojoną przez matkę, a wspólnymi siłami uszytą.

Bonusia nie wiedziała o tém, że w innej sukience mogłaby daleko lepiej wyglądać. Jéj się zdawało że sukienka, którą miała na sobie, jest alfą i omegą sztuki modniarskiej i krawieckiej, gdyż razem z matką radziły o tém i pracowały przez cały tydzień!

Ta wiara dodawała jéj pewności siebie, i wszystkie jéj ruchy naturalne krasila wdziękiem prawdziwie dziecięcym.

Zrobiła się z niéj ładna i miła dziewczynka, w porównaniu jednak z innymi kobietami parafii, było na niéj widać coś odrębnego, samoistnego — prawie dzikiego.

Dzikość ta jednak nie była wstrętną — przeciwnie było jéj z tém bardzo do twarzy. Wyglądała jak młody dziki tabaniec, który z uzdą na głowie nie stał jeszcze nigdy przy żłobie, chociażby ten żłób był pełen owsa!

Pan Nazaryusz często o tém myślał, że Bonusia nie ma zupełnego oglądzenia światowego, a nawet obawiał

się nieraz, gdy trzeba było do dalszego sąsiada pojechać na chrzest lub imieniny.

Bonusia była nieświadomą niebezpieczeństwa, które w większym towarzystwie jęj zagrażało, i to ją ratowało. Była tak swobodną i naturalną, jakby w swoim pokoiku się znajdowała, a to nietylko chroniło ją od śmieszności i wymuszonych pozycyi, ale nawet dodawało jęj tyle wdzięku, że niepodobna było jęj nie lubić, na nią z upodobaniem nie patrzeć.

Ta swoboda Bonusi skończyła się z śmiercią matki. Ciotunia, sędziwa panna Teresa uznała potrzebę ulaskawienia dzikiego tabańca, i przyzwyczajenia go do stajennego obroku. Zarzucono więc najprzód arkan na dziewiczą jego szyję, potem włożono mu uzdę na głowę i przywiązano do żłobu, aby się powoli do porządnego życia przyzwyczaił.

Bonusia poczuła arkan ciotuni, opierała się dosyć odważnie, ale po arkanie przyszła i uzdeczka i żłób z odmierzonem obrokiem... i cóż było robić?

Po rozległych falach, po łąkach kwiecistych zostało tylko wspomnienie... a przed oczyma — żłób!

Powoli poddała się Bonusia rygorowi ciotuni i zaczęła coraz więcej zastosowywać się do świata.

Zacząła nosić sukienki, które krojem przypominały choć zdaleka krążący przypadkiem żurnal w parafii i zaczesywała włosy *à la nigritine*, jak to było życzeniem ciotuni.

Widocznie jednak ciążyły te więzy cywilizacyi kobiecej na gorącym dziecku parafii. W godzinę po najstaranniejszym ubraniu się wychodziła na wierzch nieo-

kielznana natura Bonusi. Misterny węzełek chusteczki umknął z pod wiecznie ruchomój bródki gdzieś aż pod ucho, z czego ciotunia bardzo się martwiła. Również i włosy z wielką sztuką pokarbowane rozsunęły się, i szukały swobodnie naturalnych swoich kędziorków. Wszelkie przymuskiwania nic nie pomogły.

Ciotunia była w rozpacz. Gadała długie kazania, opowiadała różne tragiczne historye o skutkach wewnętrznego rozstrzepania, groziła nawet starém panieństwem, ale to wszystko nic nie pomogło.

Osobliwie ostatni argument ciotuni był fatalny. Gdy bowiem o starém panieństwie wspomniała, Bonusia spojrziała zaraz do zwierciadła, a zwierciadło odpowiedziało jój, że starego panieństwa wcale się lękać nie potrzebuje. Obaczyła tam jasne, świecące oczka, pokryte do połowy rzesą jedwabną, obaczyła zgrabny nos i białe jak kość słoniowa ząbki. Wszystko to razem nie było, jak mnie mała, materyałem starego panieństwa.

Prócz tych drobnych chmurek, jakiemi były kazania ciotuni, upływał Bonusi czas cicho i spokojnie.

Wiosna następowała po zimie, a po wiośnie lato, po lecie znowu jesień i zima i tak dalej. Bonusia na każdą porę roku miała osobne zatrudnienia i zabawki, miała ogródek z kwiatkami i warzywem, miała jagody i jabłka, z których trzeba było robić kompóty i konfitury, miała fortepian i książki gdy zima osrebrzyła drzewa i na szymbach dworku pomalowała białe kwiaty.

Prócz tego miała Bonusia kilkanaście dziełek w osadzie, którym trzeba było kilka razy do roku, osobliwie przy egzaminie rozdawać książeczki z obrazkami, i z nie-

mi od czasu do czasu coś pogadać. Miała także czasem chorych na wsi, którym pod dyrekcją ciotuni warzyła ziółka i najczęściej sama do chat nosiła.

Świat jój marzeń miał bardzo ciasny horyzont, który nie sięgał prawie po za parafię. Nie znała wiele rozkoszy poetycznych mrzonek, które duszę gdzieś poza świat wyrywają, nie zapragnęła nigdy rzeczy nieprawdopodobnych i dlatego też nie miała żadnego żalu do ludzi, który jest tylko gorzkim owocem rozczarowania.

Wyobraźnia dawała jój rzeczy codzienne, rzeczywiste, które łatwo ręką dosięgnąć można. Nie trwożyła jój żadnymi widmami, nie rozpalala duszy żadnym obrazem, który wprawdzie sprawia chwilowe zachwycenie, ale po którym zaraz w ślad następuje żal i smutek...

Z szerszego świata widziała tylko Lwów dwa razy, raz była z ojcem, drugi raz z ciotunią. Raz także na wielki jakiś festyn pojechała do Krakowa, z kąd wróciła prawie w gorączce i długo, bardzo długo o nim mówiła i myślała.

Widziała kilka razy teatr, była na kilku koncertach, na loteryach fantowych, raz nawet na balu publicznym i to był jój jedyny nabytek z szerokiego świata.

Zdawało się jój jednak, że tyle już w życiu widziała, ile kobiecie potrzebnem jest do jój stanowiska w towarzystwie, dla tego pewną była siebie między ludźmi, a nawet odważyła się w mieście powiatowem krytykować teatr amatorski, na który z ciotunią dla celów dobroczynnych pojechała. I poszło to jój nawet dobrze, bo czego nie wi-

działa na własne oczy, to uzupełniła sobie z książek w które zaopatrywał ją pan Nazaryusz.

I tak dojrzewało hożo i rokosznie dziecię parafii, i byłoby jeszcze dłuższe lato sprawiało ojcu i ciotuni radość i zadowolenie, gdyby nieprzewidziane лихо nie zagroziło jój rumianemu liczku.

V.

FIGLE SZATANA.

Tysiąc kroków od cerkiewki z trzema krzyżami był drugi dworek drugiego właściciela wioski, którego powszechnie nazywano majorem.

Major był stary jak świat a dworek jeszcze starszy, z trzech stron popodpinany.

Dla Bonusi nie było więc tutaj nic ciekawego, chociaż major często ją po twarzy głaskał i koteczką miluchną nazywał. Czasami robiła majorowi różne psoty i to wprawili ją w przyjemną uwagę. Smiała się jednak z jego pochylonej chałupki i szczerze tylko żałowała, że nie jest kózą, bo wtedy wylazłaby na dach jego dworku, aby się paść na bujnej trawie, która tam porasta.

Razu jednego zmienił się nagle stan rzeczy.

Pewnego wiosennego poranku wyszła Bonusia na przechadzkę i dotarła do granicznych kopców Majdana, z kądem widać było pochyłe mieszkanko majora.

Zadziwiła się niemało, gdy tej pizańskiej wieżycy nie obaczyła!

Przetarła oczy... patrzyła kilka chwil... i znowu patrzyła — dworku majora nie było!

Zrazu myślała, że jakiś zły duch omamił ją. Zwyczajem więc staropolskim przeżegnała się trzy razy, odmówiła nawet krótką modlitewkę i znowu spojrzęła... i znowu nic nie obaczyła.

Nie wiedziała jak sobie to dziwne zdarzenie wytłómaczyć... widziała w niém coś nadzwyczajnego, coś nadnaturalnego... i strwożona jak sarneczka z bijącym głośno sercem przybiegła do domu.

Ciotunia krajała właśnie podług ostatniego żurnalu jakąś zarzutkę z kokardami *à la Watteau* i uśmiechała się w duchu do siebie, jak to na przyszłą niedzielę będzie ślicznie wyglądać Bonusia w tej zarzutce w kościele parafialnym miasteczka...

— Ciociu, ciotuniu! zawołała nagle Bonusia wpadając bez tchu do pokoju i rozrzucając na wszystkie cztery wiatry, mozolnie poukładane formy z papieru.

— O święta Małgorzato! krzyknęła ciotunia w rozpaczy łowiąc rękami latające w powietrzu papiery — jakież zmartwienie mi zawsze sprawiasz!... Wierzaj mi, że zostaniesz starą panną! Któż zechce takiego rozstrzeпаńca za żonę! Wszak to kłopot na całe życie!... Święta Boża Rodzicielko... nie nadeptuj tego skrawka papieru, bo to kłapa do zarzutki!... Podarłaś jeden boczek! Święty Antoni z Padwy!

— Posłuchaj ciotuniu co się stało!...

— Widzę, widzę co się stało i co się zawsze dzieje! Jesteś wielkie nie-potem! Pamiętaj, aby się moje słowa nie spełniły! Obyś starą panną...

I westchnęła pocziwa ciotunia, bo przypomniała sobie, że sama jest starą panną, chociaż wcale nie była tak roztrzępaną jak Bonusia!

— Niech się ciotunia nie gniewa, rzekła Bonusia w dziwném rozdrażnieniu całując ją w rękę, ja temu nie winna, że te papierki powylały oknem, bo przeciąg był w pokoju... ale powiedz mi ciotunio, jakim sposobem może z ziemi, razem z fundamentem wzlecić cały dom o pięciu izbach wraz z gankiem i budą dla psa?

— Jak to wzlecić? Co wzlecić? pytała gniewnie ciotunia.

— Wzlecić z ziemi do góry i zniknąć!

— Co też ty pleciesz! W imię Ojca i Syna...

— Ja wcale nie plotę! Przekonaj się ciociu i przyłóż mi rękę do serca, jak ono bije!... Tak mi nigdy jeszcze nie biło!... Jeszcze nie mogę przyjść do siebie z przestraszu!

Ciotunia spojrziała z uwagą na Bonusię, przyłożyła rękę do jej serduszka i chwilę podumała.

— Zapewne przestraszyłaś się czego! rzekła po chwili!

— Jakże się nie przestraszyć, jeżeli kto widzi cały dom latający w powietrzu!

— Dom latający w powietrzu widziałaś! krzyknęła ciocia i uczuła ciarki w całym ciele.

— Domu latającego w powietrzu nie widziałam... ale jeżeli ten dom z ziemi znika, to już ciż musi przez powietrze przelecieć!

Ciotunia rozerwała boczek zarzutki, wysypała na ziemię wszystkie igły z igielnika i wlepiła oczy w rozognioną twarz Bonusi!

— Dziecię, dla Boga! Co ci jest zawołała biorąc ją za rękę — mówisz od rzeczy!

— Dworka majora już niema!

— A wiem o tém że niema!

— Ciotunia wie o tém, że dworka majorowa niema?...

— Przecież temi dniami rozwalili go!

Twarc Bonusi poczerwieniała.

— Rozwalili go! wyszepnęła z cicha, jakby się wstydziała dzikich obrazów, jakimi przed chwilą dręczyła ją wyobraźnia gorąca.

— Przecież wnuk pana majora przyjechał i będzie nowy dworek stawiał! Pan Prosper! rzekła ciotunia zbierając z ziemi porozrzucone formy.

— Wnuk pana majora... przyjechał... pan Prosper... i będzie nowy dworek stawiał... powtarzała prawie bez myśli Bonusia i z główką zwieszoną na piersi powolnym krokiem odeszła.

Jéj się zdawało przed chwilą, że widzi jakieś figle szatana, a to tymczasem... pan... pan Prosper takiego figla wystroił.

VI.

M A R Z E N I A.

Od tego dnia zmieniła się Bonusia. Nie była już taką wesołą jak dawniej, nie śmiała się z czego bądź, jak to dawniej robiła, nie śpiewała humorystycznych piosenek, ani nawet z ciotunią nie klóciła się o stare panieństwo.

Codziennie chodziła na ów kopiec graniczny, który jęj niegdyś tyle strachu napędził i tam stała całemi godzinami zakryta rozłożystym głógiem.

Ztamtąd widać było, jak robotnicy krzatali się koło nowej budowy. Widać było także, jak stary major w swojej nieśmiertelnej kurcie i furazerce chodził pomiędzy cieśle i mularze i jakieś rozkazy im wydawał. Za starym majorem chodził najczęściej młody, słusznego wzrostu mężczyzna z łokciem inżynierskim w ręku, i kreślił ołówkiem na leżących trawach i belkach jakieś znaki.

Bonusia widziała to wszystko dobrze, i z widocznym upodobaniem śledziła ruchy robotników.

Widok ten jak się zdawało, sprawiał wielką rozrywkę osamotnionej dziewczynie.

I wcale się temu nie można dziwić. Pan Nazaryusz był gospodarstwem zajęty, siostra jego krzątała się częścią koło gospodarstwa, a częścią była robotą sukienek i zarzutek zajęta, do których miała prawdziwą passję.

Biedna Bonusia w chwilach wolnych o d zajęć nie miała dla siebie żadnej rozrywki, któraby jej jaką taką rozmaitość w jednostajne życie wniosła.

Wszystkie niezwyklejsze roboty, które się w koło niej odbywały, zajmowały w wysokim stopniu jej żywą wyobraźnię.

Raz kazał pan Nazaryusz wyczyścić mały stawek, aby stawarką sprawić kawał nieurodzajnego pola.

Bonusia po całych dniach stała nad brzegiem stawu, jakby nadzorowała robotę. Tymczasem śledziła z uwagą postępu rozpoczętej roboty, patrzyła jak woda spuszczoła ze stawu buchała w srebrzystych kaskadach przez rozkopaną groble, jak na stawie tworzyły się zwolna wyspy sitowia i piasku, i coraz więcej w jej oczach rosły!...

Patrząc na to wyobrażała sobie różne zmiany stałego ładu ziemi, gdy ocean powoli w głębie swoje się usuwał, jak to w książkach czytała!...

Powoli odsłaniały się także przed jej okiem, głębie stawu, owe głębie, które przed chwilą były dla niej tak tajemnicze, zamieszkałe nieznanymi istotami, które dnia bożego nigdy nie oglądają!...

W tych głębiach spoczywało dotąd tyle cudownych powieści, które jej nianki nagadały — a teraz widne są dla jej oka, z wszystkimi swojemi tajemnicami!

Patrzała w nie, tajemniczo żadnych nie znalazła, ale zawsze były one ciekawe, ciekawe swoją formacją i pluskającymi się w nich rybkami!...

W jednostajnym życiu Bonusi była to różnorodność i rozrywka nielada!

Drugi raz rozkopywano fundamenta jakieś odwieczne na tak zwanym pałacysku.

Bonusia stała i tutaj przy robotnikach i z bijącym sercem patrzyła na każdą garść gruzów, którą robotnicy z głębokich jam wyrzucali.

Myślała w tych chwilach o zdobyczach archeologii i w duchu widziała stare zbroje, skruszone miecze i bliznami wieków wybielone kości!...

Ani kości ani zbroje starych nie było, ale Bonusia bawiła się kilka tygodni.

Po tej rozrywce nastąpiła niebawem trzecia.

Stodoła pana Nazaryusza mimo że na niej miał bocian olbrzymie gniazdo, zawaliła się jednej nocy z powodu przelatującej ponad osadą trąby wietrznej.

Pan Nazaryusz z bólem serca wziął się do stawiania nowej stodoły.

Dla Bonusi było i to nową różnorodnością życia.

Stała przy robotnikach, przypatrywała się traczom, badała dziwną zmyślność prostych cieśli, jak dach wiązali...

Wszystko to dostarczało materiału dla jej gorącej wyobraźni, którą przyzwyczała do pokarmu więcej realnego, a co właśnie chroniło ją dotąd od mrzonek chorowitych i wybujałych.

Przy takim usposobieniu Bonusi nie było w tym dla domowników nic dziwnego, jeśli teraz na kopiec osa-

dy codziennie wychodziła i ztamtąd, zakryta głogiem na postępującą budowę pana majora patrzała.

Robota ta miała dla niej tém większy urok, że ją mogła tylko widzieć z oddalenia.

Oddalenie zaostrza zazwyczaj rozkosze wyobraźni.

Bonusia widziała z daleka niewyraźne linie podnoszące się z ziemi ku niebu.

Linie te uzupełniała w wyobraźni, prowadziła je w wieczornych marzeniach coraz wyżej, a czasem nawet we śnie widziała przed sobą gotowy domek w miniaturze z wszystkimi zewnętrznymi ornamentami!...

Na drugi dzień zaraz z rana wybiegała na kopiec graniczny, aby sprawdzić, czy się w rzeczywistości to spełniło, co ona sobie śniła.

Rzeczywistość była powolniejszą od snów—Bonusia nie obaczyła wyśnionego domku, ale zawsze coś postąpiło, a sam ruch koło budowy był już rozrywką.

I tak powoli mijały tygodnie po tygodniach.

Śród tego czasu przyjechał kilka razy stary major do pana Nazaryusza i przywiózł z sobą swego wnuka, pana Prospera.

Bonusia patrzała z bijącym sercem na młodego budowniczego, który łokciem swoim tajemniczym tworzył i podnosił te linie budynku, z granicznego kopca tak fantastycznie wyglądające!

Jeżeli jakieś dzieło zajmuje naszą uwagę, to twórca tegoż dzieła jest dla nas człowiekiem, którego radzi studjujemy. Coby u innych było najzwyczajniejszém, u niego chcemy to widzieć nadzwyczajném.

Toż i Bonusia widziała w panu Prosperze coś niby nadzwyczajnego.

W gruncie rzeczy był to człowiek na pozór bez żadnych nadzwyczajności. Miał czarne włosy, krótko ucięte, twarz podłużną, sympatyczną i gęstą brodę, po bokach trochę przyciętą. Mógł liczyć dwadzieścia sześć lat lub siedm.

Bonusia rozmawiała z nim o nowym budynku, przyznała się potrosze do swoich wędrówek na kopiec graniczny i nawet wspomniała coś o snach swoich ale to tylko przez roztańgnięcie, jak to zaraz komentowała ciotunia.

Parę Prosper słuchał z uśmiechem szczebiotania miłej pazafianki, mówił chwilkę o przyszłym dworku i zakończył prośbą o karnawał wenecki, który bardzo lubił, a który Bonusia grała dosyć wprawnie.

Po takich wizytach i rozmowach nie spała Bonusia długo w noc, choć jej dawna piastunka wiązkę makówek pod głowę położyła, a zaraz z rana wychodziła do ogrodu, z kąd zacięioną ścieżką skradała się do kopca, i tam dłużej niżeli zwykle stała!...

Tymczasem stanął zrab gotowy, potem zarysowały się na niebie krokwie dachu... przezroczyście linie zaczęły powoli zaciemniać się... i w końcu na pięknym, jesiennym niebie odbiła się czarno cała postać dachu wraz z ścianami na których osiadł!

Był to bardzo piękny prawdziwie pejzażowy obrazek.

Kilka starych lip pochyliło się zdala do siebie, a wśród ujętego w zielone girlandy przezrocza zarysował się piękny dworek w gęście szwajcarskim.

Zdala widziany był on istnym idealnym domkiem dla fantazyi młodej dziewczyny!

Dla Bonusi był on także czémś idealném.

Wyrzynane, przezroczyście koronki w dachu miały tyle poezyi, zewnętrzne schodki prowadzące do jakiegś kryjówki na górę były tak misterne, a na drzewny kolor pomalowane ściany zewnętrzne odbijały dziwnie od zielonych gałęzi i trawników!

Bonusia miała kilka razy wielką ochotę, obejrzyć zblizka ten domek idealny i obaczyć jak jest wewnątrz urządzony. Ciotunia jednak powiedziała jój, że to byłoby nieprzyzwoicie dla panny, a Bonusia, choć podobnej nieprzyzwoitości wcale nie rozumiała, jednak uczuła na twarzy rumieniec gorący, który jój więcéj o podobném zachceni u nie kazał myśleć.

Za to tém ciekawiej wypytywała się o ten domek tych, którzy go zblizka widzieli i słuchała z wielką uwagą różnych o nim szczegółów.

Najwięcéj nowin w tym względzie znosiła jój dawna jój niańka a dzisiaj szafarka. Jój mąż był cieślą i robił przy tym domku.

Szafarka więc opowiadała jój, że ten domek ma ośm pokoików bardzo ładnych. Wszystkie są wyklejone malowanym i złożonym papierem, a posadzka świeci się jak zwierciadło napuszczona woskiem.

Prócz tego jest ganeczek oszklony kolorowemi szybami, z którego widać staw, łąkę i lasek daleki.

Opowiadała także, że kilku stolarzy robią z drzewa zagranicznego wspaniałe meble podług rysunków, które im pan Prosper daje ..

Nakoniec dodała, że w jednym pokoiku jest już gotowy stoliczek ze zwiarciałem, jak to zazwyczaj panie miewają do ubierania i ztąd wносиła, że pan Prosper zamysła się ożenić...

Bonusia uczuła znowu gorący rumieniec na twarzy, taki sam jak wtedy, gdy ciotunia jój zachcianki nieprzyzwoitością nazwała.

Od czasu tego rumieńca nachodziły ją dziwne sny i marzenia. Marzyła przez jesień i zimę.

Marzyła we dnie a śniła w nocy, ale nazajutrz nie mogła rozróżnić swoich snów od marzeń.

Tak się to jakoś dziwnie pomieszało i poplątało, że nie była w stanie powiedzieć, co jój się w nocy śniło, a o czém sobie na jawie myślała!

Już to ten nowy, i idealny domek był w snach jój zawsze na pierwszym planie...

Śniło się jój, że była w środku tego domku, że chodziła po tych wszystkich pięknych pokojach, a znajdująca się tam służba jakoś słuchała ją, jakby tam była gospodynią!...

Wtedy zazwyczaj czuła rumieniec na twarzy i budziła się nawet z tym rumieńcem, jak o tém kilka razy przekonała się patrząc do zwierciadła...

Czasami nawet ten rumieniec był tak piekący, że trudno było z nim wytrzymać... Osobliwie gdy śniąc o tym domku nowym, spotkała się chociaż we śnie tylko z panem Prosperem, który jakoś dziwnie do niej się uśmiechał a nawet czasem wziął ją za rękę i do siebie garnał...

Czy te sny niepoczciwe, czy inne jakie rzeczy były powodem, ale Bonusia zaczęła z wolna blednąć na twarzy,

a jęj czyste oko zaczęło się osłaniać jakąś mgłą przezroczystą, choć w kolo nięj kwitnęła już piękna wiosna!...

Dawna wesołość odstąpiła ją, nawet roztrzepaną już tak jak dawnięj nie była.

Zacząła więcję grać i więcję czytać. Głosik jęj sopranowy nabrał pewnęj rzewności, a okrągła przez lat kilkanaście twarzyczka zaczęła się zwolna przeciągać...

Pan Nazaryusz z niepokojem patrzył na jedynaczkę i napomknął coś o wodach mineralnych.

Bonusia różsmiała się, ucałowała ojca, a otarłszy łzy ukradkiem, powiedziała mu że jest zdrową i niczego jęj nie brakuje.

Ciocia gderała jak zawsze i blednącą Bonusię straszyla znowu starém panieństwem tak samo, jak straszyla dawnięj wesołą i roztrzepaną!

Bonusia śmiała się dla ojca i ciotuni, ale skrycie płakała, rzewnie płakała. Dla czego płakała nie mówiła nikomu, bo może sama, jak to zazwyczaj mówią, nie wiedziała! Ale ludzie doświadczeni tego nie powiedzą. Jeżeli panna siedmnastoletnia płacze, to wie dobrze czego płacze, choćby sto razy mówiła swojęj piastunce, że chce tylko iść do klasztoru, jak to właśnie zwykła mawiać Bonusia!...

Bonusia mówiła często o klasztorze, ale ciotunia brała to tylko za strach przed starém panieństwem, czém ją ustawicznie straszyla! Potajemnie cieszyła się, że jęj kazanie należyty skutek odnosi.

Ale pewnego dnia pomieszały się szyki ciotuni.

Jakiś sąsiad przyjechał do pana Nazaryusza i mimochodem opowiedział, że jadąc tutaj spotkał pannę Alodyę

w czarnej amazonce na siwym rumaku krwi arabskiej, a obok niej na karym koniu jechał — pan Prosper.

Oboje wyglądali bardzo dobrze i z wielką elegancją na koniu siedzieli...

Gdy Bonusia to usłyszała, wyszła natychmiast pod pozorem zajęcia jakiegoś z pokoju i już więcej w tym dniu do gościa nie wyszła...

Nazajutrz wstała bardzo blada i zmęczona.

Pan Nazaryusz przy śniadaniu długą w nią się wpatrywał, a serce jego dziwnie się jakoś niepokoiło.

Nawet i ciotunia była dzisiaj z mniejszym rygorem dla swojej wychowanki i postanowiła nic nie mówić o starém panieństwie, bo Bonusia miała teraz już łzę pod powieką.

Po długim milczeniu, którego sobie ciotunia wytłumaczyć nie mogła, ozwała się Bonusia:

— Miałabym dziś wielką prośbę do ojczulka!

— Mów moje dziecię co chcesz? rzekł z rozrzewnieniem pan Nazaryusz.

— Czuję się z każdym dniem słabszą na siłach, wyszeptła drżącym głosem Bonusia, a łzy zaperliły się w jej błękitnych oczach.

— Widzę to sam niestety! odparł smutno ojciec.

— Zdaje mi się, że może dobrym środkiem byłoby...

— Dobrym środkiem byłoby... mów dalej dziecko!

— Byłaby... przejażdżka konna! wykrztusiła Bonusia i zarumieniła się po sam rąbek szarawaniku.

— Przejażdżka konna? powtórzył ojciec i pomyślał trochę.

Przypomniał sobie wczorajsze opowiadanie sąsiada...

Milczał czas niejaki, posmutniał i odrzekł:

— Dobrze dziecię moje, pomyślimy o tém. I owszem, jeżeli ci to zdrowie wróci, to nic łatwiejszego jak o siodło i konia!...

Bonusia rzuciła się w objęcia ojca i tak serdecznie go wycalowała, że aż się spłakała!

Pan Nazaryusz w milczeniu patrzył na swoją jędynaczkę. Nie powiedział więcej ani słowa, ani jęj uścisków serdecznych nie odwzajemnił.

— Czy wiesz siostró o co tu chodzi? rzekł do ciotuni gdy Bonusia z pokoju wybiegła, aby się wyplakać.

— Jakżebym nie wiedziała! odparła z indygnacją ciotunia, przecież po całych dniach prawie jęj o tém kazania!

— Kazania? O czém?

— O starém panieństwie!

— Któż znowu myśli o starém panieństwie?

— Kto? Bonusia!

— Nie rozumiem cię siostró!

— Przecież rzecz jasna jak na dłoni. Jeżeli ktoś o starém panieństwie myśli, to nie myśli o niem z roskoszą ale ze strachem. Tego strachu napędziłam już dobrze Bonusi. Ale kto ma strach przed starém panieństwem, ten oczywiście myśli o mężu!

— Bodaj cię siostró, z twoją logiką!... Ale koniec jest zawsze ten sam!

— I czegóż się tutaj smucić? Dziękować Bogu, że myśli o mężu a nie o niebieskich migdałach jak myśmy myślały, których owocem jest staré panieństwo.

— Ba, ale to niedość pomyśleć o mężu!...

— Już tam ona nie marzy o żadnym Zagórskim panu — a ten, o którym myśli, może być jój mężem!

— Czy sądzisz?... po chwili namysłu zapytał pan Nazaryusz.

— A jużci, że tak sądzę! Nic łatwiejszego! Równy z równym! Nic w drodze nie stoi!

Pan Nazaryusz westchnął ciężko.

— I czegoż tu wdychać?

— Czuję, że nad moim domkiem zbiera się chmura wielkiego nieszczęścia!

— Jakie nieszczęście, co za nieszczęście!... Pójść najprościejszą drogą i kwita!

— Nietylko prostój, ale żadnej drogi nie widzę!

— Jakto, nie ma prostój drogi?... Rozmówić się otwarcie z majorem!

— Myślałem o tém, ale przyznam ci się siostrze, że mnie strach bierze! Przywiduję nieszczęście!

— Tylko odwagi Nazaryuszu, a obaczysz, że wszystko pójdzie dobrze! Trzeba ludzi ośmielić!

Pan Nazaryusz wstał i długo zamyślony chodził po pokoju. Czoło jego marszczyło się coraz więcej.

Wreszcie zatrzymał się i wyprostował jak człowiek, który już odbył z sobą walkę wewnętrzną.

Potém kazał sobie podać ubiór odświętny i trzeinę z srebrną gałką, gdyż to było niedziela.

Ubrawszy się wziął czapkę na głowę i w uroczystym nastroju puścił się małą ścieżką ku idealnemu domkowi z wiszącą u dachu koronką...

Krok jego był krokiem człowieka, który ważną rzecz niesie z sobą.

VII.

M A J O R.

Człowiek, którego słowa, jak mniemał pan Nazaryusz, miały teraz zaważyć na szali życia dwojga ludzi, był właśnie w swoim pokoiku na poddaszu domku zajęty ustawianiem małych figurek z drzewa na obszernym papierze, który przed nim był rozścielony na stole. W parafii nazywano go panem majorem.

Był to bielutki jak mleko staruszek liczący sobie lat górami osmdziesiąt. W całej parafii miał reputację oryginała, chociaż do tego najmniejszej nie miał pretensyi. Drażnił się nawet gdy mu o tém kiedy mówiono, a czasem nawet zasmuciły go widocznie podobne słowa.

— Mój Boże, odpowiedział raz pani Patrycyi, gdy mu powiedziała, że jest dla niej ciekawym oryginałem, mój Boże i czegoż to dzisiaj potrzeba, aby być oryginałem? Czy oszustwa czy zbrodni jakiej, czy bezmyślniej głupoty? Gdzietam! Dosyć jest dać żebrakowi zamiast jednego grosza dziesięć, dosyć płaczącą sierotę wziąć z ulicy do domu i ją nakarmić, dosyć jest nawet nie mieć

żadnych długów aby zostać oryginałem!... Smutny to czas mościa dobrodziejko, jeśli tacy ludzie liczą się do oryginałów!...

W parafii opowiadano o panu majorze ciekawą historijkę, tycząca się jego lat młodszych.

Major, o ile sam się do tego przyznawał, był oficerem w wojsku polskiem, które brało udział w bitwie pod Lipskiem.

Po powrocie wojsk do kraju i tychże reorganizacyi, został major cywilnym człowiekiem, — ale bez chleba!

Żołnierz, który Europę w szerz i wzdłuż przedeptał, nie troszczył się bardzo o tę kardynalną wadę społeczeństwa ludzkiego.

Nie było chleba?... trzeba się o niego postarać!

Ale jak i czém?

To była rada trochę trudniejsza. Major wzrósł w czasach wojennych, gdzie wojna była wszystkiem. Uczył się więc tylko rzemiosła wojennego, a resztę powierzył Panu Bogu.

Tymczasem rzemiosło wojenne zawiodło, trzeba było chwycić się czego innego.

Człowiek, który w karyerze wojskowej przyzwyczał się wierzyć swoim siłom i Panu Bogu, zawierzył i tu sobie i Bogu i postanowił być — palestrantem!

Koledzy wyśmiali oryginalny jego koncept i nazwali go już wtedy oryginałem, pasując go żartobliwie na majora za tę myśl genialną, której to tytuł przyjął się w świecie i został mu aż do śmierci, mimo, że przeciw niemu czasem protestował.

Tak zwany major nie miał bowiem najmniejszego wyobrażenia o jurysprudencji, ani nawet o paragrafach nic w życiu nigdy nie słyszał.

To jednak nie przeszkadzało mu wcale, aby w wybranym raz zawodzie pozostać.

Homeryczny śmiech swoich kolegów puścił mimo uszu, szablicę ojcowską zawiesił na skromnym poddaszu nad łóżkiem, a sam jak drugi Donkiszot otoczył się grubemi księgami oprawionemi w żółty pergamin, i po całych nocach w nich się rozczytywał.

Nocami czytał a we dnie siedział w trybunale i przysłuchiwał się, jak to praktykuje się to nowo obrane jego rzemiosło.

I w przeciągu jednego roku, z walecznego, zapamiętałego żołnierza, stał się waleczny i zapamiętały palestrant.

Znali go wszyscy w całej Warszawie z jego ognistej wymowy i nadzwyczajnej pamięci, w której na jego rozkaz gotowe spoczywały tysiące paragrafów wraz z odnośnikami!

I cała postać walecznego palestranta była miła i sympatyczna dla klientów. Słodycz i prawość malowały się na jego twarzy. Ceniono jego charakter, który mocno odbijał od charakterów zwykłych palestrantów.

Major (tytuł ten pozostał i w palestrze) nie brał w opiekę żadnego interesu, o którym miał podejrzenie, że jest nieczysty. Ale oczy jego zabłysły jak oczy u lwa gdy się dowiedział, że sierota została przez ludzi oszukana lub wydziedziczona!

W palestrancie zostało coś z dawnego rycerza!

Dla kobiet osobliwie był nieocenionym obrońcą. Jeżeli sprawa pochodziła od kobiety, to major nie wiedział już gdzie są granice prostego interesu. Nie spał po nocach, trapił się po całych dniach, aby tylko sprawy kobiety nie przegrać o której miał zawsze wyobrażenie, że jest czystą i sprawiedliwą!

Koledzy żartowali nawet sobie z tego rycerskiego uprzedzenia dla spraw kobiecych, ale major znosił potulnie ich śmiechy i szyderstwa, jeżeli nie było jeszcze potrzeby pogrozić kolegom tém piórem, którym władał nieźle już wtedy, gdy nie znał jeszcze paragrafów!...

Otóż z powodu téj żarliwej opieki nad kobietami stał się wypadek, który rozstrzygnął przyszłość walecznego palestranta.

Pewnego dnia, gdy major z powodu wygranej sprawy, był w bardzo dobrym humorze, przyszła do niego młoda kobieta z plikiem papierów i prosiła o opiekę prawą.

Major podkreślił wąsy, posadził kobietę na kanapce, i dłużej niżeli to było jego zwyczajem, rozpytywał się o tok całej sprawy.

Sprawa była bardzo zawiła, ale młoda kobieta umiała ją w ten sposób opowiedzieć, że major uznał ją za czystą i przyrzekł skrzywdzonej kobiecie swoją opiekę.

Kobieta zarumieniła się z tak niespodziewanego szczęścia podziękowała czule młodemu palestrantowi i przyrzekła mu wdzięczność aż do śmierci!

Major był nader słaby w obec wdzięków kobiecych, pocałował piękny „powód“ w małą rączkę i zaręczył słowem honoru, że sprawa będzie wygrana.

W pół roku powtórzyła się ta sama scena, ale inne już miała znaczenie.

Jak wtedy tak i teraz weszła do niego ta sama młoda kobieta i tak samo na kanapie usiadła.

Nie miała jednak tój skromnej minki co dawniej, nie przyszła prosić o opiekę, ale żądała rachunku z powierzonego palestrantowi zaufania.

Sprawa kobiety niestety upadła w trybunale!

Jakim sposobem to się stać mogło, dotąd major nie wiedział! Sprawa była czysta i biała jak zębki młodej klientki, ale brzydki trybunał inaczej zawyrokował!

I jakaż była na to rada?

Nietylko przegrała całe swoje mienie, wymalowała nieszczęśliwemu palestrantowi jaskrawemi kolorami swoje położenie i napomknęła przytém o słowie honoru, które dał jój przed półrokiem major, a któremu ona zupełnie zawierzyła!

Major był w niemałym kłopotcie. Przypomniał do tego sobie, że w sprawie młodej kobiety popełnił błąd niemały, który prawdopodobnie przyczynił się do przegranej.

W ferworze obrony użył pewnego argumentu, który zręczny adwersarz pochwycił i przeciw niemu obrócił!...

Major czuł wyrzuty sumienia, że unieszczęśliwił młodą wdowę, która miała białe zębki, szafirowe oczki i różowe usteczka!...

Nie widział innego ratunku, jak pomnąc na dane słowo honoru, złagodzić boleść pacjentki ofiarowaniem się jój na dozgonnego towarzysza życia.

Nie uczynił tego z żadnej płochości, ale z głębokiego przekonania, że zawiniwszy w obec swojej klientki winien jój był jakieś wynagrodzenie.

I tak przegrana wdowy stała się dla niej wygraną.

Major bowiem, uzbierawszy na palestrze już nieco grosza, zamienił pióro na lemiesz.

I jak niegdyś z dzielnego żołnierza stał się mocą woli swojej dzielnym i znakomitym palestrantem, tak teraz z dobrego palestranta, wzięwszy się do pługa, o którym zrazu nie miał żadnego wyobrażenia, stał się z czasem zawołanym gospodarzem!

Należał on jeszcze do téj generacyi, która siłą woli i charakteru umiała być tém, czego się nawet nie uczyła, jeżeli tego żądały obowiązki wyższe.

Major przeżył długi szereg lat i jak posąg ze spiżu patrzył na upadające pod ciężarem życia młodsze pokolenie...

Pochował żonę, pochował dzieci, a sam, jak dąb z obnażonemi konary stał teraz smutny, bolejąc na grobach tych, których tak wielce ukocha!...

I jeszcze miał dosyć siły, aby wnuka wychować i pogodną przygotować mu przyszłość.

Właśnie myślał o téj przyszłości, ustawiając machinalnie żołnierzy na polach pod Lipskiem, co było jego ulubioną zabawką — gdy pan Nazaryusz do drzwi zapukał.

VIII.

DWAJ DYPLOMACI.

Prawdopodobnie myślał major w téj chwili o panu Nazaryuszu, bo obaczywszy sąsiada wchodzącego do pokoiku, rozśmieł się i otworzył usta, aby coś mu dobrego na powitanie powiedzieć. Zmienił jednak zamysł, aby sąsiadowi zostawić wolne pole do rozstawienia swoich szeregów, jak to sztuka wojskowa nakazywała.

Przywitał mile pana Nazaryusza, posadził na stolku i przybrał minę dyplomaty, który czeka pierwszych punktów prawdopodobnych układów.

— Niech cię nie znam kochany sąsiedzie, rzekł pan Nazaryusz odsapując głęboko, któż stawia nowy dwór na to, aby mieszkał na poddaszu!

— Tak być powinno, odpowiedział major, odstawiając na bok z należytą czcią figurkę Napoleona, my moiści panie Nazaryuszu ustępujemy z pola a dzieci zajmują piérwszy plan... dzieci już nie mam, za to wnukowi należy się teraz to miejsce!... Zresztą wierzaj mi sąsiedzie, gdy jest człowiek stary, to chciałby jak najmniej miejsca

między ludźmi zająć! Tam na dole jest służba, kręcą się koło mnie, rzeczy dzisiejszego dnia obijają się o moje uszy — a tu jestem sam i mam tylko kilku wróbli za towarzyszów, którzy tam w tych ozdóbkach porobiły sobie gniazdko i świerkają do mnie jak do sąsiada!

Pan Nazaryusz milczał czas niejaki, obracał trzcinę z srebrną galką a potem rzekł:

— Słusznie sąsiad mówisz, że dzieciom należy się pierwszy plan, a nam cichy kącik u nich!... Ale jest to także kłopot niemały stworzyć im ten plan, aby im było dobrze i swobodnie!

— Czy sądzisz mości Nazaryuszu, że to od nas zależy?

— A od kogóż mości majorze?

— Tak być powinno, ale tak nie jest!

Pan Nazaryusz widocznie posmutniał. Puknął zlekka trzciną kilka razy w podłogę i z uwagą spojrział na majora.

Major patrzył w tej chwili na sąsiada, ale spotkawszy jego oczy, namarszczył czoło i zaczął kołnierza poprawiać. Wyglądał coś dzisiaj strasznie na dyplomata. Sąsiad Nazaryusz zaczął się czegoś bardzo niepokoić.

— Widzisz kochany majorze, zaczął po chwili, ja tam tak czarno nie zapatruję się na świat. Być może, że masz więcej odemnie doświadczeń, ale ja dzięki Bogu nie potrzebuję tak czarnych okularów. Z dziećmi nie miałem żadnych kłopotów, a moja Bonusia jest tego przekonania, że wola ojca to jój wola i Boga!

Major podniósł palec do góry, wykręcił nim w powietrzu kilka razy i odparł:

— Nie zazdroszczę ci tej wiary głębokiej w dawne przywileje ojców, ale boleśnie byłoby mi, gdybyś się kiedy rozczarował! Miałem dzieci, i wiem jakie prawa roszczą one dzisiaj dla siebie!

Major wymawiał te słowa z pewnym rozdrażnieniem, z czego wnosił pan Nazaryusz, że prawdopodobnie ma w domu jakiś powód do tego rozdrażnienia.

Pan Nazaryusz nie wiedział czy ma się z tego cieszyć czy smucić, tłumacząc to sobie na różne sposoby.

Patrzył czas niejaki na majora, czy z jego twarzy czego nieodgadnie. Ale major siedział zimny i nieruchomy jak Meternich na wiedeńskim kongresie.

— Nie wchodzę w bliższe powody tego zdania, mówił po jakimś czasie pan Nazaryusz, ale śmiałym zauważyć, że jakkolwiek dzieci dzisiaj uchylają się z pod dawnego rodzicielskiego rygoru, jednak ulegają zawsze wpływowi rodziców, jeśli ci do tego użyją miłości i łagodnych sposobów przekonania!

— Ba! co chcesz! z ferworem odparł major, mówisz jak stary! I ja tak mówię a nie inaczej! Ale gdy miałem lat dwadzieścia kilka, to byłbym życie moje dał za to, że ja mam słuszość, a nie ojciec, który praw młodości nigdy już nie rozumie!

Pan Nazaryusz zasmucił się teraz na seryo. Rozdrażnienie majora wskazywało jasno na jakąś scenę domową z panem Prosperem.

Nie trudno było odgadnąć te scenę.

Z drugiej znowu strony było to dla pana Nazaryusza wróżbą dobrej nadziei, że prawdopodobnie major nie sprzyja zamysłom wnuka.

Ale cóż z tego wszystkiego? Jakież rezultaty przyniesie z sobą do domu, gdzie prawdopodobnie licząc sekundy oczekuje go blada Bonusia?...

Pan Nazaryusz postanowił przeciąć tutaj subtelnie snującą się nić rozmowy i podjąć ją z innego końca.

— No domek już gotów, ozwał się po dłuższym milczeniu patrząc naokoło siebie po ścianach, i tak starannie wszystko zrobione, żeby i ptaszek staranniej nie wyścielał gniazdka swego.

— Gniazdko jest miłe i ciepłe, odparł żywo major, ale kto wie kogo sobie ten ptaszek do gniazdka zaprosił!

I obaj sąsiedzi spotkali się tutaj oczami.

— Słychać, odpowiedział nieśmiało pan Nazaryusz z widocznym strachem — że...

Tu wskazał palcem w stronę, gdzie był dwór pani Patrycyi.

Major patrzył z uwagą na pana Nazaryusza. Wypukłe jego oczy wylazły z powiek i wświdrowały się głęboko w czoło sąsiada.

— Ha! być może! rzekł po chwili z westchnieniem, któż wie o przeznaczeniu swoim! Śmierć i żona od Boga przeznaczona!... Gdy miałem lat dwadzieścia kilka poznałem był pewną kobietę, która była prostą wietrznicą a niczem więcej. Wiedziałem o tém, przyjaciele rozmawiali mi, ludzie nieznanymi nawet przez litość starali mnie od niej odwieść, ale ona tak umiała wciągnąć mnie w sidła swoje, że byłem głuchy na wszystkie napomnienia przyjaciół i rozumu, i byłbym niezawodnie kark z całą wiedzą i przytomnością złamał, gdyby przypadek nie był mnie z nią rozłączył!... Mówię ci, panie Nazaryuszu, szalałem,

ryczałem z bólu po jej stracie, chociaż wiedziałem, że ani jednego wspomnienia nie była warta!

— To byłoby nieszczęściem, gdyby taka sama historia prawem dziedzictwa powtórzyła się we wnuka, zauważył z pewnym uśmiechem pan Nazaryusz.

Major machnął gniewnie ręką.

— Nie wywołuj wilka z lasu! odpowiedział impetycznie, i tak mam nie mało strachu!

Pan Nazaryusz na to nic nie odpowiedział, bo uważał za rzecz nieprzyzwoitą wdzierać się gwałtem w tajemnicę domu sąsiedzkiego, których przed nim dobrowolnie otworzyć nie chciano.

Powoli jednak próbował znowu szczęścia.

Rzecz jednak była drażliwa. Chwalić nie było bezpiecznym, a ganić nie wypadało. Trzeba było iść drogami ubocznymi.

— Nie sądzę jednak, zaczął po niejakiem czasie, żeby pan Prosper myślał rzeczywiście o tej osobie, jaką mu narzuca opinia sąsiedztwa.

— Czy masz waszmość jakie powody do powątpiewania? zapytał ciekawie major i bure oczy swoje utopił w dyplomatycznej twarzy pana Nazaryusza.

— Hm, odparł pan Nazaryusz, powodów tak oczywistych nie mam, ale możnaby z pewnych rzeczy wnosić...

— Z jakich rzeczy... o czém wnosić?

— Wnosić z pewnych rzeczy, że pan Prosper ma... może... inne cele na myśli!

— Jakto? Powiedz mi to waść jaśniej!

— Oto pan Prosper zajął się przedewszystkiém wystawieniem nowego, ładnego domku, który najmniej kilkanaście tysięcy złotych kosztuje!... Jeżeli kto taki domek stawia, to ma na myśli kogoś do tego domku wprowadzić!

— Cóż dalej? Nie rozumiem!

— Wprowadza się do domku kogoś, kto go nie ma, lub ma gorszy... Jeżeli zaś opinia naszej parafii ma mieć słuszność, to dla téj ptaszyczki nie trzeba było takiego domku, bo ona ma ładniejszy i wygodniejszy. W takim razie ptaszek poszedłby do gotowego gniazdka, do niej... bo ona tutaj możeby nie przyszła!

— Co mówisz! Przyjdzie, sama przyjdzie!

Pan Nazaryusz pobladł przy tych słowach.

— Przyjdzie?... Sama przyjdzie? powtórzył bezmyślnie.

— Oczywiście, że przyjdzie, jeżeli ją ztamtąd wkrótce wypędzą! Co chcesz! To malowane płótno, nic więcej!

Młyński kamień padł na serce pana Nazaryusza. Przybladł jeszcze bardziej, a usta jego posiniały.

Major widział to i zdaje się, że był z tego zadowolony!

— Nie przyjdzie, mówisz! cha cha cha! A któżby nieprzyszedł do ciepłego, miękko wyścielonego gniazdka, jeżeli go nieubłagany wierzyciel pod gołe niebo wypędzi?... Wszystko to co się dzisiaj jeszcze błyszczy, to ostatnie błyski gasnącej lampy!... Duma a nawet i pycha mają pewne granice, po za które już nie wychodzą! Ze wszystkich nieszczęść ludzkich najboleśniejším jest — być głodnym i bez dachu!

Pan Nazaryusz ciągle był nieprzytomny.

Major widocznie uśmiechał się do siebie.

— Jeżeli jednak, rzekł wreszcie pan Nazaryusz, uważasz sąsiedzie tę sprawę nie po twojej myśli...

— W tym względzie zrzekam się naprzód prawa mego, odparł z dyplomatyczną miną major, i zostawiam wypadkom czyste pole!

— Gdybyś jednak majorze był przekonany...

— Przekonanie dziadka a przekonanie wnuka... szczęście moje a szczęście Prospera... to są dwie tak odmienne rzeczy, że ich razem nigdy nie połączysz! Wierzaj mi panie Nazaryuszu! My ludzie starzy i zimni! Nie rozumiemy tych rzeczy, bez których młodzi żyć nie mogą! Najlepiej jest nie brać tych rzeczy do rąk naszych, bo w naszych rękach zziębną i w bryłę lodu się zamienia!

W tej chwili ozwał się dzwon parafialnego kościoła.

— Już dzwonią! szybko rzekł pan Nazaryusz, zegniam kochanego sąsiada!

— Do zobaczenia, odparł major i tak jakoś długo trzymał rękę sąsiada w swojej dłoni, że tenże myślał, iż mu ma jeszcze co do powiedzenia.

Major jednak zacisnął usta i nic nie powiedział.

Gdy jednak pan Nazaryusz z pokoiku wyszedł zatarł major z radością ręce i uśmiechnął się jak wódz, któremu plany nie źle idą.

Nagła jednak jakaś myśl zasepiła jego czoło. Zdało się, że tym planom zagrażało zkadś jawne niebezpieczeństwo, któremu trzeba było prędko zapobiedz.

Major spojrział na zegarek i wyszedł z swojej izdebki.

IX.

P R O S P E R.

Niebezpieczeństwo, które utajonym planom majora zagrażało, nie mogło pochodzić z kądiną jak tylko od wnuka — pana Prospera.

A był to rzeczywiście człowiek dla planów majora dosyć niebezpieczny.

Już sama postawa jego oznaczała upartego adwersarza. Był wzrostu słusznego, męskich wybitnych rysów, a podaną naprzód brodą, która oznaczała energię a czasem upór, podobny był do dziadunia.

Gdy ojciec i matka Prospera odumarli, zajął się sam major jego wychowaniem i wprzód nakreślił plan możliwy jego przyszłości.

Nauczony doświadczeniem nie ufał nigdy zmiennym losom ludzkim i chciał wnuka przygotować i uzbroić na wszystko, co tylko w życiu mogłoby go spotkać.

Zostawiając mu kawałek ziemi w spuściźnie, nie chciał, aby ta ziemia była dla niego alfą i omegą jego

wszystkich nadziei. Kazał mu więc odbyć nauki, któreby mu posłużyć mogły na wypadek, gdyby kawał ziemi z rąk mu się wysunął.

Kazał mu więc skończyć szkołę inżynierstwa i budownictwa, wysłał go na praktykę do kilku sławnych gospodarstw niemieckich, a nawet pozwolił mu trochę po świecie się obejrzyć.

Tym sposobem przepędził Prosper siedm lat zagranicą, gospodarował trochę w większych gospodarstwach i był przez rok czynny przy budowach kolei żelaznych.

Major był tego zdania, aby Prosper w nowym swoim zawodzie pozostał, pracą i oszczędnością dobijał się coraz wyższych szczebli a w rezerwie za sobą miał kawałek ziemi, który ostatecznie chroniłby go od groźb nieomyślnéj przyszłości.

Plan ten majora był czysto wojskowej natury. Gruntował się przeważnie na rezerwie, podczas gdy czynne siły w pierwszym planie do boju się szykowały.

Najprzód nie pochwalał on u swoich ziomków téj tradycyjnéj słabości dla gospodarstwa wiejskiego, które według jego zdania, było już amatorami przeludnione.

Widział często, że na jednéj wiosce jest kilka głów męzkich z pretensją do gospodarowania.

Gdyby te głowy nauczyły się innego zarobku, a jednéj gospodarstwo zostawiły, zyskałyby i one na tém, zyskałyby i kraj i społeczeństwo co do swego rozwoju ekonomicznego.

Powtóre był on tego przekonania, jakiego się dawniej trzymało, że młody człowiek powinien przódę w świecie swoich własnych sił popróbować, a gdy te oka-

żą się niedostateczne, lub zawód obrany staje się niemożliwy, wtedy dopiero wrócić do tego, co się po ojcu odziedziczyło.

Znajomi majora byli najprzód ludźmi uczonymi, pisali historię i poezye, potem stali się żołnierzami i doszli nawet do rangi generałów, a z tej karyery wracali dopiero do zacisza wiejskiego i pradziadowski lemiesz wzięli do ręki.

Tak myślał major i tak chciał wnukiem pokierować.

Wprawdzie inne były teraz zawody, to też chciał, aby Prosper przez jeden z dzisiejszych zawodów przechodził.

Dotąd szło wszystko bardzo dobrze.

Po kilku jednak latach zapragnął Prosper cofnąć się na swoją rezerwę, którą dopiero dla późniejszych jego lat chował dziadunio.

Powody tak nagłej ucieczki z linii bojowej były te same, które tradycyjnie trzymają nas przy gospodarstwach ziemskich, chociaż one liczbą amatorów są już i tak przepełnione.

Prosper miał wielką chęć pracy, a niepospolite jego zdolności ułatwiały mu tę pracę. Prowadził prawie sam jeden budowę dosyć znacznego mostu i budowa udała się wybornie. Przedsięwzięcy i towarzystwo żelaznej kolei było z tej budowy bardzo zadowolone, a nawet otworzyły się dla Prospera daleko sięgające widoki.

Gdyby Prosper miał tylko pracę nieustanną na widoku, byłby zakopał się w swoim zawodzie i po kilku latach wypłynął gdzieś dyrektorem lub jakim radcą budowniczym, przeczoby nie tylko wielkim pożytkiem był dla kraju, ale nawet majora wielceby uszczęśliwił.

Ale Prosperowi stanęło coś na drodze, to co prawie wszystkim jego ziomkom stawa.

Będąc zatrudnionym przy budowie kolei, wszedł w bliską styczność z ludźmi, którzy go otaczali!

Ponieważ zaś między tymi ludźmi i kobiety były a on miał lat dwadzieścia kilka, nie obeszło się więc bez tego, aby kiedy niekiedy jego serce żywiżej nie uderzyło i po całodziennej nużącej pracy nie nasłało mu nocą snów bardzo miłych i przyjemnych!...

Prosperowi sny bardzo się podobały, ale gdy z temi snami zbliżył się do rzeczywistości, spostrzegł że z rzeczywistością była bardzo trudna sprawa.

Spostrzegł, że kobiety były jakoś wybredne i czegoś innego od niego żądały niżeli uczuć i gorętszych uderzeń serca.

Najprzód nie lubiły tego, jeśli mężczyzna zajmuje się pracą osobistą i ma przełożonych nad sobą.

Ubliżało to wtedy ich godności i alterowało wymarzone ideały.

Wieś — była najulubieńszém schronieniem tych ideałów.

Na wsi mąż jest samowładnym królem — żona królową!

Służba, która szczęśliwą parę otacza, nie widzi nad nią nikogo wyższego.

Tu odbiera się holdy wieśniaków i arendarzy, tu poprostu — króluje się.

Jest sposobność, a nawet konieczność trzymania koni cugowych i karety, a czémże kobiéta jest — bez karety!

Patrzcie, jak ona pięknie wygląda przez tę szybę kryształową! Jak najpiękniejszy obraz w ramkach, jak *Madonna della Sedia!*...

A cóż może kobiecie dać człowiek osobistej pracy? Czy da jej towarzystwo takie, jakie daje wieś? Czy sprosi biednych urzędników, którzy piwo piją i z nimi każe jej bawić się? Czy będzie to w takim razie — salonem, o którym marzy każda we dworku wychowana kobieta?...

A do tego jeszcze ta hierarchia służbowa! Te wszystkie *над* i *под*, którym się klaniać trzeba!...

Fi done!

Lepiej pójść zamaż na wieś, za właściciela ziemi, bo jest przynajmniej sposobność do odgrywania pewnej roli w towarzystwie, u wód mineralnych, w hotelach zagranicznych... choćby ta rokosz trwała krótko, bardzo krótko, jak zwykle trwają — termina weksłów!

Takie usposobienie znalazł Prosper w zastępach naszej płci pięknej i jak bardzo wielu jego poprzedników uległ temu fatalnemu nałogowi dziedzicznemu!

Jakże mógł inaczej postąpić?

Dwadzieścia kilka lat odzywało się w nim przy każdym uderzeniu serca, te dwadzieścia kilka lat żądały, co się im z prawa należało — żądały ideału albo przynajmniej idealiku jakiego... a tu odpowiadał mu każdy idealik z podniesionymi do nieba oczami: Ach wsi! wsi!... choć wioski!

I cóż miał Prosper robić?

Gdyby nie miał wioski, byłby dalej budował mosty i kanały, może kiedy jedna z sześciu córek jakiego urzędnika byłaby została jego ideałem aż po koniec życia!

Ale Prosper na szczęście czyli nieszczęście miał pół wioski, którą mu major zostawił w rezerwie, i na tę rezerwę cofnął się.

Miał doświadczenie, że z tytułem dziedzica dóbr ziemskich jakoś łatwiej mu będzie zwabić ziemski ideał do siebie i przytrzymać go na zawsze, chociaż płaca inżyniera wynosiła trzy razy więcej niżeli dochody jego dóbr ziemskich uczynić mogą.

Ale płaca inżyniera jest cyfrą algebraiczną, którą każdy przeczytać, wymówić i zrozumieć może.

Tytuł zaś dziedzica dóbr jest to coś tak nieokreślonego, coś tak nieskończonego, że można sobie pod tym tytułem wyobrażać miliardy, biliony — co kto chce!

Można nawet w najgorszym razie udawać te miliardy używać kredytu do ich uprawdopodobnienia, i... z miliardem ożenić się!

Wszystko to praktykuje się, codziennie mamy tego przykłady, na cóż więc mozolić uciążliwą służbą jeśli jedynym zręcznym zamachem można pochwycić znakomity posag, a czasem nawet i nieszpętną żonkę w dodatku!

Zdaje się, że podobne spekulacye, obliczone na powyższą słabość kobiet do wsi, napędzają wiejskiemu gospodarstwu tyle amatorów i na jednej ojczystej wiosce obdłużonej trzymają w bezczynności sześciu lub więcej dorosłych braci, którzy żadną osobistą pracą nie chcą się pozbyć tytułu obywatela wiejskiego!

Być może, że temu tradycyjnemu nałogowi uległ i Prosper, gdy ukończywszy świetną budowę mostu, cofnął się do tytułu obywatela wiejskiego.

Nie można jednak utrzymywać, aby to uczynił w celach spekulacyjnych. Nie chciał on tym tytułem ułoić znakomitego posagu, ani stworzyć sobie sposobności błyszczenia po hotelach i kafenhauzach pożyczaną koroną hrabiowską.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, chciał on tylko stworzyć sobie możność wyszukania sobie takiego ideału jakiego sobie życzył.

Ponieważ zaś wyprawa po ten ideał daleko łatwiejszą była z tytułem dziedzica dóbr niżeli z dyplomem i arkuuszem płatniczym, dla tego schowawszy instrumenty inżynierskie starannie do futerałów, przyjechał do Majdanu po inwestiturę obywatela ziemskiego.

Z niedalekiej jednak przeszłości jego została mu słabostka budowania, której jako złego przyzwyczajenia, nie mógł się tak prędko pozbyć świeży obywatel ziemski.

Namówił więc poczciwego majora, że nowy obywatel potrzebuje nowego domku, a major chętnie przystał na to, widząc, że wnuk rozpoczyna od budowania zamiast, jak to się zwykle dzieje, od marnotrawienia!

Tym sposobem stanął domek szwajcarski, który budowniczemu wielki zaszczyt przyniósł na całą parafię, ale wraz z tym domkiem wyłazło z ziemi dla poczciwego majora wielkie nieszczęście!

X.

BŁĘDNE OGNIKI.

Gdy Prosper zagranicę wyjeżdżał miał lat niespełna dwadzieścia. W wieku takim, jako zwykły student, nie miał jeszcze prawa do stosunków towarzyskich.

Sąsiednie domy parafii znał o tyle, o ile czasem major wziął go jako nadzwyczajny dodatek z sobą. Z takich odwiedzin nie wypływały żadne obowiązki towarzyskie ani dla niego ani dla sąsiadów.

Dzisiaj była jego pozycja już inną. Jako człowiek samoistny miał prawo do stosunków towarzyskich, jako téż i sąsiedztwa miały prawo do niego.

Prosper jednak ułożył sobie planik i według niego chciał się światu najbliższemu zaprezentować.

Plan był dobry, ale na korzyść Prospera trzeba powiedzieć, że wypłynął więcej z dobrego instynktu niżeli z wyrachowania.

Gdyby, porzuciwszy rozpoczętą karierę i przyjechałszy jak rozbitek innych, lepszych nadziei do majątku swego dziadka, zaraz sąsiedztwu się przedstawił i z nióm

wszedł w stosunki towarzyskie, byłby może przyjęty tu i owdzie z lekkim politowaniem, że mu się karyera nie udało, że jako bankrut lepszych nadziei cofnął się w nieusłane przez siebie legowisko.

Prosper chciał pierwój w swojej parafii coś zrobić, chciał aby sąsiedzi wprzódy jego dzieło widzieli a przytém o autorze mówili, zanim tenże osobiście da im się poznać.

W takim razie miałby już dobrą opinię za sobą, a dobra opinia parafii, to tak jak świadectwo bezpośredniego przełożonego.

Postanowił więc zająć się pierwój budową nowego domku i naprawą budynków gospodarskich według wymagań najnowszej szkoły gospodarskiej.

I to rzeczywiście zjednało mu w niektórych sąsiedztwach zaraz dobrą opinią. Mówiono o nim wiele, opowiadano o nowym domku cudowne rzeczy, powtarzano różne opowiadania z jego życia zagranicą, i przytém wszystkiém chciano parafialnego bohatera poznać bliżej jak najprędzej.

Prosper wytrzymywał tę ciekawość jak mógł najdłużej. Nigdzie prawie z wizytą nie był wyjąwszy współdziedziców Majdanu, do których czasem z majorem na gawędkę wieczorną przychodził.

Planu jednak tego, dobrze pomyślanego, nie wykonał do końca.

Razu jednego gdy właśnie stał pomiędzy robotnikami i nowego wiązania dachu ich uczył, pojawiły się tuż za lipami dwie amazonki na kasztankach półkrwi arabskiej z masztalerzem z tyłu.

Jedna z nich była już osoba niemłoda, której lepiej byłoby do twarzy kareta niżeli siodło angielskie. Trzymała się jednak jak mogła w pozycji dosyć niewygodnej, a nawet od czasu do czasu podcinała kasztanka czarnym szpicrutem, aby mu trochę dodać lepszej fantazyi.

Druga była młoda i wyglądała bardzo ładnie. Miała włosy jasne i właściwą blondynkom przezroczystą cerę twarzy, słabo pod oczami zarumienioną. Oczy duże szafirowe były omglone marzeniem i patrzyły na świat z jakąś tęsknotą niewypowiedzianą. Na w pół otworzone usta pragnęły ustawicznie czegoś, czego jeszcze nie kosztowały, a lekki uśmieszek ironiczny okrażał je złośliwie zdaleka, jakby im chciał to pragnienie już naprzód zatruć!

Do téj prawdziwie zachwycającej twarzy łączyła się wiotka, elastyczna kibić, której uroczę wdzięki odsłaniały się i chowały za każdym silniejszym prądem wiatru, przeciw któremu amazonki jechały.

Im więcej zbliżały się do fabryki, tém wolniej stąpały kasztanki. Starsza przyłożyła lornetkę do oczu i zaczęła już zdala przypatrywać się...

Proesper sam nie wiedział co ma zrobić. Witac się i przedstawiać na drodze kto jest, bo amazonki prawdopodobnie nie poznały go, było mu jakoś bardzo nie na rękę. Odejść i schować się jeszcze gorzej.

Wyrałował go z tego kłopotu major, który właśnie w téj chwili wyszedł z poza węgła.

— Sciele się pod stópkę dobrodziejki! zawołał i pobiegł do starszej damy — przepraszam, bardzo przepraszam, że nie mam kąta... nie mam nawet ani kubka... może czém służyć?... Może ochłodzić się czém... soku mali-

nowego... wody z winem... hej Grzesiu!... łotr, pewnie już u swojej Nastuni... Proszę, proszę, może potrzymać konie... oj ten Prosper wszystkiemu winien! Chodźże tutaj winowajco i przyznaj się sam, żeś jest sprawcą tego, że ja dzisiaj nie mogę paniom podać ani kubka wody z sokiem ani lampki wina, ani bakaliów żadnych... Mówię paniom, wszystko przewrócone do góry nogami! Ja sam nie wiem, gdzie mam nogi, a gdzie głowę!...

Na szczęście zabrakło majorowi tutaj tehu, bo Prosper już był w niemalym kłopotcie. Stał dłuższy czas przed amazonkami, które z ciekawością patrzyły na niego.

— Otóż to winowajca, mój wnuk. Prosper — mówił dalej major opierając rękę na głowie Prospera — nie wiem czy pani dobrodziejka przypomni sobie tego wisusa, co to raz będąc dzieckiem pozrywał panu Benedyktowi w ogrodzie te wilcze jagody... jak się tam nazywają w książce... aha: *belladonna!* I zjadłszy coś z tych jagód mało nie zwaryował!...

— A! przypominam sobie, odpowiedziała z lekkim ukłonem pani Patrycja... bardzo mi miło...

Prosper uklonił się damom. Major mówił dalej:

— A przypominasz sobie pani dobrodziejka, co to pan Benedykt wtedy powiedział?

Tu major wyprostował się i podkreślił wąsy.

— Powiedział (niech mu Bóg tego nie pamięta), że wnuk to robi w jego ogrodzie, co dziadek we Włoszech praktykował!... Ho ho!... *Belle donne...*

Pani Patrycja pogroziła szpicrutem Prosperowi, uśmiechnęła się wdzięcznie i rzekła:

— Niech pan będzie ostrożnym... bo te i te trują!

Major rozśmiał się na całe szerokie gardło.

— Cha, cha, cha! *Excellente!* Slicznie pani dobrodziejka powiedziałaś! To i to trucizna... ale słodka, czarująca trucizna... dalibóg nie żal się struć! Pal go diable!

Alodya uśmiechnęła się swoim melancholijnym uśmiechem i szafirowe oczy utopiła w pięknej męzkiej twarzy Prospera.

— Ale nie lękaj się pan, rzekła pani Patrycyja do Prospera, dzisiaj się pan nie strujesz. Spodziewam się, że pan zechcesz obaczyć to miejsce w ogródku naszym, gdzieś pan taki krok niebezpieczny uczynił... Belladonna tam już pan nie znajdziesz, ale znajdziesz róże i bratki, ręką mojej córki zasadzone!

— A co? Czy to nie trucizna mościa dobrodziejko? zawołał ocierając łzy major, aby takie piękne rączki...

Major spał się na palcach i ucałował końce drobnych paluszków Alodyi.

— Czy takie piękne ręce, kontynuował dalej, nie mogą tak samo zatruć, lub rzucić truciznę do czary życia?...

Pani Patrycyja spięła kasztanka, śmignęła kilka razy szpicrutem w powietrzu i rozśmiała się.

— Mości majorze, rzekła po chwili, dzisiaj mężczyźni nie trują się tak subtelными rzeczami! To bywało dawniej, bywało wtedy, gdy kochany major truł się nielitościwie... truł siebie i drugich...

— Wolne żarty, wolne żarty mościa dobrodziejko, replikował expalestrant, ale aby tak przyznać się z ręką na piersi... i nieubliżając wcale pannie Alodyi... dali-

bóg tak było w istocie! Hm... truliśmy siebie i drugich... ale dzisiaj i tych nie ma co truć, i tych co by chcieli dać otruć!...

— Widzisz majorze, że na moje wychodzi?...

— A pan milczysz? ozwała się do Prospera Alodya pięknym, tenorowym głosem swoim.

— Tak jest, milczę, odpowiedział z uśmiechem Prosper. Nie chcę broni méj wystrzelić... chcę ją mieć nabitą do stosowniejszego czasu!

— Pan mnie zaciekawiasz!

— Do widzenia się! rzekła pani Patrycja i obydwie ruszyły galopem dalej drogą polową.

— Tam do kata! Ażem się spocił z tych komplementów! rzekł major chłodząc sobie odkrytą głowę.

Prosper stał długo w milczeniu.

Zółte kłęby kurzu wzbijały się wysoko na końcu drogi, a gorące promienie sierpniowego słońca wyłączały im brzegi i nakrapiały purpurę...

Major odszedł do swego szałas, cieśle stali z załamaniem rękami nad wiązaniem dachu, czekając niektórych wyjaśnień budowniczego — ale budowniczy zapomniał o nich i stał jeszcze na tém samém miejscu, z którego amazonki galopem ruszyły...

Nazajutrz był Prosper w ogródku, gdzie dawniej rosły wilcze jagody, i podziwiał piękne róże i bratki, które tam kiedyś piękna rączka Alodyi posadziła... podziwiał dobroczynną rączkę, porównywał bratki z jéj oczami a blade jéj róże z ustami i długo myślał nad tém co może oznaczać ten uśmiech melanholijny, który nie boli, nie rani, ale zachwyca!...

Pani Patrycja była mu bardzo rada, że ma gościa, z którym może po francuzku do syta rozmawiać i opowiadała mu wiele o swoich znakomitych stosunkach z wyższego świata. Pokazywała mu nawet niektóre najnowsze listy, przyczém, jak gdyby dopięro sobie przypomniała, oświadczała Alodyi różne ukłony od znakomitych znajomych.

Prosper nie był w téj chwili krytykiem ludzi i ich charakterów, słuchał cierpliwie panią Patrycję, patrzył z zachwyceniem na Alodyę i marzył sobie przytém jakies nader przyjemne rzeczy.

Z natury rzeczy wypływało, że za kilka dni powtórzył wizytę, a za kilka tygodni towarzyszył im w wycieczkach na koniu i różne grzeczności im wyprawiał.

W parafii dziwiono się dwom rzeczom:

Najprzód, jak mógł Prosper zaniedbawszy reszty sąsiedztwa poświęcić się zupełnie na usługi pani Patrycji i jak mógł zająć się podobnym domem?

Powtóre, jak mogła pani Patrycja wraz z córką swoją przypuścić tak blisko połowicznego obywatela ziemskiego, jeśli przecież o nich dobrze wiedziano, że kroją na coś grubszego?

Temi dwoma pytaniami zatrudniała się cała parafia i nie mogła w żaden sposób ich rozwiązać.

Zdaje się, że i major zaczął w końcu myśleć nad tém pytaniem, a nie mogąc sam sobie odpowiedzieć postanowił wprost udać się do Prospera, bo dalsze zwlekanie groziło wielkiem niebezpieczeństwem.

XI.

STRATEGIA MAJORA.

Dzwonek parafialnego kościoła, który pana Nazaryusza srebrnym dźwiękiem swoim do domu prowadził, gdzie go Bonusia z takim niepokojem oczekiwała — sprowadził także majora ze schodków na ziemię i długo jeszcze brzmiał po zroszonych kwiatach, i odbijał się głuchym jękiem po starych drzewach.

Był to dzionek prześliczny. Majowe słońce ogrzewało coraz więcej pokrzeple trawki, a wesole ptaszęta przeganiały się z radosną pustotą, skacząc i latając od gałęzi do gałęzi.

Major szedł zamyślony ścieżką, ocienioną krzewami akacyi, która do stajen prowadziła.

Przed chwilą bowiem widział, że Prosper tam poszedł, z kąd prawdopodobnie do wycieczki się wybierał.

Jakoś zastał go w istocie przed drzwiami stajni.

Prosper miał aksamitną kurtkę, żółte, jelonkowe rękawiczki i elegancką francuzką czapkę.

Stajenny niósł właśnie siodło.

— Czy pojedziesz do miasta? zapytał major.

— Tak jest — odparł Prosper.

Major patrzył chwilę na Prospera. Zmusztrował dokładnie kurtę aksamitną, wyegzaminował rękawiczki, które były nowiuteńkie, przypatrzył się śnieżnym kołnierzykom, i dłuższy czas studyował fryzurę i brodę.

Wszystko, co z tego wyczytał, okazywało jasno, że Prosper oprócz nabożeństwa ma jakieś inne zamiary, że do Pana Boga nie byłby tak starannie wszystkiego ułożył.

Wyraźnie odbijały się na tém wszystkiém jego tajne zamiary, z których major nie był kontent.

Ale major był z urodzenia dyplomata, jak się sam często do tego przyznawał, i mniemał, że każdą rzecz trzeba traktować po dyplomatycznemu, bo inaczej czart wda się w sprawę i ją popsuje!

Otóż i w téj chwili, tak samo jak z panem Nazaryuszem, ułożył sobie pewien proceder dyplomatyczny, od którego nigdy nie odstępował.

— Ciesz się mnie to, odpowiedział szczerze i serdecznie, że o Panu Bogu nie zapominasz, jak to dzisiaj zwykli ludzie czynić, ale możeby lepiej było, gdybyś ze mną siadł na dryndulkę niżeli tłuc się na deszczu!

— Pojadę wierzchem! odparł Prosper.

— Jakto? Ze mną jechać nie chcesz?

— Z dziaduniem najchętniejbym jechał -- ale dzisiaj ułożyłem sobie, że pojadę na deresz!

Major patrzył chwilę na Prospera.

— Wiem ja, dla czego ze mną nie chcesz jechać! zagadnął po chwili.

— Dla czego? zapytał ciekawie Prosper.

— Dla tego, że dryndulkę moją uważasz za skromną!

— Cóż dziadunio mówi!

— O znam ja was! Wy dzisiaj chcecie pierwój jaśnić i błyszczyć, nim na chleb zarobić potraficie!

— Dziadunio wyrządza mi niesprawiedliwość!

— Wiem ja co mówię! Dzisiaj młody mężczyzna chce gwałtem sprzedać się za więcej niżeli jest wart na wagę. Dawniej inaczej bywało! Kto to ten człowiek tak skromnie ubrany, który idzie piechotą po pod zamek królewski a z tak pięknym wyrazem na twarzy? pytano za czasów Batorego, to Jan Zamojski odpowiadano, a ludzie w szarych falendyszach zdejmowali czapki z głowy!.... A dzisiaj, jakże inaczej! Czyje to taranty w posrebrzonych chomontach, i ten angielski ekwipaż z białą liberyą?... To pana X*** odpowie ktoś. Jeden go zna, dziecięciu nie znają ale nikt czapki nie zdejmie, choć taranty, choć srebro na chomontach, choć biała liberya na koźle!..

— Nie wiem dla czego dziadunio dzisiaj właśnie takie kazanie mi gadasz?

— Nie mówię tego wprost do ciebie, ale mówię o twoich rówieśnikach! Dzisiaj tylko blaga i efekt górą! Radzę ci, jedź na moją dryndulce!

— Dziadunio pozbawisz mnie przyjemności, jaką sobie naprzód ułożyłem!

— Czy sądzisz, że na dereszku z angielskiem siodłem będziesz więcej wart niżeli w mojej drynduli? Mylisz się. W parafii nikt ani dydka więcej nie da za ciebie. Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi! Tylko zagranicą, gdzie człowieka nie znają, można się sprzedać po wyższym kursie.

Gdybyś pojechał do Wiednia, Drezna, do Spa lub Ostendy to byś mógł nawet hrabią zostać, a nawet za taki towar możeby dobrze kto zapłacił... Ale w parafii... w parafii jesteś odważony po aptekarsku na drachmy i żebyś pękł z odęcia się, to więcej za ciebie nie dadzą!

— Widzę, że dzisiejsza niedziela jest dla mnie fatalną! z zalem zawołał Prosper i odwrócił się od drzwi stajni.

Smutno zrobiło się majorowi, że wnuka rozżalił. Wziął go za rękę, spojrzął mu serdecznie w oczy i rzekł z uśmiechem:

— Nie gniewaj się Prosperze na starego gadułę. Wiesz, że niedzisiejszy, a może też i dzisiejszych rzeczy nie rozumiem. Zresztą jest to już dawny przywilej starych ludzi, że na nowe czasy i nowych ludzi narzekają. Mój dziadek nie mógł się nachwalić czasów Augusta II, chociaż te czasy i szczypty tabaki nie były warte! Więc daruj mi, jeśli gdéram!

Prosper uśmiechnął się, ścisnął majora za podaną rękę, a nawet pocałował ją.

— Teraz, rzekł major z dyplomatycznym uśmiechem, kiedy już jesteśmy pojednani, pozwól niech z tobą słówko w ważniejszej sprawie pomówię. I tak dopiero w kościele na różaniec dzwonią a do wotywy jest jeszcze ze dwie godziny czasu. Chodźmy tą ścieżką.

Prosper uczył w duszy jakiś niepokój. Zdawało mu się, że ktoś chce się dotykać jego marzeń najskrytszych, których on nawet przed samym sobą głośno nie wymówił.

Niepewnym krokiem podążył za majorem.

Major zatrzymał się nad brzegiem stawku, gdzie zwykł był rzucać rybkom okruszyny chleba.

Zdaje się, że rybki były do tego przyzwyczajone, bo kilka małych pyszczków plusnęło na powierzchni wody, a wypływające z głębi fale okazywały, że tam pod szybą stoi już do żeru gotowa czeladka...

Major jednak tym razem nic nie miał w kieszeni. Był on ważniejszymi rzeczami zajęty.

— Chciałem kochany Prosperze, zaczął z pewną uroczystością, pomówić z tobą o twojej przyszłości!

— Nie wiem, czy będę mógł dziaduniowi dostatecznie odpowiadać, bo przedemną jeszcze jest ciemno! odpowiedział zamyślony Prosper.

— Sądzę, że wspólnie rozjaśniemy tę oponę!

— Wątpię!

— Czy myślałeś kiedy o swojej przyszłości?

— Nie wiem co dziadunio przyszłością nazywa!

— Juściż nie siwe włosy, ani łysą głowę!

— Może fortunę?

— Fortuna to szata użyteczna, ale dla szaty przecież nikt nie żyje na świecie!

— Stanowisko między ludźmi?

— To jest dopiero rezultatem życia zacnego — ale tego nikt sobie naprzód nie wybiera.

— Nie wiem, czego dziadunio żądasz!

— Ja mówię o przyszłości, którą człowiek sobie sam dobrowolnie wybiera!

— Więc zawód jaki!

Major poskrobał się w głowę i splunął z indygnacją, aż rybki wszystkie pouciekały.

— Chciałem delikatnie mówić o ożenieniu się! rzekł po chwili patrząc na Prospera.

— O ożenieniu się! powtórzył Prosper i skrzywił się.

— Wiem, wiem, że to nie bardzo przyjemnie brać kogoś na konfessatę w téj materyi, ale daruj mi, mam do tego ważne powody!

Tu schował major brodę w białą chustkę szeroko pod szyję zawiązaną i wyglądał jak prawdziwy patentowany dyplomata.

Prosper patrzył na twarz jego, patrzył na wstydliwą brodę, która coraz głębiej chowała się po za chustkę, patrzył w bure oczy, które nieruchomie jak dwie gałki stały w samym środku — ale nic nie mógł dojrzyć, coby jego ciekawość zaspokoilo.

— Mówisz dziadunio, rzekł powoli, że masz pewne powody, które takiego zapytania wymagają. Chciej więc dziadunio najprzód coś o tych powodach powiedzieć!

— Powody... powody, mruzczał dyplomata parafialny, powody mogą być różne!... Najprzód pierwszy powód stoi ot tam poza drzewami! Nowy dzwonek!... Kto nowy dom buduje, powiadają sąsiedzi, ten zamyśla do tego domku kogoś wprowadzić!... Więc nuż zgadywać, któżby to mógł być taki, dla kogo pan Prosper wraz z majorem ten domek postawili!

— I cóż mówią? z uśmiechem zapytał Prosper.

— Różnie mówią. Jedni mówią, że gospodynią w nowym domku będzie... panna Agata!

Prosper rozśmiał się.

— Drudzy powiadają, że te wyrzynane koronki ozdobią piękny buziaczek panny Karoliny...

Prosper ruszył ramionami.

— Inni utrzymują, że królować tu będzie... jak się tam nazywa... to prześliczne, pocziwe dziecię z niebieskimi jak niezabudki oczkami...

— Któż taki? z chmurką na czole zapytał Prosper.

— Ach!... tam do kata... w tej chwili spadło mi gdzieś z języka...

Major patrzył teraz z wyteżoną uwagą na twarz Prospera.

— Bonusia! zawołał Prosper i rozśmiał się.

— Ot! Widzisz! jak odrazu trafieś!... A co czy prawda? Czy to tak instynkt przemówił z ciebie?

Major z niepokojem śledził wszystkich ruchów twarzy Prospera...

Prosper rozśmiał się i zaczął machać szpicrutem.

— I to nie? rzekł smutno major i spuścił oczy w ziemię jak człowiek, który sprawę przegrał — i to nie?... Cóż tam więcej mówią! Jużem do diabła zapomniał!... Aha! Mówią także coś... i o sąsiednim pałacu!

Major podniósł oczy i wlepił je w Prospera.

Twarz Prospera lekko zarumieniła się.

Major posmutniał.

Przypomniał jednak sobie w sam czas jeszcze dyplomacyę, schował połowę brody do chustki, uśmiechnął się jak mógł najśłodziej i odparł:

— A tuś mi ptaszku? Złapałem cię! Oho ho! Złapałem! A ja łapać umiem! Pamiętam pod Lipskiem gdy mi rajtar pruski chciał ucieknąć...

— Ja przecież jeszcze nie przyznałem się do niczego! z wymuszonym żartobliwym uśmiechem odpowiedział Prosper.

— Nie potrzebujesz się przyznawać! mówił dalej dyplomata z nieklamany wyrazem radości na twarzy — już tak jakbyś się przyznał!

— A gdyby tak było w istocie jak dziadunio mnie masz, czy to byłoby źle z mojej strony?

— Uchowaj Boże! Masz wolną wolę, a ja cieszyć się będę, jeśli szczęście zdobędziesz!

— Dziadunio mówisz to.... jakoś.... nienaturalnym głosem!

— Jak cię kocham, naturalnym! Zachryplem trochę... od wody wiatr wilgotny przeciąga! Jak cię kocham, naturalnym głosem! A cóżbym miał w tém za interes mówić głosem nienaturalnym?

Dyplomata był teraz trochę w kłopotcie, bo Prosper poderwał mu tém zapytaniem nogi. Ratował się jak mógł chustką i krzaniem.

-- Może dziadunio miałbyś co przeciw temu? zapytał znowu zaniepokojony krzaniem Prosper.

— Jak cię kocham nie! hm, hm! Cóżbym miał przeciw temu? I owszem, gdyby tylko pałac nie miał nic przeciw temu!

Prosper zamyślił się.

— Trzeba dobrze rzeczy wysondować, mówił dalej major wysuwając coraz więcej brodę z chustki, trzeba się jakoś zabezpieczyć, aby fiasco nie zrobić!

Słaby rumieniec wystąpił na twarz Prospera.

— Bo to widzisz, mówił coraz głośnień major, taka rzecz w ukryciu pozostać nie może... a tu nie Wiedeń ani Drezno, ani Ostenda, gdzie podobne rzeczy codzien do wody wpadają i giną — ta parafia, a w parafii to tak jak w Tatrach: krzykniesz: *hop!* a echo trzy razy powtórzy: *hop, hop, hop!*

— Przecież lekkomyślnym tak nie będę! odpowiedział zarumieniony Prosper.

— To już dobrze! Jeśli lekkomyślnie rzeczy nie bierzesz, to nie ma się czegoś niefortunnego obawiać! Szczęść ci Boże!

Prosper nie mógł dzisiaj zrozumieć majora.

Co się staremu stało nagle? Prosper wiedział, że major jego zamysłem wcale sprzyjać nie może, często nawet odzywał się niedobrze o tych ludziach... cóż dzisiaj nagle zrobiło go tak łagodnym barankiem?

Prosper obawiał się walki, walki zaciętej, przygotował do tego broń i amunicję, a tu idzie naprzeciw niemu major z oliwną gałązką i powiada: *zgoda!*

Nie mógł jeszcze dobrze zrozumieć Prosper, co właściwie tak pokojowo majora usposobiło, nie mógł odgadnąć powodów, które majora do takiego zachowania się zmusiły.

— Ale powiedz mi naprzód, zagadnął nagle major, czy ty te rzeczy bierzesz na seryo, czy tylko tak bawisz się!

— Na seryo, kochany dziadunio!

— I spodziewam się, że tylko czyste uczucie wiedzie cię w tę stronę!

— Zdaje mi się, że czyste!

— Że nie ulękiesz się możliwych przeszkód lub jakich niefortunnych wydarzeń...

— Sądzę, że wszelkie możliwe przeszkody zwalczyć mogę, a co do wydarzeń niefortunnych... nie wiem jakiej natury one być mogą?

— Naprzykład... gdyby fortuna ich zachwiała się...

— Nie wpłynęłoby to na moje postanowienie!

— Rozumie się, gdyby nawet wypadło wziąć do domku pannę zupełnie ubogą...

— Rozumie się!

— Gdyby nawet dla tej żony potrzeba było trzy razy więcej pracować, aby jej przyzwyczajeniom zadość uczynić...

— Bez wątpienia!

— Kiedy tak, to już dobrze! zawołał major z wyrazem radości na twarzy i ucałował Prospera serdecznie, kiedy tak myślisz, to niech Bóg błogosławi zamysłom twoim!... Ale ja sądę, że rzeczy odwlekać nie trzeba! Chleb, gdy długo w piecu siedzi, to się odsiedzi!... Czy mówileś co z matką lub Alodyą?

— Tak wyraźnie... nie!

— To zaczekaj! Trzeba tę sprawę jeszcze dziś poruszyć. Po nabożeństwie lub po obiedzie pojedziemy obaj, a ja tam już moje trzy grosze wścibię!

— Czyby to nie było zawczasie?

— Nie bój się! A ostrożność od czego? Ty masz oczy, ja mam oczy... a zęby od czego, gdy język niepotrzebnie zaswędzi?

Prosper był rozczulony. Rzucił się na pierś majora i serdecznie go wycalował. Nawet w blizkie swoje szczęście uwierzył.

— Teraz jedź na deresz a mnie zostaw w drynduli rzekł major i podał mu rękę.

I długo stał w miejscu i patrzył za odchodzącym do stajni Prosperem z rozczuleniem na twarzy...

Gdy tenże jednak na skrócie scieżki z oczu zniknął, wziął się major za boki i zaczął się śmiać, śmiać tak serdecznie i szczerze, aż wszystkie rybki od brzegu stawu pouciekały!...

I śmiał się ciągle... śmiał się gdy kudłaty Tyran do niego przyszedł... śmiał się gdy mu ręce zaczął lizać i śmiał się nawet jeszcze wtedy, gdy poczciwy psisko nie rozumiejąc smiechu swego pana, zaczął wyć przeraźliwie... a w końcu szczekać!

Wtedy major przestał się śmiać, a nawet zamyślony zwrócił kroki swoje ku domkowi.

XII.

NIEDZIELA W PARAFII.

Pod pewnym względem jest parafia w niedzielę bardzo ciekawą, i pozwala lepiej niżeli w dni powszednie studyować swoje cnoty i ułomności.

Najprzód rozdziela się parafia w niedzielę na różne dosyć wybitne kategorie, których w dzień powszedni nie zawsze widać.

Po jednych mieszkańcach parafii widać wyraźnie niedzielę, inni wyrzekają się jój troskliwie i z pewną ostentacją robią z niej dzień powszedni, powszedniejszy nawet od sześciu dni roboczych tygodnia.

Osobliwie ludzie chcący należyć do wyższej sfery parafii, starają się niedzieli odebrać u siebie jój charakter świąteczny, aby wszystkim okazać, że u nich może być każdy dzień świąteczny, bo nie potrzebują pracować.

Dla tego unikają starannie w niedzielę wszelkich wizyt i zebrań sąsiedzkich, aby nie rzucać na siebie podejrzenia, że dnie powszednie mają zajęte jaką pracą.

Zresztą zabawiając się w niedzielę zrównaliby się z ludźmi uboższymi, którym ten dzień do wytechnienia pozostaje. A przecież w parafii trzeba się czémś wyróżnić i dbać o swoje stanowisko. Nawet w kościele parafialnym nie radzi pokazywać się w niedzielę, chociaż znowu z drugiej strony ciekawość obaczenia całej parafii bez żadnych towarzyskich zobowiązań każe im często zasiąść w ławkach kolatorskich i ztamtąd robić różne spostrzeżenia.

Czasami przyłącza się do tego zasada, aby publicznie dawać przykład religijności całej parafii, w której nurtować zaczynają, według ich zdania, złowrogie maksymy nowszego wynalazku.

Bądź co bądź, niedziela w parafii jest zawsze ciekawą, a najciekawszą dla tych, którzy wydają w tym dniu tak zwane nowiny parafialne, mające prawo kursować po całej parafii aż do drugiej niedzieli!

Niedziela jest wyłącznie uprzywilejowana do takich nowin. Wszystko im bowiem sprzyja w niedzielę.

Cyrulik z miasta obiega w niedzielę kilka dworów a gołąc brodę jegomości, opowiada mu różne rzeczy, których jejmość słucha z wielkiem zajęciem.

Krawiec damski, żydek z miasteczka, obnosi w tym dniu gotowe swoje wyroby i ma nietylko prawo ale nawet i obowiązek opowiadania w buduarach i garderobach różnych nowin z dworów sąsiednich.

Rzemieślnik, który w niedzielę odbywa swoje bezowocne najczęściej wędrowki po dworach, żądając należącć się mu zapłaty, nietylko że nic nie dostaje w ten dzień, ale musi jeszcze wyspowiadać się przed gospodarzem

dworu lub gospodynią, co widział i słyszał w sąsiedztwie, kto mu zapłacił, a kto tylko obiecał!

Nareszcie żyd pachciarz, który w niedzielę za cały tydzień obowiązany jest złożyć pieniądze za mleko, gdyż dłuższego kredytu nie może sobie ze względów bardzo ważnych u szlacheica wyrobić, wraz z ratą pieniężną przynosi i oddaje najczęściej samą jejmości różne nowinki, które był gdzie zastał.

Prócz tego jeszcze służba dworska i folwarczna odwiedza siebie w dni świąteczne i roznosi z sobą po sąsiedztwach różne ploteczki, które razem zebrane i umiejętnie uzupełnione, zawsze do czegoś się zdadzą.

Otóż tej niedzieli był w całej parafii plon nowinek bardzo obfity, które nader starannie rozbierano po różnych dworach.

Najprzód krawiec z miasteczka, który z jakąś gotową robotą był u pana Nazaryusza opowiadał pani Marcinowej, że Bonusia bardzo zmizerniała, pobladła i schudła. Krawiec miał nawet wielki kłopot z przyniesioną suknią, która od dziesięciu miesięcy była u niego w robocie. Okazała się zaszeroka w figurze i musiał ją zaraz na oczekaniu o trzy palce zaciesniać, bo Bonusia chciała w nią się ubrać do kościoła.

Rymarz znowu idący do pana Pawła po zapłatę od szorów, które przed dwoma miesiącami naprawiał, opowiadał panu Piotrowi, że nietylko od pana Pawła żadnej zapłaty nie dostał, ale nawet i do pana Nazaryusza po jakąś robotę nadaremnie wstępował, bo nie zastał go w domu, a potem gdy przyszedł od pana majora, nie mógł się

nawet dobrze z nim rozmówić, tak był jakoś smutny i pomieszany.

Pachciarz zaś opowiadał pani Piotrowej, że widział pana Nazaryusza, jak szedł sam jedną drogą polową i do siebie gadał. Pani Piotrowa zaś przypomniała sobie, że stryjeczny brat pana Nazaryusza, także tak zrazu gadał sam do siebie a potem coś mu się w głowie pomieszało, że go aż do szpitala oddać musieli.

Z tego znowu wносиła pani Aleksandrowa, że obłąkanie jest chorobą dziedziczną i że prawdopodobnie wypadnie taki los nie tylko na pana Nazaryusza ale na Bonusię, która już teraz ma coś w oczach, co zwykle tę okropną chorobę przypowiada!

Pani Szymonowa, która miała cztery córki na wydaniu, opowiadała o tej smutnej nowinie wszystkim kawalerom parafii, wyrażając przytém żal szczery i nieklamany dla biednej Bonusi!...

Najtrudniej było o nowiny z domu pani Patrycyi.

Tam była atmosfera szczerze zamknięta. Służbie nie wolno było zaprzyjaźniać się w sąsiedztwie ani żadnych stosunków utrzymywać. Zresztą służba ta odnawiała się prawie co miesiąc, i składała się z samych obcych ludzi, którzy na miejscu nie zastali żadnych tradycyj i żadnych nie zostawiali.

Mimo to jednak wiedziano w parafii, że pan Prosper często na koniu towarzyszy pannie Alodyi, że oboje bardzo po przyjacielsku rozmawiają z sobą, a nawet dowiedziała się pani Pawłowa od swego kucharza, który z odpustu wracał, że raz przy granicznym kopcu Majdanu zeskokczył pan Prosper z konia i narwał z żyta pęk bławatków,

z których jeden sobie wybrała Alodya i słodko do niego się uśmiechnęła.

Pani Szymonowa, matka czterech córek na wydaniu utrzymywała, że pani Patrycja chce pałac swój przerobić i w tym celu bywa tam pan Prosper jako prosty budowniczy, tak samo jak do każdego dworu chodzi szewc i krawiec.

Pani Piotrowa, u której koncetrowały się niejako te wszystkie nowiny, a która uchodziła w parafii za redaktorkę różnych biuletynów parafialnych, zebrawszy wszystkie te nowiny i plotki razem, ułożyła z tego niedzielny biuletyn i rozesała go po całej parafii.

Biuletyn ten brzmiał: że Bonusia gwałtem chce iść za pana Prospera i z tego powodu choruje — że pan Prosper ani myśli o Bonusi tylko chce się ożenić z panną Alodyą, której to ani w głowie i że znowu pan Prosper z tego się martwi!...

Literat powiatowy pan Ausgary, nazwany literatem, że od czasu do czasu zwykł po parafii rozsyłać *anonim* listy i wierszyki ucinkowe, zrobił z tego biuletynu pewien aksjomat społeczno-filozoficzny, który okazuje, że jak w świecie fizycznym tak też i w społeczeństwie odbywa się pewien ruch odśrodkowy. Jak na wodzie jedna fala dąży do drugiej, druga dąży do trzeciej a trzecia do czwartej i t. d. tak też w społeczeństwie jeden goni za drugim, drugi za trzecim a trzeci za czwartym i t. d.

Naprzykład panna Bona goni za Prosperem, Prosper zaś goni za Alodyą a Alodya goni znowu za kimś innym, który jest przed nią a nie za nią!...

I jak fala z falą się nie złączy, tak téż i ludzie goniący w ten sposób za swemi ideałami nigdy ich nie dosięgną!...

Byłby na to może łatwy sposób — gdyby się obrócili! Ale i wtedy nie dopną celu, bo reguła obrotu działa na wszystkich. Zostałyby zawsze te same dystancje, tylko kierunek biegu zmieniłby się.

Tak dowodził pan Ausgary u państwa Piotrów, do których jadąc do kościoła na chwilę wstąpił, a pan Piotr słuchał go z wielką uwagą, bo miał go za człowieka piśmiennego, który z parafii pisuje do kronik artykuły meteorologiczne i daje cenniki zboża na targach w miasteczku.

Widać więc z tych drobnych rysów jak cała parafia usposobioną była téj niedzieli, w której zaczęły się rozgrywać losy trojga ludzi.

To było powodem, że w każdym dworze powzięto uchwałę, aby do parafialnego kościoła pojechać, i tam naocznie przekonać się o stanie rzeczy. Każdy bowiem z parafii miał się za psychologa i był pewny, że z szafirowych oczek modlącej się Alodyi i z pochylonego czoła klęczącej zazwyczaj Bonusi dodawszy do tego brodę pana Prospera wszystko jasno wyczyta.

W ten sposób dzisiejsza msza w kościele parafialnym miała być, według wyrażenia specjalnego parafii, świetną!

XIII.

KOŚCIÓŁ PARAFIALNY.

Kościół w większych miastach mają cechrę przeważnie demokratyczną. Podczas kiedy społeczeństwo dopiero w ostatnich czasach wyrzekło równość każdego w obec prawa, religia chrześcijańska w samych początkach ogłosiła równość każdego w obec Boga!

I domy modlitwy i nauki religijnej przyjęły tę piękną zasadę i w przestrzeniach swoich pomieszały bogatych z ubogimi, dostojników z ludem!

Osobliwie kościoły większych miast wyrażają jasno tę piękną ideę. Tam biedny proletaryusz stoi w jednym szeregu z bankierem, rzemieślnik siedzi na jednej ławie z szlachcicem, i Pan Bóg bez żadnych względów osobistych otwiera ucho swoje po kolei tym, którzy pierwsi i pokorniejsi zasyłają mu prośby swoje!

Nie tak w kościele parafialnym.

Kościół parafialny na wsi lub w małym miasteczku jest to miejsce, gdzie nader skrupulatnie ma każdy pewną

tradycją odmierzone miejsce swoje, na które sobie, według opinii parafii, zasłużył.

Miarą znaczenia jest tutaj przeważnie majątek lub urząd, jaki się ma w parafii.

Bywają wprawdzie czasem nadużycia, ale parafia nie lubi uzurpatorów i zmusza ich różnemi środkami do cofnięcia się na swoje stanowisko.

Takim kościołkiem był nasz kościółek parafialny.

Dosyć okazały zewnątrz swoją architekturą, był wewnątrz dosyć niegustownie urządzony.

Osobliwie oszpecały jego piękne ołtarze tak zwane wotywnie firanki. Ołtarze były dłuta i noża znakomitego snycerza, miały pewien system w ornamentach, składających się z pięknych arabesków i kolumn różnego porządku i przedstawiały miłą dla oka całość.

Pobożni jednak parafianie oszpecili te ołtarze różnemi firankami, które najczęściej ze staropolskich ubiorów były niezgrabnie pozszywane, bez względu na kolory, któremi przyćmiewały znajdujące się w ołtarzach obrazy.

Nieraz nawet tworzyły te firanki komiczne sytuacje świętych pańskich, którzy widocznie z takich dodatków nie byli kontenci.

Naprzykład w wielkim ołtarzu św. Piotr musiał przeдрzcć adamaszkową materję firanek, aby wiernym okazać swoje złote klucze jako strażnik bramy niebieskiej. Stojący po drugiej stronie św. Wawrzeniec z żelazną kratą w rękę, odwrócił się ze skargą do swego towarzysza, że adamaszek zakrył mu godło jego męczeństwa, przez co wierni biorą go za św. Pawła i jako takiemu każą zanosić modły do Boga! A w górze znowu anioł, podtrzymujący

tron Boga, któremu na szyi zawieszono ten adamaszek, poczerwieniał na twarzy i oczy szeroko otworzył, jak człowiek którego duszą!

Przy bocznym ołtarzu jakiś biskup czy papież nawet wznoszący rękę do obrazu Bogarodzicy, musiał tymczasem trzymać w tej ręce gruby sznur od firanek, który mu powierzył dziad kościelny.

Prócz tego firanki te były już dwa razy powodem, że kościół cały zgorzał. Wierni jednak parafianie odnowili kościół i sprawili nowe firanki, aby w kościele było wszystko po dawnemu!

Z niemniejszą troskliwością przestrzegano tradycyjnych zwyczajów grupowania się w domu bożym.

Tak zwani przedmieszczanie czyli chłopci mieli przeznaczoną główną nazwę kościoła pomiędzy ławkami. Tu mogli stać lub klęczyć jak im się podobało.

W ławkach po prawej stronie zasiadali najmajętniejsi mieszczenie miasteczka i to z taką skrupulatnością porządku hierarchicznego, że według miejsca każdego można było ocenić stan jego majątkowy.

Po lewej stronie, takimże samym ordynkiem siedziały mieszcanki. Niemal możnaby było odgadnąć, która żona do którego męża należy.

Gdy się która spóźniła, a tymczasem jakaś biedniejsza kobieta to miejsce zasiadła, to póty stała z wyzywającym wzrokiem przed uzupatorką, póki ta nie wstała i swego miejsca nie ustąpiła.

Przestrzeń pomiędzy filarami była przeznaczona dorastającym młodzi z zachowaniem tego samego porządku jaki panował w ławkach.

Tak przedstawiała nam się główna nawa kościoła, od której było zgrabną balustradą oddzielone tak zwane presbiterium.

Przestrzeń ta, sięgająca do samego wielkiego ołtarza miała kosztowne ławki ze snycerską robotą po obu stronach, przeznaczone dla wiernych ze dworów czyli tak zwanych kollatorów.

Broń Boże, aby ktoś z pospolitych parafian poważył się usiąść w tych ławkach wybranych pańskich! Dziad kościelny z postronkiem pod połą bronił zbeczeszczenia tych miejsc i groził nawet oczom pożądlivym, które osobliwie w czasie odpustu, na te smaczne potrawy Tantała się zwracały.

Ale i te miejsca miały swój statut osobny.

Parafia dworska była bardzo liczna, współkollatorów było wielu. Potrzeba więc było każdemu wyznaczyć jego miejsce według ilości wysianego zboża i skoszonej trawy. Potrzeba było zrobić to nader skrupulatnie, bo reklamacje pokrzywdzonych mogły być dotkliwie!

Powiadają, że poprzednik proboszcza miał z tego powodu wiele kłopotu. Najprzód obrażeni postpozycyą wierni nie chcieli dawać dziesięciu, potem przyszło nawet do słów obelżywych, a nawet niektórzy odgrażali się używając giestów zatrwających.

Biedny proboszcz robił co mógł, kazał wynosić z zakrystyi różne krzesła adamaszkowe, aby tylko niezgodę parafialną zażegnać.

Dzisiaj ułożyło się to jakoś samo przez się, każdy znalazł swoje miejsce, a drugi zgodził się na to.

Tych praw do miejsc przestrzegano skrupulatnie, gdy kogo z parafii brakowało, miejsce jego było próżne, chociaż najbliższa tego miejsca sąsiadka z trzema córkami mieściła się jak mogła na małej swojej przestrzeni.

Jedynie pani Patrycyja nadużywała czasem swojej moralnej przewagi w parafii.

Pierwsze miejsce należało się pani Alfredowej według tradycyi parafialnej. Była to osoba sędziwa, nosiła nazwisko historyczne i miała dwóch synów, Leandra i Meandra, który ubierany przez nią grosz gdzieś zagranicą trwonili i w parafialnym kościółku rzadko się pokazywali.

Przy niej zaraz zajęła miejsce pani Patrycyja. Gdy hrabiowie Leander i Meander przypadkiem z matką byli, to pani Patrycyja wpuszczała wtedy do ławki najprzód Alodyę, a potem dopiero sama siadała. Wtedy zazwyczaj modliła się gorąco i z takim widocznym zajęciem, że nie a nie nie mogła słyszeć, co Leander lub Meander do Alodyi mówili.

Później następowała pani Piotrowa, dalej pani Szymonowa z mężem i czterema córkami i t. d. i t. d. Prawie na samym końcu siedziała zazwyczaj Bonusia, ale najczęściej klęczała przed ołtarzem, bo w ławkach miejsca nie było.

Kilku dzierzawców, dla których już w ławkach miejsca nie stało, musieli zająć stojące miejsca przed balustradą i pomagali sobie laskami jak mogli gdy im nogi od stania zdrętwiały. Żadnemu jednak nie przyszła myśl wyjść na główną nawę kościoła i tam gdzie obok mieszczanina miejsca poszukać.

Balustrada odgraniczała sługi od państwa.

Tutaj zbliżył się i oparł ekonom z zawieszonymi wąsami, tu panny służące klęczały ordynkiem takim samym, jaki przestrzegały ich państwa.

Wszystko tu było ujęte w silne karby porządku, i nikomu nawet na myśl nie przyszło wyłamywać się z nich!

Tylko pani Patrycja, jak powiedziano, wyłamywała się czasem z tego porządku i w nieobecności pani Alfredowej zajmowała pierwsze miejsce, za co bardzo się na nią gniewały jej sąsiadki.

Zresztą we wszystkim była tutaj zasada jak najbardziej zachowawcza, społeczeństwo było tu pod rygorem jakichś ustaw średniowiecznych, które nawet równości w obec Boga nie przypuszczało.

XIV.

WIELKI NIEZNAJOMY.

Pani Piotrowa zgadła, utrzymując, że dzisiaj kościół parafialny będzie świętny.

Jeszcze różaniec śpiewano, a już zaczęły się z różnych stron zjeżdżać powozy, karety, bryczki i dryndulki z najrozmaitszą liberyą.

Po liberyi można poznać, że cały tydzień wisiała na kołku, że lokaj dzisiejszy był wczoraj czémś inném i że mu ani kołnierz, ani kapelusz dzisiaj dogodzić nie może.

Pani Piotrowa przyjechała lekkim ekwipażykiem z fabryki wiedeńskiej obliczonym prawie na jednego konia. Mimo to kazała zaprzęgnąć cztery rosłe konie, chociaż droga była sucha i nie większa jak ówieré milki.

Przyjazd bowiem do wspólnego parafialnego kościoła jest niejako popisem zamożności, gustu i szczęścia. W wielkiem mieście są do tego pewne ulice, któremi przejeżdża się tam i napowrót, a w parafii to bierze tu rolę za siebie biedny kościół parafialny, do którego jedzie się i ubiera z pewną ostentacyą i tendencyą.

Sąsiedztwa parafii zazwyczaj nie harmonizują z sobą. Są one podobne do niezgodnych rodzin na większą skalę. Mnóstwo drobnych interesów wspólnych wadzi je między sobą.

To też i schadzki wzajemne z tego powodu są bardzo rzadkie. Najczęściej tylko wyjątkowe uroczystości zbliżają je ku sobie.

Kościół parafialny jest jednak punktem naturalnym, w którym można się wzajemnie obejrzyć, aby potem cały tydzień było o czém mówić.

W tym punkcie neutralnym każdy chce się swemu sąsiadowi przedstawić jak najświetniej, aby mu swoje zasoby i pomyślny stan majątkowy okazać.

Wprawdzie z wyższego świata weszła i na parafię moda, między kobietami osobliwie, aby do kościoła chodzić w pół negligach z włosami nietrefionemi, w prostym czepeczku.

Tę modę często pokazywała pani Patrycja wraz z Alodyą ale inne kobiety jój nie przyjęły.

Osobliwie pani Marcinowa, której mąż niedawno dopiero wioskę kupił, była tego zdania, że do kościoła nie można pójść bez białych rękawiczek, białego jedwabnego kapelusza i aksamitnego płaszcza.

Wprawdzie i ekonom jój Wojciech Smarga brał zawsze do kościoła najlepszą kapotę i najlepsze buty które sam własnoręcznie sadłem wysmarował — ale Wojciech Smarga robił to wcale z innych pobudek.

Był on przekonany, że kościół to dom Boży, że idąc do kościoła idzie się do Boga, a do Boga idzie się w ubio-

rze odświętnym. Tak samo myślał i mieszczanin wraz z swoją żoną i córkami.

Pani Marcinowa jednak myślała inaczej. Ona chciała swoim sąsiadkom, które na nią z góry patrzyły dać poznać, że jest panią i umie być panią.

Powoli zaczął się cały kościół napelniać.

Najpierw napelniła się środkowa nawa. Potem zaczęły się zaludniać boki nawy, a następnie honorowe ławki za balustradą.

Pani Alfredowej dzisiaj nie było ani żadnego z jej synów. Toż miejsce jej zajęła pani Patrycja z Alodyą, a obok nich z książkami w aksamit oprawniemi stanął lokaj w migdałowej liberyi z czerwonym kołnierzem.

Daliej tradycyjnym ordynkiem siedziały: pani Piotrowa, Szymonowa z trzema córkami, pan Marcin z towarzyszką życia w białych rękawiczkach i t. d. i t. d.

Później nadciągnął pan Nazaryusz z siostrą i Bonusią, która nie znalazłszy miejsca, poszła przed ołtarz i uknęła.

Bonusia była nadzwyczaj blada. Twarz miała prawie przezroczystą. Uderzało to wszystkie sąsiadki, które ją znały rumianą i z twarzą okrągłutką. Jej niebieskie oczy przybrały blask chorobliwy, a blade usteczka zacisnęły się jak z bólu.

Była starannie ubrana. Miała sukienkę popielatą, popielaty kapelusik i popielate rękawiczki.

Uknęła na bocznym stopniu ołtarza i zaczęła się modlić z małej książeczki z całym zapalem młodej, cierpiącej duszy.

Pan Nazaryusz złożył ręce i oparł na nie swoje czoło pomarszczone. Nikt nie widział jego twarzy, bo ją zakrył przed ciekawymi.

Pani Piotrowa zauważyła, że skrycie lzy ocierała i trącała jedną z czterech córek pani Szymonowej, pokazując przytém wzrokiem na klęczącą przed ołtarzem Bonusię. Najstarsza córka trącała młodą swoją siostrę, a ta podawała dalej uwagi swoje niewinne.

Pani Patrycyja i Alodya siedziały z pewną dystrakcją. Odwróciły się od sąsiadek parafii, jakby te ich wcale nie obchodziły. Obydwie zagłębiły się w książkach swoich wykładanych słoniową koscia. Mimo to widziała pani Szymonowa, że pani Patrycyja z ukosa patrzy na kościół, a panna Alodya wzdychając do Boga, zerka zręcznie ku balustradzie o którą opierał się zamyślony Prosper.

Alodya wyglądała bardzo ładnie. Miała lekką, negliżową *robe de voyage* z popeliny srebrzystej i lekką wełnianą zarzutkę. Jasno blond włosy były dzisiaj w długie pukle rozpuszczone, jakby jeszcze ich kunsztownie nie utrefiono. Na głowie miała kapelusik z samych prawie fijołków zrobiony i takiegoż samego koloru rękawiczki.

Poza jój była malownicza. Podnosiła często szafirowe oczy do góry, a sam smutny melancholijny uśmiech był już modlitwą!

Prosper stał koło balustrady i patrzył przed siebie zamyślony. Jakieś dziwne uczucie napawało w téj chwili jego duszę.

Przed nim była Alodya w malowniczej pozie, a przed Alodyą snuły się jakieś widma, które go trwożyły i wydobywały mu z piersi głębokie westchnienia.

W takim dziwném usposobieniu jeszcze nigdy nie był!

Nie była to obawa, że marzenia jego zwiędną i upadną, nie było to wzruszenie, jakiego zazwyczaj doznaje się patrząc na osobę, której całe życie się oddaje. Nie była to troska o to życie, o tę przyszłość, która dzisiaj nie mogła się wydać inną, jak tylko różową!

A jednak ta chwila była dla niego czémś bolesném, budziła w nim jakieś cierpienie, któremu nazwiska dać nie umiał.

Obejrzał się kilka razy w koło siebie i nawet wtedy nie poczuł się weselszym, gdy majora zobaczył, który mrugał do niego wesoło i życzliwie.

Sędziwy proboszcz parafii miał zwyczaj wtedy dopięro z mszą uroczystą wychodzić, gdy spostrzegł, że już w ławkach honorowych nikogo nie brakowało.

Chciał on bowiem nabożeństwu nadać jak najwięcej uroczystości i chciał aby zebrana parafia w skupieniu ducha trochę wyczekiwała.

W tym celu nie rozpoczynał od mszy odrazu. Pierwój odprawiał obchód po kościele i śpiewał z organistą pieśni liturgiczne.

Potém dopięro ubierał się z całą uroczystością do mszy, a trzykrotne uderzenie dzwonka przy zakrystyi dawało znać zgromadzonym, że rozpoczyna się ofiara odkupienia rodu ludzkiego!

Otóż w tej chwili, gdy ukończywszy obchód po kościele, w zakrystyi do mszy świętej ubierał, a w całym kościele głucha panowała cisza — wszedł do kościoła jakiś młody, nieznajomy człowiek, przeszedł wzdłuż całą

nawę, przy wejściu do presbiteryum przyklęknął i przeżegnał się, a potem udał się prosto do zakrystyi.

Był to człowiek nadzwyczaj przystojny i bardzo wykwintnie ubrany. Mógł liczyć lat dwadzieścia pięć lub siedm, był mocny brunet, miał twarz ściągniętą dosyć bladą i rzadki zarost. Oczy czarne, do ziemi spuszczone, były do połowy zakryte długą rzęsą jedwabną. Włosy miał według wszelkich reguł fryzjerskich starannie ułożone, z widoczną tendencją naturalności i prostoty.

Ubiór jego był czarny.

Wypłynął z głębi nawy jakby zjawisko jakie i sprawił w całym kościele wrażenie niepospolite.

Lekki szmer rozległ się po kościele. Nikt go w parafii nie widział!

Osobliwie w ławkach honorowych stał się wielki niepokój. Nawet w nieprzyjaźni żyjące z sobą sąsiadki przymówiły do siebie pytając się, kto mógłby być ten młody człowiek i poco do zakrystyi poszedł!

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć.

Nawet Alodya zwróciła się do matki i smutnym uśmiechem swoim zapytywała ją o nieznanomego.

Pauza, która teraz nastąpiła, wydała się wszystkim nadzwyczaj długą...

Niezajomy nie wychodził z zakrystyi i proboszcz z mszą także nie wychodził!...

Co to może być?

Wreszcie okazał się proboszcz na progu ale bez ornatu, tylko ze stulą...

Powoli przeszedł przez presbiteryum i usiadł w konfesyonale.

Za nim postępował nieznajomy i ukląkł na stopniu konfesyjonału.

Rozpoczęła się spowiedź...

Wszyscy w zadziwieniu patrzali na siebie...

I cóż było w tém tak dziwnego?

Młody człowiek chciał się po prostu wypowiedzieć i nie więcej...

Dobrze!... ale ta dziwna ostentacya...

Można przecież było jakoś inaczej tę spowiedź urządzić... człowiek spowiada się Bogu a nie ludziom — mruzczał major panu Nazaryuszowi do ucha i ze złością wąsy kręcił...

Pocziwe kobiety, w prostocie ducha myślały inaczej, patrząc na klęczącego w pokorze.

— Ach, cóż to za piękny model młodego mężczyzny! Dzisiaj gdy młodzież jest taka bezbożna... dzisiaj podobny człowiek jest klejnotem!... Z jaką pokorą on klęczy, jak szczerze żałuje za przewinienia swoje... jak kornie spuszcza głowę do ziemi dziękując za rozgrzeszenie... och to ideał młodego człowieka!...

Powszechne było uwielbienie dla nieznajomego między kobietami w ławkach honorowych.

Nawet niektóre serduszka uderzyły żywiéj...

Ubiorem i manierami należał nieznajomy do sfer wyższych towarzystwa...

Któżby to mógł być?

Może książę jaki, doznawszy wielkich nieszczęść porzuca rozkosze światowe i jedzie na Bielany do Kamedułów?...

Och jakiż on piękny! Szkoda, aby taki człowiek zarzekał się żywcem w klasztornej grobie!...

Takie i tym podobne myśli przebiegały przez piękne główki, pochylone nad książkami o brzegach złoconych i nie dawały modlitwy doczytać...

Skończyła się spowiedź. Proboszcz wszedł znowu do zakrystyi, a nieznajomy uklęknął na środku presbiteryum, wyjął książeczkę i zaczął gorąco się modlić, nie popatrzywszy ani razu na ławki honorowe.

Tylko od czasu do czasu wyjmował z kieszeni przezrystą chustkę batystową z fijołkowemi szlakami i ocierał nią pot z czoła, przyczem także nieznacznie i fryzury poprawiał.

Rozpoczęła się msza święta z całą uroczystością, cały kościół rozpoczął śpiew nabożny — nieznajomy klęczał i modlił się.

Przy podniesieniu położył prawie głowę na ziemi, bił się w piersi jak prosty grzesznik, a nawet coś z oczu ocierał jakby lzy skruchy.

— To człowiek, jakich nie ma dzisiaj na świecie, szeptały sąsiadki do siebie—patrz pani jak Alodya w niego patrzy jak w tęczę!

— Ba! A któraż panna nie patrzyłaby na takiego młodego człowieka, który dzisiaj spowiada się i klęczy w kościele jak zwyczajny grzesznik?...

— Czy widzisz pani jak starannie ubrany... chociaż bez przesady, bez pretensyi!... Francuzkie rękawiczki na dwa guziczki zapinane, z podwójnym szwem — to musi być człowiek bogaty!

— Co bogaty! To magnat jakiś, odrzekła pani Piotrowej pani Patrycyja, — bo dzisiaj tylko magnaci są pobożni!

Major z wielką uwagą przypatrywał się klęczącemu nieznanemu. Spozrzegł, że nieznanomy mimo żarliwej pobożności swojej, myślał także to o fryzurze, to o należytą draperyi tużurka, to o białych mankietach, które nieznacznie od czasu do czasu regulował...

Prócz tego widział major, że pokutnik młody nader zręcznie wywracał oczy, aby na ławki honorowe spojrzeć i powoli przechodził jedne kobiety po drugich...

Majorowi zgoła nie podobał się nieznanomy!

Było coś w tej pobożności faryzeuszowskiego, coś teatralnego, na efekt obliczonego.

Prosperowi nie podobał się także podobny sposób pokuty i czuł jakiś dziwny wstręt do młodego człowieka, który w tej chwili zwraca całą uwagę kościoła na siebie i niejako ujmuje czyni nabożeństwu...

Kobiety jednak uznały jednogłośnie, że to nie jest zwykły człowiek, ale ideał!

Ale klęczący ideał zdawał się ich nie widzieć.

Wziąwszy komunią modlił się z tém większą żarliwością i nie podniósł oczu na żadną kobietę, chociaż teraz kolejną z ławek wychodziły...

Przed kościołem stały tłumy i rozmawiały o tém niezwykłym zdarzeniu.

Nie wiedziały one jeszcze, aby człowiek młody po pańsku ubrany, klęczał przez całą mszę na środku kościoła i tak żarliwie modlił się, a nawet w oczach wszystkich spowiadał się i komunikował!

Jedni widzieli w nim bardzo zacnego, młodego człowieka, inni twierdzili, że zapewne zabił kogo lub utopił? dla tego za pokutę musiał klęczyć na środku kościoła...

Damy dworskie ugrupowały się także przed swemi ekwipażami i rozmawiały o młodym człowieku, który tak jest nabożny i religijny, jakim żaden dzisiaj prawie nie jest...

Któż to może być? Zkąd przybył? Przyszedł czy przyjechał?...

W téj chwili wyszedł nieznajomy z kościoła.

Długo jeszcze poza kościołem niósł kapelusz w ręce... Na żadną z dam nie spojrział..

Zbliżył się do wózka pocztowego.

Pocztylion zatrąbił, trzasnął z bicia — i tylko tuman kurzu został po nieznajomym!

— Panie pocztmistrzu, gwałtu! Kto to taki? zapytano chórem niskiego, chudego człowieka w oliwkowym surducie.

Nie wiem, odpowiedział zapytany, wziął ekstrapocztę do stacyi kolei żelaznej!

— O kim to ojezulku mówią? zapytała Bonusia pana Nazaryusza, szukając w koło oczyma.

O tym młodym człowieku, co to z taką paradą spowiadał się i bił w piersi, odpowiedział pan Nazaryusz, — czy nie widziałas go?

— Nie widziałam! wyszepnęła Bonusia i smutno spojrzała na powóz pani Patrycyi, do którego właśnie wszedł Prosper pannę Alodyę.

XV.

PRZED KOŚCIOŁEM I NA RYNKU.

Parafia podobna jest czasem do małżeństwa, które żyjąc z sobą długie lata, ze wszystkiego się już wygadało, i w milczeniu dalszą spólkę życia prowadzi.

Parafia tak wygada się czasem ze wszystkich zasobów rozmowy, że trudno przychodzi znaleźć choć na godzinę jaki taki materyał do pogadanki.

Mężczyźni ratują się w takich razach kartami, albo drobnymi szczegółami gospodarstwa. Kobięty odgrzewają stare nowiny, a że te nie zawsze są zajmujące, więc nudzą się niemiłosiernie.

Dzisiejsza niedziela przyniosła niewyczerpany materyał do rozmowy.

Kawalerowie parafialni, nieposiadający zazwyczaj zbyt wielkich zasobów do rozmowy salonowej, a ratujący się dotąd kartami i papierosami, mogli teraz opuścić swoje *fumoir'y* i śmiało pozajmować miejsca przy pannach i matkach, aby o nieznanym człowieku coś pomówić, i zreć nie przytém kilka uwag swoich spożytkować.

Historia dzisiejszych wieczorków w parafii obiecywała być bardzo obfitą w takie popisy.

Zaraz przed kościołem zagadnęła pani Szymonowa pana Alberta, który miał karykiel żółty, siwe konie i długów po uszy!

— Jak się panu podobał ten młody człowiek?... Zapewnie przyjedziesz pan dzisiaj na partyjkę do męża!

— Niezawodnie, już nawet umówiłem się z panem Bolesławem — ten młody pokutnik... nie wiem dla czego, ale nie podobał mi się wcale! Przecież i hrabia Leander...

— Co pan mówisz! To wzór młodego mężczyzny! W dzisiejszych bezbożnych czasach... Czy widziałeś pan jak Alodya patrzyła przez długi czas na niego!

— A co na to powie pan Prosper? dodała Fimcia z filuternym uśmiechem.

— Pan Prosper... zapewne pójdzie budować mosty i kanały.

— *Fi donc!* Jaki pan jesteś złośliwy! Cóż on temu winien, że szczupłe dochody z jego „częsteczki“ zmuszają go szukać chleba!

— Ja przecież nic przeciw temu nie mam! Ja sam gdybym nic nie miał, wyjechałbym od ludzi w świat za oczy i nająłbym się za robotnika!

— Mnie tylko to dziwi, że pani Patrycja pozwala na tę fałszywą opinię, jaka na pannę ztąd pada!

— Na bezrybiu i rak rybą! U pani Patrycyi nikt z naszych prawie nie bywa! Trzeba się przecież rozerwać!

— A widziałeś pan Bonusię? Jak gorąco modliła się!

— Bonusia to w sam raz dla niego! Po co to głowę do pałaców podnosić!... Onby budował rowy i kanały, a ona smarzyłaby wyborne konfitury!

— Pan się zdradzasz! Zazdrość mówi z pana.

— *Ma foi*, mówię bezinteresownie!

— A więc do widzenia się! Resztę przy herbacie!

— Do widzenia się!

Pan Albert podał rękę pani Szymonowej, potem Fimci i Pipci, a naostatek Anetce i Babetce.

Pani Piotrowa jakby czekała na pana Alberta.

— Czy pan nie znasz tego młodego człowieka, zapytała pani Piotrowa właściciela żółtego karykla — to musi być coś z wyższego towarzystwa?

— *Ma foi*, odpowiedział dandyś parafialny, nie wiem dlaczego ma być z wyższego towarzystwa? Wprawdzie w wyższym towarzystwie jest teraz w modzie pewna ostantacyjna nabożność, ale tę nabożność praktykuje się w swojej parafii *vous le savez*, dla przykładu! Ale między obcymi popisywać się swoją religijnością...

— Pan niewłaściwie zapatruje się na podobną kwestyę. Przecież człowiek nabożny jest zawsze i wszędzie tém, czém jest.

— *Pardon madame*, należy to do rutyny życia, aby być tém, czém gdzie być wypada!

— Nasza dysputa przybiéra szerokie rozmiary, może pan dzisiaj wstąpisz do nas...

— Dałem słowo pani Szymonowej, ale tak na pół godzinki wstąpię po drodze.

— *Au revoir!* Do zobaczenia.

— *Au revoir!*

— *A propos!* Nieznajomy przeszkodził nam dzisiaj obserwować kilkoro ludzi...

— Obserwowałem, i zdaje mi się... że ktoś lepiejby zrobił, gdyby do Lwowa poszedł stawiać kamienice. Mówią, że Lwów chce się budować!

— Cha, cha, cha! Adieu!

Wiele jeszcze podobnych rozmów odbyło się przed kościołem. Każdy chciał się dowiedzieć, kto był ten nieznajomy, a przytém powiedzieć kilka słów o Alodyi, Prosperze i Bonusi, bo ci ludzie przecież byli własnością parafii i stali teraz na scenie w pierwszym rzędzie.

Każdy więc i każda mieli nie tylko prawo mówienia o nich ale nawet poczuli się do obowiązku wycisnąć szaty bliźnich i wyszukiwać na nich najdrobniejszych plametek. W parafii bowiem jest równe prawo dla wszystkich. Czemuż więc nie mówić o drugich, jeżeli drudzy mówią?

Najmniej rozmowni w tej chwili major i Prosper.

Szli obaj przez rynek miasta w głębokim milczeniu. Major miał niektóre rzeczy do załatwienia w handlu korzennym parafii.

Zaledwie kilka słów zamienili między sobą o nieznanym młodym człowieku.

Dziwna rzecz, że major miał teraz inne o nim zdanie, niżeli w kościele.

Ale major był, jak sam twierdził z urodzenia dyplomatą i prawdopodobnie miał jakieś ukryte cele w tej nagłej zmianie zdań swoich.

— Potrzeba być błaznem, rzekł w niezwykłym rozdrażnieniu Prosper, aby robić z siebie podobną komedję!

Major uśmiechnął się dyplomatycznie, spojrzął na Prospera z ukosa i z wielkiem zadowoleniem schował brodę w białą chustkę.

— Błaznem nie błaznem, odrzekł z ukrytym uśmiechem, dla czegoż zaraz ma ktoś być błaznem, który się spowiada i komunikuje!

— Ależ przeciw spowiedzi i komunii nic nie mam, i owszem, uważam to za obowiązek każdego chrześcijanina, ale zrobić z tego komedję publiczną...

— Dla czegoż komedję? Może on ani myślał o komedyi... może to tylko w naszych oczach tak się wydało, cośmy nieprzyzwyczajeni do prawdziwego nabożeństwa i rzetelnej pokuty!

— Dziadunio gotów bronić największego łotra! zawołał gniewnie Prosper i złamał szpicrut.

Major schował całą brodę do chustki i uśmiechnął z jeszcze większym zadowoleniem.

— Tak być powinno kochany Prosperze, rzekł po chwili z nadzwyczajną flegmą, każdego człowieka trzeba bronić, póki się nie przekonamy, że w istocie winien.

— Ale tu przecież rzecz oczywista! Wypadł jak z pod desek teatralnych i odegrał świetną rolę!

— A przecież żadna z kobiet tego za złe nie wzięła! Widziałem, że nawet bardzo mile patrzano na niego...

Prosper rozłamał jeszcze raz szpicrut.

— Wierzę, że podobna komedya może działać na fantazyą kobiet, które zawsze lubią coś nadzwyczajnego!

— Kobiety mają zazwyczaj dobre instynkta!

— Instynkta kobiéce! Ach mój Boże!.. W Krakowie przyjmowano z aplauzem na niektórych salonach młode-

go ładnego człowieka, który potem — udusił rodzoną babkę swoją dla pieniędzy!

— Czemu tak jesteś rozdrażniony?

— Bo mnie gniewają takie komedye, na które łapią się najzacniejsze panny.

Major umilkł i wysunął brodę z chustki. Był z czegoś bardzo zadowolony. Na wyrazistej twarzy jego przebiegał uśmiech wesoly, chociaż usiłował ukryć go dla świata.

Gdy w handlu korzennym różne sprawunki załatwił, rzekł do Prospera:

— Ułożyliśmy iść do pani Patrycyi po kościele i wiadomą sprawę trochę potrącić... Przy bliższym namyśle zdaje mi się, żeby na ten raz jeszcze zaniechać i prosto do domu wrócić...

— Nie, nie, szybko odpowiedział rozdrażniony Prosper, takich spraw nie odwleka się!

— Przed godziną sprzeciwiałeś się, gdy doradzałem pośpiech!

— Namyśliłem się inaczej.

— Widzisz mój Prosperze... czasami nie dobrze jest tak naciskać. Powoli, powoli, to i stal ugnie się a tak odrazu to i trzcina pęknie!

— Mam powody, aby nie odwlekać!

— Czyż te powody przedtém nie istniały?

— Może istniały, ale ich nie widziałem.

— Nie obawiasz się od kosza?

— Przecież oświadczać się nie będę! Dziadunio tylko zechce tak nieznacznie napomknąć... aby można jeszcze zawczasu wycofać się.

— Ty przecież sam najlepiej będziesz wiedział, jakie jest usposobienie dla ciebie?

Prosper zarumienił się i spuścił oczy.

— O pannie Alodyi nic powiedzieć nie mogę, bo w najlepszym razie mógłbym ją tylko skompromitować. Chodzi mi przede wszystkim o matkę. Widzę, że matka tam wszystkiém, że jest nawet w stanie wpłynąć na córkę. Alodya to wzór córki, posłuszna matce — bez granic!

Major schował znowu brodę do chustki. Widać plany szły mu dobrze.

— Więc chodźmy w imię Boga, rzekł po chwili do Prospera, tylko pamiętaj, żem na ten raz odradzał, żem nie chciał tak prędko karty przybijać! Wypełniam tylko twoje życzenia!

— Jestem za wszystko wdzięczny dziaduniowi! odpowiedział Prosper i obrócił się za kimś.

Major bardzo kontent był z tego, że Prosper w téj chwili nie patrzył na niego. Dobył chustkę do nosa, a zaśłoniwszy twarz zaśmiał się serdecznie i szczerze, co mu wielką ulgę sprawiło. Długo już bowiem tłumił ten uśmiech w sobie.

Za kilka chwil byli już obaj w drodze do tak zwanego pałacu.

XVI.

W P A Ł A C U.

Tak zwany pałac pani Patrycyi nosił w swoim wnętrzu prawdziwie piękne rzeczy.

I wcale się temu nie można dziwić. Wiele bowiem, bardzo wiele stert pszenicy i żyta nie licząc w to chmielu i rzepaku, przeniósł ś. p. Benedykt do małych przestrzeni kilkunastu pokoi, jak tego sobie życzyła kochana Patrycyja.

Były tam stoły po mistrzowsku rzeźbione, były fotele w smaku rozmaitych wieków, kanapy jedwabnym adamaszkiem kryte, szafy i szafeczki na przeróżne błyszczące zbiorki, obrazy w dużych złożonych ramach, zwierciadła, figury na konsolach, portiery i marmurowe kominki.

Wszędzie była atmosfera wytworna, pańska.

Być może, że właśnie ta atmosfera tak wpłynęła na Prospera i silnie go rozgorączkowała.

Ludzie z wysokiem, estetycznym wykształceniem podlegają w wysokim stopniu wpływom estetycznego oto-

czenia. Sztuka i dobry smak, nadają całej, otaczającej je atmosferze jakieś inne oświetlenie, i wytwarzają inne warunki życia, wrażeń i uczuć.

Prosper w swojej parafii może nie spodziewał się spotkać z taką atmosferą, która każdy wyższy umysł mimowoli do siebie pociąga.

Wszystko bowiem w tej atmosferze było miłe i ciepłe. Pani Patrycja, która wiele podróżowała, zebrała wszystko tutaj, co tylko gdziekolwiek wydało się jej pięknym i efektownym. Poświęciła prawie całe życie swoje, poświęciła większą część majątku, aby stworzyć sobie atmosferę mieszkalną, którejby w całej parafii, a może nawet w kilku powiatach zazdroszczono. Kosztem pieniędzy można było tego wszystkiego dokazać.

Pierwsze trzy pokoje czyli salony, do których wchód był przez przedpokój wybity makatami, zwierciadłami i otoczony egzotycznymi roślinami, były przeznaczone dla wspólnej zabawy. Obok wykwintnych mebli stały tam rozmaite instrumenta muzyczne, zaczawszy od palisandrowego fortepianu, który miał być *Erarda* a rzeczywiście jak brzmiał napis był od ucznia *Erarda*, tylko słowo „ucznia“ było bardzo drobno wypisane — aż do małego pianino z melancholijnymi tonami.

W czwartym pokoju był buduar pani Patrycji, a w piątym i szóstym mieszkała Alodya.

Alodya właśnie zrzuciła zarzutkę, gdy pani Patrycja do niej weszła i długi czas, nic nie mówiąc chodziła po pokoju. Alodya w milczeniu patrzyła na matkę. Usiadła na szeslongu i drobną rączką podparła piękne czoło.

— To mi z głowy wyjść nie może! ozwała się wreszcie matka i uśmiechnęła się do swoich myśli.

— O czém mameczka myśli? zapytała Alodya.

— O tém, co Jędrzej mówił!... Gdyśmy jechały od kościoła, on stał przed pocztą, a obaczywszy nas, wypytował się bardzo ciekawie o nas!

— Cóż w tém dziwnego? W małym miasteczku każdy lepszy ekwipaż zwraca uwagę! odpowiedziała Alodya i smutno spojrziała przed siebie.

— Tyle było dzisiaj ekwipaży! A niektóre wcale ładne! O nikogo nie pytał, tylko o nas!

— Bo nas tylko widział!

— Jesteś dziwną! A w kościele... czy uważałaś?

— Mama widzi rzeczy, których nikt inny nie widzi!

— Cóż to dowodzi?

— To dowodzi, że mnie mama kocha!

— A kto kogo kocha, to mu życzy jak najlepiej!

— Nie wiem, czy to należy do dobrych życzeń, jeśli komus sprawa się niepotrzebny niepokój!

— Czy tak? zawołała żywo pani Patrycja i zbliżyła się do córki, aby ją w czoło pocałować—czy tak mniemasz? Przez niepokój dochodzi się do szczęścia, moja droga Lodziu, przecież o tém wiedzieć powinnaś!

— Zaczynam już nie pragnąć niepokoju! odparła ze smutnym spojrzeniem Alodya.

— Nie rozumiem cię!

— Tak w osamotnieniu naszym przyzwyczaiałam się do pokoju, że ten spokój stał się już naturą moją! Lękam się, jak trzeba będzie kiedyś wyjść na życia pełniejsze fale!

Pani Patrycja spojrziała z niepokojem na córkę.

— Co ci dolega! zagadnęła po chwili.

— Nic nie dolega i to może jest moje nieszczęście!
Być może, żeby lepiej było, gdyby coś gwałtownie mną
wstrząsało!... Szkoda, że nie mamy jakiej wielkiej wojny,
lub napadów Tatarów!

— Cóż ci znowu do głowy przychodzi?

— Nieraz tak w bezsennéj nocy marzę sobie o tém,
jakby to było, gdyby naprzykład porwali nas Tatarzy
w niewolę, gdybyśmy długi czas w téj niewoli jęczały,
a potem znowu do naszego domu wróciły... Ach jakżeby
nam to wszystko wydało się piękne, cudowne! Płakała-
bym z radości, przyciskałabym wszystkie krzaki róży do
serca, rozmawiałabym z drzewami i przelatującemi pta-
szkami!... A tak... zaledwie bawi mnie nieco to, co nas
otacza... jeden dzień podobny do drugiego, tydzień do ty-
godnia, miesiąc do miesiąca i t. d. w nieskończoność! To
smutno!

Patrycja z uwagą patrzyła na Alodyę.

Alodya miała oczy jakąś mgłą przyćmione, usta ota-
czał smutny, przejmujący uśmiech.

Pani Patrycja ucałowała ją w czoło.

— Niecierpliwisz się Alodyo, rzekła do niéj, wie-
rzaj mi i ja niecierpliwie się. Szczęście twoje jeszcze nie
stało przed tobą. I ja nie mogę go jeszcze dojrzeć, ale
bądź pewną, że ono jest, że z każdą chwilą zbliża się do
ciebie!...

W téj chwili wszedł służący i zapowiedział majora
z Prosperem.

— Ot widzisz, nie zgadłam? rzekła pani Patrycja z uśmiechem do córki.

Alodya skrzywiła się trochę, ale nie wiedzieć, czy to skrzywienie się było dla wchodzących złą wróżbą, czy kaprysykiem nader dla nich przyjaznym?...

XVII.

KONTRAMARSZ MAJORA.

Pani Patrycja nie wyszła do paradnych salonów, ale została w swoim prywatnym saloniku.

— Przepraszam panów, rzekła do wchodzących gości, że nie wyszłam dalej przywitać się z panami, ale mam dzisiaj migrenę i to tłómaczy mnie.

— My tylko na chwilkę z atencją naszą — zaczął nader grzecznie major-dyplomata.

— Proszę, proszę, bez żadnych ograniczeń, przerwała pani Patrycja, major wiesz to przecież, że migrena jako słabość czysto nerwowa, ustaje najczęściej w żywej rozmowie...

— Dobrze mówisz dobrodziejko, replikował major chowając brodę do chustki, ale na to trzeba „rozmowy żywej“ a gdzie mnie tam dzisiaj do takich sztuk!

— Przecież major sam nie jesteś!

— Dalibóg że prawda! Zapomniałem, słowo honoru daję, że zapomniałem... ale kto temu winien, że dziadunio o swoim wnuku zapomniał?... Kto temu mościa dobrodziejko winien kto?... he, kto winien?

Pani Patrycja uderzyła majora po ramieniu, który stał przed nią jak dworzanin Ludwika XIV w kabłąk wygięty, co mówiąc nawiasem ośmdziesiątletniemu starcowi nie było trudno — i zawołał śmiejąc się na Alodyę, która w swoich pokojach została.

— Zły przykład dajesz majorze swemu wnukowi, rzekła śmiejąc się, uczysz go zbytcej galanteryi dla kobiet!

— Dziadunio uczy mnie tylko, co dla każdego z nas jest obowiązkiem! odpowiedział z uśmiechem Prosper.

— Widzisz majorze, jak nauka twoja poszła w las! Co wy dawniej nazywaliście rozkoszą, a co najwięcej „rozkosznymi mękami,” to wnuk dzisiaj nazywa tylko — obowiązkiem! *Fi done!* Jakie to zimne słowo!

— Nie mam, ozwała się Alodya, która teraz do pokoju weszła i gościom rękę podała — nie mam, tego pan Prosper nie mógł powiedzieć, a jeśli powiedział to tylko przez pomyłkę! Nieprawda panie Prosperze?

Rzekłszy to uśmiechnęła się swoim smutnym uśmiechem, który od filuternych w tej chwili oczu dziwnie odbijał.

Prosper zarumienił się nieznacznie.

— Mam nader trudne stanowisko, odpowiedział z uśmiechem, stanowisko na pochyłości. Jako technik wiem, że na takim stanowisku, długo stać nie mogę, pytanie teraz, czy mnie kto ratować będzie, gdy równowagę stracę?...

— Zlituj się pan, tylko nie upadaj! rzekła z namarszczoną brwią Alodya, bo ja widziałam raz w teatrze jak dwie kobiety, które strzelać się chciały o pewnego męż-

czyzną, wybuchnęły śmiechem, gdy tenże mężczyzna przypadkiem w salonie upadł i przestały go kochać!

— Uczucie tych kobiet nie było zbyt głębokie... zauważył Prosper.

— Czego panowie od nas chcecie? Przecież to nie jest tak wiele, jeśli żądamy, aby kto w salonie nie padał?..

— A jeśli naprzykład upadnie w jaką brzydką kałużę, naprzykład: zgra się w karty, pożyczonych pieniędzy nie odda, drugich potwarzą obrzuci... podsunął z dowcipnym uśmiechem major.

— *Fi donc!* Pan major zaraz z morałami! odpowiedziała z chmurką na czole Alodya — przecież my tutaj uczonych rozpraw nie prowadzimy!

— To też ja panno Alodyo na seryo nie mówię!

— Pan major zawsze tak mówi, że nigdy nie można wiedzieć, kiedy mówi na seryo a kiedy żartuje!

— Bo jestem siebie niepewny panno Alodyo! z dowcipnym uśmiechem mówił major, a gdy jest kto nie pewny czy afekt jego zostanie dobrze przyjęty, czy też otrzyma rekuzę — to zawsze strzela na dwa zamki. Jeden zapala nabój ostry, drugi sam proch!

— Uczysz majorze moją córkę złych rzeczy, zauważyła pani Patrycja żartobliwie.

— Gdzietam mościa dobrodziejko! Kobięty tego nie potrzebują się uczyć! Umieją one to już od dziecka! Pif paf—paf pif... a z tego nic! A co nieprawda?

Alodya wydeła usta jakby się gniewała na majora, i poszła do stolika, na którym stał piękny bukiet.

Wyjęła z bukietu pęczek wiosennej róży, a bawiąc się nim zwróciła się do Prospera.

— Czy pan nie znasz tego młodego człowieka, rzekła do niego, skubiąc listki pączka, który dzisiaj tak przykładnie modlił się w kościele?

Prosper zarumienił się, usta jego zaruszały się z jakiegoś rozdrażnienia. Chciał prawdopodobnie coś bardzo niekorzystnego o tym młodym człowieku powiedzieć, gdy nagle ozwała się pani Patrycja:

— Rzeczywiście, wszyscy młodzi ludzie powinni by brać z niego przykład! Modlił się szczerze i serdecznie bez żadnej afektacyi, spowiadał się i komunikował w obec całej parafii, czego żaden z naszych kawalerów dotąd nie uczynił!

Major schował brodę do chustki i pogрузzył się w głęboki, pełnym mądrości milczeniu.

Usta Prospera zaruszały się konwulsyjnie, ale nic z tych ust nie wyszło. Obawiał się wypowiedzieć w tej chwili zdanie, które mogłoby rozdrażnić panią Patrycję. Zagryzł usta i sięgnął do bukietu.

— Chcesz mi pan kwiatki psuć? zagadnęła Alodya odsuwając jego rękę od bukietu, jeśli pan w swoich żądaniach jesteś nieposkromiony, to już ofiaruję panu ten na poły oberwany pączek, niech go pan do reszty z jego listków ogołoci!

— Prosper wziął pączek z ręki Alodyi.

— Pozwoli pani, rzekł z uśmiechem, że w moich rękach otrzyma łaskę ten biedny pączek, aby żył dalej choć połowę życia!

— Ten piękny frazes już mu nic nie pomoże! odparła Alodya, wrywając kilka listków, co ma zginąć za kilka chwil, niech lepiej odrazu więdnie i ginie!

Major wyciągnął brodę z chustki, przedłużył jak żuraw, i wyrazistém spojrzeniem dał jakiś niemiły znak Prosperowi.

Prosper posmutniał.

— Czy panu żal tych kilku niedodartych listków? zapytała smutno Alodya, one i tak miały zwieędnać i odpaść!

— Pocóż pani swoją ręką przyczyniła się do tego? zapytał z wyrzutem Prosper.

— Jak pan krótko widzisz! Gdyby ten pączek umiał się skarżyć, toby mi podziękował w tój chwili, że ukróciłam jego męki! On i tak skazany był na śmierć! Pocóż dać mu się męczyć dłużej?...

Major schował nagle brodę do chustki i łypnął lewém okiem do Prospera przymrużywszy prawe. Miało to oznaczać prawdopodobnie:

— A co! Rozumiesz to?...

Prosper westchnął głęboko.

Mówiliśmy o tym młodym człowieku, ozwała się pani Patrycyja, a państwo kwiatkami się bawicie! Cóż majorze o nim sądzisz? Prawda, że jest nadzwyczaj dystyngowanym i dobrze wychowanym...

— Hm, hm! odkrząknął major, widzi mościa dobrodziejka... hm hm!.. bo kto kłęczy i modli się jak to mówią... pod figurą... hm hm! to może mieć jeszcze diabła za skórą!

— Tfe majorze! zawołała pani Patrycyja i batystową chustką kilka razy wionęła po powietrzu!... Któż takie brzydkie słowa w niedzielę wymawia!

Prosperowi tak się zdanie majora podobało, że z wielkiej radości chwycił za czubek pączka i wszystkie listki na raz wyrwał, nie wiedząc sam o tém.

— *Bravo!* zawołała Alodya i klasnęła w dłonie, widzisz pan, teraz zrobiłeś pan rozumnie i rozsądnie! Wydarłeś pan jednym zamachem wszystko!

— Rozumnie i rozsądnie powtórzył Prosper z wyrzutem, patrząc na pustą łądygę, którą w rękę trzymał,— rozumnie i rozsądnie mówisz pani?... Nie rozumiem tych dwóch słów w pewnym zastosowaniu!

— Do czegoż pan je stosujesz?

— Można je naprzykład zastosować do naszych snów i marzeń, do naszych rojeń i projektów...

— Jeżeli tak, czyż nie jest rozumniej i rozsądniej rozwiązać w pierwszej chwili swoje marzenia, niżeliby potem bolić miało?

— Bądź pani przekonaną, że nie ma żadnego momentu, w którymby bez bólu można pozbyć się marzeń swoich!

— Źle się może wyraziłam. Chciałam powiedzieć: z mniejszym bólem!

— Miałbym siebie za wielkiego egoistę, gdybym tylko dbał o mój własny ból, nie wiedząc jak wielki ból sprawiam drugiemu!

Tu westchnął Prosper mimo swojej woli.

Major siedzący koło pani Patrycyi usłyszał westchnienie Prospera. Wsunął i wysunął brodę i uśmiechnął się nieznacznie.

Alodya podniosła piękne szafirowe oczy, złożyła usta do melancholijnego uśmiechu i spojrzała rzewnie w twarz zasmuconego Prospera.

Kilka chwil trwało milczenie.

— Więc odrzuć pan tę łądygę bez kwiatu! rzekła smutnym głosem, spuszcżając głowę na piersi.

Prosper zjrzał w te piękne szafirowe oczy.

— Nie pani, odparł z lekkim westchnieniem, tego nie uczynię, choćby to było może bardzo rozumnie i rozsądnie! Że ten pączek wszystkie listki utracił nim w różę mógł zakwitnąć, jest mi bardzo bolesno, ale jeszcze boleśniej byłoby mi, gdybym porzuceniem téj łądygi lekceważył rękę, która mi ją dała!

— Niech pan z téj ręki nigdy nic nie bierze, odpowiedziała szybko Alodya — bo ta ręka nic panu dać nie może, a widzę, że mogłaby wiele odebrać.

Dla zamaskowania téj rozmowy przed majorem, który jak rak miał oczy na wierzchu i na nią ustawicznie patrzył, wykręciła się Alodya z jakąś zaimprovizowaną piosenką i zrobiła kilka kroków kontradansowych w kierunku do majora.

— Coś bardzo wesołego wstąpiło w serduszko panny Alodyi, ozwał się major widocznie uradowany — obawiam się aby ten biedny pączek róży tam się nie ulokował i potem wielkim krzakiem przez te usteczka nie wyrzwał!...

— Jak można majorze prawić mi takie niegrzeczności! śmiejąc się odpowiedziała Alodya — czyż dotąd na moich ustach nie widać — róż?

— Prawda! Dalibóg prawda! zawołał major bijąc się po głębie, tam do kata! Oto wystrychnąłem kompliment głupi: To nie ja temu winien panno Alodyo ale ta przeklęta ośmdziesiątka!... Prosper inaczéjby to podał! Nieprawdaż?

— Gdzietam majorze! Jeszcze gorzej! Dałam mu pączek róży — potargał i rzucił, mówiąc, że z moich rąk wszystko niedobre pochodzi!

— Nie wierzę, nie wierzę temu panno Alodyo! replikował major.

Alodya na to nic nie odpowiedziała. W zgrabnych, kontradansowych krokach przebiegała salonik wzdłuż i w szerz nucąc aryjkę z dzieci Hajmona.

Prosper zamyślony patrzył na nią. Było coś tak uroczego w téj lekkiej sylfidowój postaci, która jak wiotka trzcina przyginała się na różne strony z takim niewysłowionym wdziękiem, że majorowi na seryo zrobiło się smutno. Już się nie śmiał do siebie, ani brody nie chował do chustki.

Patrzył przed siebie i na seryo o czémś myślał.

— Ten młody człowiek panie majorze, ozwała się znowu pani Patrycyca... ten młody człowiek... o czémże majorze tak myślisz? Nie słuchasz mnie!

— Przepraszam myślałem w téj chwili o pannie Alodyi... dalibóg myślałem!

— Cóżes major o niej myślał? zapytała matka patrząc z zadowoleniem na zgrabnie falującą suknię srebrzystą Alodyi.

— Myślałem o tém, jak to kiedyś na weselu panny Alodyi tańczyć będziemy!

Przy tych słowach wytrzeszczył major jak rak na wierzch oczy i patrzył na panią Patrycyę.

Pani Patrycyę poruszała smutno głową.

— Nie zanosi się na to, aby to tak prędko nastąpić mogło! odpowiedziała, a zresztą kto wie gdzie wesele wyprawiać będą!

— Jakto? mościa dobrodziejko! Przecież wesele zawsze odprawia się w domku rodzinnym!

— Prawda i to czasem bywa, ale u nas mianowicie rzadko się to wydarza!

Tu westchnęła pani Patrycyę. Major patrzył dalej.

— Jest to nie małe szczęście mówiła dalej, jeśli kto może w parafii, w sąsiedztwie znaleźć męża lub żonę!

— Czyż to szczęście jest tak niedostępne? podjął major mrugając na Prospera.

Przecież sam przyznasz majorze, że dla Alodyi w naszej parafii a nawet powiecie nie ma stosownej partyi!

Major wyjął brodę z chustki i mrugnął lewem okiem do Prospera, co miało oznaczać:

— A co? Widzisz?

— Tak... cedził zwolna przez zęby major — tak... niby to... to nie brak młodzieży... tylko...

— Ależ zlituj się majorze, z rozdrażnieniem ozwała się pani Patrycyę, powiedz mi, wymień nazwisko choć jednego! Któż tu jest? Kilku bankrutów z angielskimi faworytami, których ojcowie dzierżawą chodzili, lub kilku cząstkowych hreczkosiejów...

Major postawił marsa i zaczął skubać kołnierzyki.

— Hm, hm, mrucał, prawda, że prócz hreczkosiejów...

— Gdybyśmy były im równe, mówiła dalej pani Patrycja, toby mało było zachodu. Bo juści lepiej wziąć męża lub żonę z za miedzy, nizeli jeździć po nich po całym świecie!... Ale cóż, *noblesse oblige!* Nasze rozległe stosunki familijne wymagają tego, abyśmy mieli wzgląd na familią. Nam nie wolno wybierać, jak się to wybiera w małych dworkach! My na szerokiej arenie walczymy— jeżeli nie znajdziemy nic godnego siebie między Karpatai a morzem Bałtyckim, to szukamy po Francyi, po Niemczech lub po Włoszech! Związki nasze sięgają daleko!

— Hm, hm, mruzczał major, to prawda, hm, hm, a z resztą ja tam tego dobrze nie rozumiem! Ja pod Lipskiem nie patrzałem na dalej stojącego jenerała nieprzyjacielskiego, ale bilem tego, kogo miałem przed sobą... bo widzi mościa dobrodziejka, to czasem, osobliwie w bitwie... niebezpiecznie jest robić sobie apetyt na jenerała, co tam gdzieś za górą stoi, a tymczasem prosty piechur w bok kolnie!...

— Zawsze jesteś dowcipny majorze! zauważyła pani Patrycja.

Major nawet nie chciał już teraz być dowcipnym. Zmarszczył czoło i łypnął dosyć znacznie lewem okiem na Prospera, jakby mówił:

— Basta!

I rzeczywiście zabastował major.

Pomówiwszy jeszcze coś o pogodzie i ozimie, wstali obaj i pożegnali się.

Prosper był smutny i zamyślony. Major wyglądał jakby był kontent z siebie.

Nie chciał już Prosper siadać na deresza, którego przywiązano za dryndulą.

— A co? ozwał się major w drodze do Prospera, obawiałem się tego co się stało!

— Cóż się stało? żywo odparł Prosper, przecież nie oświadczałem się ani odkosza nie dostałem!

— Prawda, prawda, prędko mitygował major, o odkoszu nie ma mowy, chociaż... chociaż rekuza jest jak na dłoni!... Ale prawda, żem dyplomatycznie gadał?

Prosper westchnął.

Major gwizdał sobie Dąbrowskiego.

A od czasu do czasu wyciągał chustkę z kieszeni, zakrywał nią pół twarzy od Prospera i śmiał się, śmiał serdecznie, że udało mu się w obec adwersarza wykonać zręczny kontramarsz, jak w duchu dzisiejszą wizytę nazywał, i jednym zamachem rozpędzić złudne, niepotrzebne marzenia młodego, niedoświadczonego człowieka.

Cieszył się także i z tego, że pan Nazaryusz otrzyma dobrą nowinę, przyczém jednak postanowił użyć takiej samej dyplomacyi i strategii, jakiej użył w obec Prospera. Był on bowiem tego zdania, że sprawę młodych ludzi to jest sprawę serca i fantazyi tylko tym sposobem można prowadzić skutecznie.

W tym celu jeszcze tego samego wieczora postanowił odwiedzić pana Nazaryusza.

XVIII.

NIESPODZIANKA.

Najpiękniejsze plany i najlepsze zamiary nie udają się często dla tego, że je ktoś uprzędzi!

Na takie fatum narzekali nieraz dawni generałowie Austryi, którzy z najlepszymi planami wyszli z Wiednia przeciw wojsku Napoleona. Plany te, starannie w wiedeńskiej radzie wojennej wypracowane miały najkrótszą drogą zaprowadzić ich do Paryża, coby niezawodnie się stało, gdyby wśród wykonania nie udaremnił tych planów Napoleon!

Tak też stało się i majorowi, który nad wieczorem wiózł do pana Nazaryusza plan w swojej głowie, bardzo dobrze obmyślany.

Pan Nazaryusz nie spodziewał się majora. Stajenny Piotruś zaraportował zaraz po kościele ciotuni, że major i pan Prosper pojechali do pani Patrycyi. Ciotunia wnosi a ztąd, że tam zostaną przez całą niedzielę i dziwnym jakimś instynktem odgadywała, że w tej wizycie coś ważnego się stanie.

Do tego instynktu przyczyniła się nadzwyczajna powierchowność majora, jaką dzisiaj widziała w kościele.

Major bowiem obok białej chustki pod szyją, miał paradną swoją kurtę i wysokie buty palone, które tylko w nadzwyczajnych uroczystościach używał. Prócz tego miał chustkę fularową czerwonego koloru i świeżo wyprane łosiowe rękawiczki. Czupryna była zaczesana nie po codziennemu i wąsy także niezwykle do góry zakręcone. Dodawszy do tego uroczysty nastrój twarzy i niezwykle wyprostowaną postawę, można było wnosić, że major nie sie w sobie jakiś plan nadzwyczajny.

Raport Piotrusia utwierdził ją w tém mniemaniu, że na salonach pani Patrycyi, mówić się dzisiaj będzie o rzeczach wielkiej doniosłości.

Udzieliła tych domysłów swoich Bonusi.

W pierwszej chwili nie wiedziała, jakie skutki mogą wyrzucić podobne domysły, gdy się ich udziela osobie młodej i wrażliwej, dla której one mogą być grobem śmiertelnym.

Bonusia zbladła, zadrżała i kilka chwil była prawie bez życia!

Nagła myśl, że w téj chwili rozgrywają się losy jéj życia, skurczyła jéj serce i zastanowiła obieg krwi.

Po kilku chwilach poczerwieniła i znowu zbladła.

Ciotunia spostrzegła, że źle zrobiła i starała się krok świeży niewłaściwy naprawić.

— Ale zdaje się, że z tego nic nie będzie! mówiła do Bonusi jak mogła najczuliej.

Bonusia nic nie odpowiedziała. Była bladą jak karta białego papieru.

— Czyż to zaraz ma się spełnić, co człowiek sobie roi? mówiła dalej ciotunia naprawiając niezręcznie swoją porywczosć — mój Boże! ileż to człowiek nadarmo namarzy się w życiu! Ileż to marzeń jak kwiaty na łące uschną i zwiędną! Już to przeznaczeniem jest kobiety marzyć i marzenia swoje własną ręką kłaść do grobu! Można powiedzieć, że kobieta za życia umiera i jest na własnym pogrzebie!... Czyż to bowiem nie jest śmiercią kobiety, jeżeli sny jej i pragnienia marnie giną, jak giną muchy — efemerydy przy zachodzie słońca! .. Pragnąc i cierpiąc, cierpieć i pragnąć to los, to życie kobiety!... I cóż potem?... *Stara panna!* powiada świat głupi, nie wiedząc ile łez, ile bólu, ile kurczów serdecznych mieszczą te dwa słowa?...

Łzy okazały się w oczach Bonusia.

Przelekła się ich mądra ciotunia i prawiała dalej:

— Czegóż płaczesz? Czy cię straszy perspektywa stariej panny? Nie płacz? Jeszcze czas do płaczu! Masz lat ośmnaście czy dziewiętnaście, któż w tych latach trwoży się widmem stariej panny? Nie będzie jeden, to będzie drugi, jeżeli nie drugi to trzeci! Alboż to świat jest mały? Cały sekret w tém zależy, aby umieć wybrać! Nie żądać ideałów, bo ideały dla książek! Cóżby robili poeci, gdyby ich ideały w rzeczywistość przeszły? O cóż mieliby się skarżyć i płakać?..

Kazanie to ciotuni coraz gorszy skutek wywierało. Bonusia na seryo płakała, chociaż siłiła się, aby łzy powstrzymać. Płynęły one spokojnie bez ustanku po jej bladej twarzy.

Do tego jeszcze przyszedł pan Nazaryusz i zapytał siostry co ta scena ma oznaczać.

Ciotunia, chcąc się przed bratem usprawiedliwić, uznała za rzecz stosowną, całą winę zwalić na Bonusię.

— Albo ja wiem, co to znaczy, odpowiedziała z chmurką na czole, pytaj się o to Bonusi! Któż wie co tam jej do głowy przyszło! Uroiła sobie coś, co być nie chce, a teraz płacze, jak małe rozkapryszone dziecko, że mu szybki z okna wyjąć nie można! Mówię do niej rozsądnie, przemawiam jak mogę najrozumniej, tłumaczę ją, pocieszam, obiecuję... i cóż z tego? Oto płacze i Bóg wie czego płacze!... Obawia się zostać starą panną! Stara panna! Cóż w tém jest tak złego! Czyż to kobiety nie bywają starymi pannami? Czyż ja sama... a przecież żyję na świecie i Boga chwale i na coś się ludziom jeszcze przydam!... Ale ludzie, ludzie są dzisiaj niewdzięczni! Nie pamiętają tego, że się ich wychowywa, że się ich kształci, że się jest im drugą matką...

— Przecież ja ciotuniu nic takiego nie zrobiłam, rzekła Bonusia całując ją w rękę!

Pocałowaniem ręki była ciotunia już udobruchana. Do tego poczuła na ręce gorące łzy Bonusi, i to rozbroiło ją do reszty.

— Wiész Nazaryuszu, rzekła do brata, ja się jej nawet wcale nie dziwię! Cóżto, czy nie warta tego aby kawaler, równy jej majątkiem i urodzeniem nią się zajął a nie piął się do pałacow?...

Bonusia zaczęła jeszcze bardziej płakać.

Pan Nazaryusz zrozumiał tutaj o co chodzi.

Wzruszył ramionami smutno, odwrócił twarz i rzekł:

— Myślałem, że Bóg wie o co wam idzie! Co też te kobiety nie wymyśla, aby się dręczyć i martwić!.. Lepiej przeczytaj sobie co, drogie dziecię, a ty siostró pomysł o podwieczorku, bo wszystkie wasze zmartwienia najczęściej pochodzą z braku zajęcia i — z głodnego żołądka, który herbatką oszukujecie!

Pan Nazaryusz chciał całej rozmowie ze łzami nadać kierunek weselszy, co mu się też w części udało w samej rzeczy.

Bonusia jak każda młoda kobieta, przeszła z łez do śmiechu. Jeszcze ostatnie łzy nie stoczyły się po jej bladej twarzączce, gdy różowe usta otoczył uśmiech pełen młodego życia, a błękitne oczy zajaśniały przez wilgotną powłokę czystym promieniem światła...

Podobne przejścia u młodych kobiet są bardzo zwyczajne. Na twarz z łez nieotartą wysuwa uśmiech najprzód... młodość, która bez uśmiechu jak kwiatek bez woni być nie może, potem... rozważa, która straconym rzeczom każe wysypać mogiłę i dalej szukać szczęścia, a czasem... są inne, mniej egoistyczne powody tego uśmiechu!...

Zdaje się, że w tém ostatniem położeniu była Bonusia.

Uśmiechnęła się ona — dla ojca i ciotuni, a młodość pomogła jej do tego uśmiechu.

Pan Nazaryusz ucałował uśmiechniętą twarzączkę Bonusi, a za panem Nazaryuszem uczyniła to samo ciotunia.

I po tém wszystkiem byłaby niedziela przeszła jako tako, gdyby jakieś dziwne fatum nie ciążyło na niej!

Parafia bowiem téj niedzieli była jakoś dziwnie rozruszana.

Młody nieznajomy, który tak niezwykcyjnie wystąpił na horyzont parafii, poruszył wszystkie sprężyny i języki, które nowiny parafialne redagowały.

Myśliwym, którzy wychodzą na dzika, wydarzy się często, że zamiast dzika spotkają wilka lub niedźwiedzia.

To samo wydarzyło się nowiniarzom parafii.

Pan Ansgary, który już układał w głowie anonimy, które rozesać ma po całej parafii względem młodego nieznajomego pokutnika i w tym celu dla nagromadzenia materiału do pani Piotrowej dryndulką jechał, spotkał w drodze majora w ułance paradnej i z chustką czerwoną w ręce, gdy do bramy pałacu pani Patrycyi wjeżdżał jak parlamentarzysta postępujących hufców zwyciężkich! Wprawdzie hufców nie było, ale był pan Prosper na oddzielnym dereszku, ubrany w kurtkę aksamitną i w świeżych łosiowych rękawiczkach!

Z tego złożył pan Ansgary to samo, co ciocia z opowiadania Piotrusia złożyła, i ubrawszy to w styl kwiecisty rozwiózł po całym sąsiedztwie.

Rozbudzone tém opowiadaniem nowiniarskie talenty parafii rzuciły się na nowy żer, aby podaną przez pana Ansgarego wiadomość należycie uzupełnić.

I wszystko, co tylko na polowanie wieści o młodym nieznajomym z domu wyruszyło, rzuciło się na dwór pani Patrycyi, otoczywszy go potrójnym łańcuchem eklererów.

I jeszcze dobrze słonko boże nad parafią świeciło, gdy już w czterech dworach wiedziano o smutnym rezultacie wizyty majora z Prosperem.

Panna służąca od pani Patrycyi powiedziała w sekrecie lokajowi, lokaj znał się z dziewczyną posługującą w hotelu miasteczka, a dziewczyna hotelowa dziwnym zbiegiem okoliczności wyjawiała ten sekret panu Marcynowi, który przyjechawszy do miasta w hotelu popasał. Pan Marcin w braku innych ludzi, lubił czasem ze swoim służącym bawić się rozmową i różne rzeczy mu powierzać. Powierzył też mu i ten sekret, a że w hotelu oprócz pana Marcina było jeszcze kilku arendarzy z okolicy i szklarz, który właśnie wybierał się do pana Nazaryusza, służący pana Marcina obdzielił wszystkich tym sekretem jak naj-skrupulatniej!

Tym sposobem stało się, że szklarz idący do pana Nazaryusza wrócił wraz z pudłem tafli na plecach powierzony sekret, nie wiedząc wcale, co ten sekret złego narobić może!

Major, który szedł właśnie przez pole do pana Nazaryusza z planem starannie ułożonym i pewny zwycięztwa, z niemalém zadowoleniem do siebie się uśmiechał, spotkał szklarza w drodze, a nawet rozpoczął z nim pogadankę.

Nie wiedział biedny major, że zeszedł się z człowiekiem, którego przeznaczeniem było, popsuć mu jego plan dobrze obmyślany.

Gdyby dalej z nim poszedł, byłby równocześnie zdążył do dworku pana Nazaryusza, a tém samém sparaliżował zamiary szklarza.

Ale major ujrzał nagle na drodze małego chrabąszczyka.

Major zbierał chrabąszcze, nadziewał je na szpilki i starannie chował w stosownych pudłach.

Słabości swojej i tutaj oprzeć się nie mógł.

Zasadził się na chrząszcza, chrząszcz podleciał, major w pogoń za nim... chrząszcz był niezwykłym okazem... a tymczasem poszedł szklarz dalej i poniósł wraz ze szkłem niebezpieczną planom majora nowinę.

Jeszcze major za chrząszczem po polu uganiał, gdy szklarz wszedł do piekarni pana Nazaryusza i tam pytając się o nowiny z miasta pannie służącej, najświeższy sekret powierzył.

Panna służąca, która zazwyczaj wtajemniczoną jest w najtajemniejsze marzenia swego dworu, uznała tę nowinę za rzecz wielkiej wagi, i z twarzą rozpromienioną pobiegła do pokoju.

Z pokoju jeszcze nie był wyszedł pan Nazaryusz i istotnie jeszcze według rady brata nie poszła aby podwieczorek przygotować — tylko Bonusia siedziała przed stolikiem i przewracała jakąś książkę illustrowaną.

— Nowina, wielka nowina! zawołała służąca zaraz w progę — wielka i dobra nowina!

— Wielka i dobra nowina? zapytał z dziwnym przecuciem pan Nazaryusz i zmarszczył czoło.

Służąca zmieszana się, bo nie spodziewała się zastać tu ojca Bonusi.

— Nowina, nowina — powtórzyła — czy dobra i wielka nie wiem, ale zawsze nowina wielka... i dobra...

— Cóż za nowina? zapytali wszyscy.

— Dzisiaj po kościele... był pan Prosper z panem majorem u pani Patrycyi... oświadczeni się matce i córce i pan Prosper dostał odkosza!

— Dostał odkosza? krzyknęła ciotunia i z radości klasnęła w ręce. Słyszysz Bonusiu? Pan prosper dostał odkosza!

— Dostał odkosza! wyjąknęła Bonusia i zbladła jak trup.

Po chwili opadły jęj ramiona na dół... głowa zwiesiła się na piersi...

Była blizka omdlenia...

Pan Nazaryusz pobiegł ku nięj.

— Bonusiu! Bonusiu! Co ci jest drogie dziecię! wołał.

— Pan Prosper dostał odkosza! krzyknęła do ucha ciotunia, której twarz jaśniała rozkoszą.

— Dostał odkosza! powtarzała machinalnie Bonusia, a kurcz bolesny wykrzywił jęj twarz bladą.

— Dziecię moje! Upamiętaj się! wołał pan Nazaryusz.

— On dostał odkosza! jękła jeszcze raz Bonusia i wybuchnęła głośnym, rzewnym płaczem.

Ani ojciec, ani ciotunia nie rozumiały tęg sceny. Zdawało się im, że Bonusia wraz z niemi musi w ręce klasnąć i z radości wykrzyknąć, a Bonusia tymczasem zbladła, omdlała i rzewnie płakać zaczęła!

Jakiś wielki smutek, jakaś rozpacz ogarnęła ją.

W tęg chwili dano znać, że major do ganku się zbliża.

Na tęg wiadomość Bonusia rzuciła gwałtownie główką do góry, otarła łzy z oczu, zacisnęła zęby, i zaczę-

ła znowu z udanym spokojem przeglądać illustrowaną książkę.

Major wszedł z uśmiechem zadowolenia.

Miał on z sobą dobrą nowinę i plan dobrze w głowie wypracowany. Był pewny, że ten plan się uda i głowę jego otoczy laurami.

Już naprzód uśmiechał się do tych laurów i podziwiał sam siebie jako dzielnego żołnierza, tęgiego palestranta i nieprzewyciężonego — dyplomatę.

Lekko, jakby mu z pięćdziesiąt lat ubyło, wyskoczył na ganek, przebiegł przedpokój i stanął przed stolikiem, przed którym siedziała Bonusia. Opodał stał pan Nazaryusz i ciotunia.

— Witam, serdecznie witam! zaczął major dygając na wszystkie strony dosyć komicznie, witam państwa!... Cóż tu u państwa jakaś dziwna atmosfera... trzeba tę atmosferę trochę rozjaśnić, rozweselić... Cóż panie Nazaryuszu?

— My tam zawsze jednacy! odparł pan Nazaryusz, nie mamy się z czego ni cieszyć, ni smucić! Co innego, gdybyśmy mieli jakie wielkie zmartwienie... to możebyśmy udawali przed ludźmi radość i wesołość!...

— Tam do kata! zawołał major, cóż to znaczy.

— To znaczy, ozwała się ciotunia, że dzisiaj ludzie, gdy im się nie wiedzie, udają, że robią złote interesa! My tam, ani jednego, ani drugiego nie udajemy! Dziękujemy Bogu za wszystko co dał!

Major zachmurzył czoło. Plan jego zaczął mu się psuć.

— Państwo mówicie w słowach zagadkowych, rzekł z pewnym żalem major, a ja myślałem, że dzisiaj bardzo wesoły wieczorek z wami przepędzę!

— I owszem, odparł pan Nazaryusz, wesołości nam trzeba!

— Panna Bona także coś smutna, mówił dalej major, coś przybladła i spoważniała... Ej Bonusiu! Ciesz się dziecię moje, bo twój dziadunio z tobą chce się dzisiaj cieszyć!

— Mnie nic nie jest i uciechy żadnej nie pragnę! odpowiedziała poważnie Bonusia.

Major spojrział marsem na Bonusię.

Cóż to jest? Wszystko mu się psuje! Jego mozolnie skombinowany plan w niwecz się obraca!...

Spojrzął po wszystkich z wyrzutem.

— Niech pan major siada, rzekł pan Nazaryusz, który przypomniał sobie, że jest nawet niegrzeczny.

— Niech nam opowie co nowego? dodała ciotunia i uśmiechnęła się do Bonusi.

— Nowego... nowego nic nie wiem, z kwaśną miną odpowiedział major i schował brodę w chustkę.

Plan jego był już do szczętu popsuty.

— Może znasz majorze tego młodego nieznanego, który dzisiaj w kościele... zapytał pan Nazaryusz, aby o czémś mówić.

— Co mi tam jakiś faryzeusz obchodzić może! od-fuknął gniewnie major.

— Może pan major wie coś innego, co go więcéj obchodzi? zagadnęła ciotunia patrząc z uwagą na Bonusię.

— Co tam może państwa to obchodzić, co mnie obchodzi! Widzę już z pierwszych słów, że się wcale nie rozumiemy!

— Tak samo, jak ja dzisiaj także majorze nie rozumiałem, chociaż, jak Bóg świadkiem, zrozumieć chciałem! odparł z wyrzutem pan Nazaryusz.

— Ja przecież nigdy inaczej nie mówię jak myślę! tłumaczył się nieszczęśliwy dyplomata.

— Popsuliśmy majorowi! dobry humor, zauważyła ciotunia—lepiej mówmy o nowinach parafii! Czy to prawda panie majorze, że pan Prosper ma się wkrótce żenić z panną Alodyą? Mówią, że dzisiaj nosiłeś pan na zapowiedzie!

Ciotunia mrugnęła do Bonusi.

— Ja nosiłem na zapowiedzie? podjął major dosyć zadowolony, że do planu swego będzie mógł wrócić — ja nosiłem na zapowiedzie?... Otóż mam zaszczyt powiedzieć państwu szczerze i otwarcie, że Prosper ani myśli o panie Alodii, ani planów żadnych względem niej nie układa! Wszystko plotki, istne plotki!

— A tu mówią, ozwała się Bonusia z gorzkim uśmiechem, że pan Prosper miał dzisiaj dostać od panny Alodii — odkosza!

— Odkosza! krzyknął major i wytrzeszczył oczy jak rak — któż tę głupią nowinę tu przyniósł?

— Szklarz, który szedł z miasteczka, a jemu powiedział... recytowała ciotunia.

— Szklarz! mruknął major z marszem—gdybym był wiedział!...

— Więc naprawdę dostał odkosza? zapytał pan Nazaryusz, który uczył potrzebę słodkiej zemsty.

— Odkosza dostał albo nie dostał, odfuknął rozdrażniony major— a zresztą cóż to kogo obchodzi? Prosper, jeżeli zechce może się dziesięć razy ożenić...

— Ciekawam bardzo, odparła Bonusia a jej blade usta zadrżały konwulsyjnie — ciekawam bardzo, ktoby chciał iść za kawalera, który w sąsiedztwie odkosza dostał!

Głos jej był przy końcu łkający. Zaciśnęła zęby i nie puściła łez.

Teraz dopióro zrozumiał pan Nazaryusz i pojęła ciocunia, dla czego to Bonusia zbladła, że pan Prosper od Alodyi odkosza dostał!

Dla majora zaś podobne słowa z ust Bonusi były istną niespodzianką!

Oślupiał i jak rak wytrzeszczył oczy.

— Jakto! zawołał, i pani to mówisz, że za Prospera niktby w parafii iść nie chciał?

— Po odkoszu — nikt! odpowiedziała z wymuszonym spokojem Bonusia, ręczę panu, że żadna, któraby choć trochę siebie cenila!

Major schował brodę do chustki i zasmucił się. Widział jasno, że przegrał!...

Zasmucił się także i pan Nazaryusz i ciocia widocznie posmutniała...

— A tymczasem po bladej twarzy Bonusi przebiegały błyski rodzącej się energii i cichej jak marmur zimnej rezygnacji...

Pierś tylko lekko falująca okazywała, jak wiele cierpi, ale cierpi z odwagą bohaterki!...

XIX.

S Y T U A C Y A.

Cały tydzień wrzało i kipiało w parafii.

Pan Ansgary miał plan obfity do swoich *anonimów*, któremi teraz bujnie wszystkie dwory obdzielał.

Fermentem parafii były dwa wielkie zdarzenia: nieznajomy pokutnik i czarna polewka, jaką panu Prosperowi w pałacu pani Patrycyi podano.

Drugie zdarzenie było tak czysto domowém, tak wszystkich zbliżka obchodziło, że wielki nieznajomy po niejakiój walce musiał z pola ustąpić i plac boju Prosperowi zostawić.

Nie ma nieszczęśliwszej istoty pod słońcem, jak kawaler, który w swojej parafii się oświadcza i odkosza dostaje!

Nie zostawią na nim ani jednej nitki całój! Rozbiorą go całego anatomicznie, wynajdą błędy i defekty, wydadzą wyrok nieodwołalny!

Kawaler, który w swojej parafii odkosza dostał, jest straconym człowiekiem — dla parafii!

Dla tego to wzmaga się dzisiaj coraz więcej emigracya kawalerów w dalsze powiaty — po odkosze!

W dalszych powiatach, osłaniając mgłą swoje stosunki majątkowe, może kawaler osłonić także i czarną polewkę, jaką mu podadzą, albo przynajmniej uzyskać wyrok uwalniający go od ostracyzmu parafialnego — z braku dowodów.

W granicach parafii tego wszystkiego dokazać nie można. Tutaj nietylko o wszystkiem prędko się dowiedzą, ale nawet prosty fakt tak po mistrzowsku wystroją w różne dodatki i takie dadzą mu oświetlenie, że biedny obżałowany sam siebie w tym fakcie nie pozna!

Tak się też stało z Prosperem.

Pani Piotrowa przysięgała się na swoje dziecię, że Prosper nietylko odkosza formalnego otrzymał, ale nawet wyproszono go za drzwi w sposób bardzo niedelikatny, po nierozważnych słowach majora.

Pani Marcinowa utrzymywała, że ludzie dworscy wracający z miasteczka do domu, widzieli pana Prospera płaczącego na drynduli majora...

Pan Ansgary porozsyłał *anonim* po wszystkich dworach rymowany dyalog, jaki miał miejsce między Prosperem a panną Alodyą. W tym dyalogu odpowiadała Alodya nieszczęśliwemu konkurentowi jak królowa, a on tarztał się przed nią po podłodze...

Najostrzej redagowane były biuletyny o tém zdarzeniu w domu pani Szymonowej. Cztery dorosłe córki pani Szymonowej prześcignęły się w dosadności opisywania téj sceny. Najprzód казаły one według zwyczaju praktycznego w teatrach amatorskich, uklęknąć Prosperowi

przed Alodyą. Alodya odepchnęła go swoją arystokratyczną nóżką, potem weszła na to pani Patrycja i powiedziawszy mu *pater noster* co się zowie, zawołała lokaja i kazała go delikatnie wyprowadzić aż na schody ganku... Ztamtąd, nie wiedząc jakim sposobem to się stało, zapewne przez nieuwagę... spadł Prosper na twarz i podbił sobie lewe oko... Tak nawet widziano go powracającego do Majdanu i to było powodem, że ludzie wracający z miasteczka do domu, myśleli, że on płacze, a on tymczasem tylko podbite oko chustką zasłaniał od wiatru...

Słowem i na wołowej skórze niktby tego nie spisał, co o Prosperze i Alodyi mówiono w parafii.

Kawalerowie parafialni, którym Prosper był solą w oku, bo więcej od nich umiał, pozabijali swoje konie pędząc od dworu do dworu i roznosząc o nieszczęśliwej katastrofie jak najdziwaczniejsze wiadomości!

Nawet roboty w polu ucierpiały na tém, bo niektórzy do wycieczek używali broniaków i w domu nie zostawili dostatecznej dyspozycyi.

Jedni cieszyli się, drudzy smucili jak to zazwyczaj w sąsiedztwach bywa. W jednym jednak i drugim przypadku najgorzej na tém wychodzili major i Prosper. Jedni bowiem z uciechą inni ze współczucia przyczyniali różnych dodatków do katastrofy i stroili ją w barwy coraz jaskrawsze!

Słowem w całej parafii był ruch i wrzawa, i w końcu tak się wszystko pomieszało, że ani major, ani Prosper nigdyby nie poznali, kto jest ich przyjacielem a kto nie przyjacielem!

Wszyscy mieli jedne i te same barwy.

Niktby się jednak nie spodziewał, że w domu pani Patrycyi wiadomości te wywarły jak najgorsze wrażenie!

Pani Patrycyca chodziła po swoich salonach jak furja, gdy się o tém dowiedziała.

Zazwyczaj panny parafialne uważają to niejako za wyszczególnienie jeżeli jaki kawaler im się oświadczy a one dadzą mu odkosza.

Pani Patrycyca dalej sięgała swoim wzrokiem.

Rozszerzone wieści o oświadczeniu się Prospera szkodziły według jęj zdania bardzo wiele opinii Alodyi.

Oświadczenie bowiem Prospera stanowiło już niejako kurs Alodyi. Wprawdzie nieprzyjęto tego kursu, ale pierwsza „podaż“ była już zrobiona!

Podobnie dzieje się z towarem wywiezionym na sprzedaż. Bardzo wiele zależy od pierwszego zatargowania. Właściciel towaru naznacza sobie pewną cenę a tymczasem pierwszą kupiec odważył się podać zaledwie trzecią część tęj ceny! Wprawdzie właściciel towaru odepchnie jego beczelną ofertę, ale ci którzy słyszeli mają odwagę na fundamencie oferowanej ceny dalej targ prowadzić.

Otóż takiego targu obawiała się przedewszystkiém pani Patrycyca. Pan Prosper pod względem majątkowym był może trzeciorzędnym kawalerem parafii, a pani Patrycyca starała się dotąd dom swój na takięj wysokości trzymać, aby nawet pierwszorzędnym kawalerom odjąć odwagę zbliżenia się do Alodyi. Jęj plany sięgały daleko ponad parafię!

Dotąd udało się jęj powstrzymać zapęd epuzerów parafialnych, ale dzisiaj, gdy trzeciorzędnny kawaler odważył się sięgać po rękę Alodyi, mogliby i tamci iść w jego

ślady i tym sposobem ustalić kurs panny niezrównanie niżej od zamysłów matki.

Tak rzeczy widziała pani Patrycyja i dla tego wielce zafrasowała się obiegającemi wieściami.

W kilka dni, gdy panna służąca nie pojmując sytuacji, różne szczegóły o oświadczeniu pana Prospera z parafii do pani Patrycyi przyniosła, pani Patrycyja nie mogła się w gniewie pohamować i mało co najulubieńszej swojej powiernicy nie wybiła.

Na szczęście wpadła jéj Alodya pod oczy.

— Kochana Lodziu, ozwała się do córki, czy ty wiesz co w parafii o tobie mówią?

— Cóż mnie to obchodzi, co o mnie mówią w parafii, odpowiedziała z kaprysem jedynaczka.

— Jakto? Nic cię nie obchodzi?

— Wszak mama nieraz mi mówiła, że opinia parafii nie powinna mieć dla mnie żadnego znaczenia!

— To prawda... ale widzisz *ma chère*, gdzie idzie o kurs panny, tam nie powinno nic dla niej być obojętném!

— Przecież kurs mój nie według opinii parafii regulować się będzie!

— Wszystko prawda!... ale widzisz, są drobne rzeczy, których lekceważyć nie można!

— Nie wiem, o co mamie chodzi!

— W całej parafii mówią, że pan Prosper tobie się oświadczył.

— Pan Prosper?

— Czy to prawda? Ja — bo nic a nic o tém nie wiem!

Alodya uśmiechnęła się swoim melancholijnym uśmie-
szkiem.

— Wszak manra była przy tém, jak myśmy z sobą
mówili, odpowiedziała po chwili namysłu.

— Ja przecież nic nie słyszałam! Mówiliśmy wpraw-
dzie o pannach i kawalerach, jak sobie przypominam, ale
o oświadczeniu nic nie wiem!

Alodya zamyśliła się. Po chwili odpowiedziała:

— Mówiliśmy o kwiatkach zdaje mi się, o oświad-
czeniu mowy nie było!

— Może były jakie aluzye?

— Więcej aluzyi było może w słowach mamy!

— Szczerze ci mówię, że nie myślałam o żadnych
aluzyach, gdyż nawet nie przypuszczałam, aby pan Pro-
sper...

Alodya lekko westchnęła.

— Cóż ja temu winna? odpowiedziała smutno.

— Wiem, żeś tym plotkom nic nie winna, ale te
plotki wymyślone przez złośliwych ludzi gniewają mnie!

— I dla mnie nie są one miłe, jeżeli je mama w ta-
kiem złém świetle widzi!

— Takie plotki uważam za nieszczęście dla panny
na wydaniu!... Przypominam sobie, gdyśmy obydwie
z dzisiejszą panią W*** wychowywały się u nieboszczki
księżnej, nieszczęście chciało, że syn dzierżawcy księżnej
odważył się jój oświadczyć! Wyobraź sobie, biedna Mil-
ka nie mogła już nigdy lepszego dostać konkurenta! Pod-
czas gdy do mnie sami dystyngowani ludzie się zgłaszali,
do niej lichy niosło samych dzierżawców i urzędników, bo
już jeden ślad im zostawił! Biedna, musiała wyjść za czło-

wieka już niemłodego, aby przynajmniej być panią na wsi!... Takie to skutki pociągają za sobą podobne oświadczenia!

Alodya westchnęła i zamyśliła się.

— Ja sędzę, prawda dalej matka, że tym fałszywym wiadomościom trzeba prędko zapobiedz!

— Cóż im poradzimy?

— Trzeba będzie przy najpierwszej sposobności majora i pana Prospera z pewną ostentacją zaprosić, aby w parafii widzieli, że żadnej katastrofy między nami nie było, któraby zerwała nasze stosunki.

— Czy sądzi mama, że to będzie dobrze?

— To jest koniecznością!

— Może stanie się jeszcze co gorszego?

— Cóż może się stać *ma chère*, — co się miało stać, już się stało! Niepocziwi ludzie! Chciałabym się kiedyś na nich zemścić! I spodziewam się, że to nastąpi! Wtedy dopiero pękną wszyscy z zazdrości!

— Dla czego z zazdrości!

— Jeśli ty — świetną partycję zrobisz!

Alodya zamyśliła się, a melancholijny uśmiech otaczał coraz więcej piękne jej usteczka.

Pani Patrycja niespokojnym krokiem chodziła po pokoju.

XX.

K T O W I N I E N .

Podczas kiedy tak dziwne wieści wszystkim parafianom krew rozgrzewały, sam bohater tych wieści był w dziwném, prawie apatyczném odurzeniu.

Po powrocie do domu myślał zrazu, że major równieź jak on głęboko uczuje upokorzenie czy raczej niepowodzenie jakiego doznali w domu pani Patrycyi.

Po majorze jednak tego bynajmniej widać nie było. Prosper spostrzegł nawet czasami jakiś ukryty uśmiech na pomarszczonej twarzy jego, którego sobie w żaden sposób wytłumaczyć nie mógł.

Czyż miałby major być tak nieczułego serca, i śmiać się skrycie z tego niepowodzenia?

To spostrzeżenie odsunęło go od majora i kazało mu szukać samotności, w której mógłby popuścić folgę wzbranemu sercu!

Jakkolwiek Prosper poświęcił całą młodość swoją naukom więcj realnym niżeli humanitarnym, nie należał jednak do rzędu tych dzisiejszych młodych ludzi, którzy

zapoznawszy się z cyrklem i miarą, myślą, że przed ten cyrkiel i miarę nie ma nic w świecie!

Jednostronni ci ludzie, czy raczej niedorzeczni, chwytają skwapliwie za każdą błyskotkę, która okaże się gdzieś w literaturze, i ubierają się prędko w jej barwę!

Jeżeli jacy wielcy pracownicy jak *Darwin*, *Vogl*, *Haeckel* jaką hipotezę do umiejętnego traktowania w świat naukowy rzuca, ci ludzie nie zrozumiawszy autorów, chwytają tę hipotezę i podnoszą ją jako nową ewangelię życia, w którym odtąd nie ma nic być, czego mikroskop nie obaczy, skalpel nie przetnie i cyrkiel nie zmierzy!...

Taki fałszywy realizm jest tylko karykaturą!

Otóż Prosper mimo realnego kierunku nauk jaki sobie obrał, przebył także i tak zwane studia humanitarne, które zatrzymały w jego duszy pewną część idealizmu, bez którego ani człowiek pojedynczy, ani żaden naród godnie egzystować nie może!

Wprawdzie idealizm wodzi czasem człowieka i społeczeństwo po niepotrzebnych manowcach, ale drogi te nie są nigdy stracone!

Gdyby Prosper był dzisiaj, co się zowie, człowiekiem realnym, byłby po powrocie od panny Alodyi zjadł spokojnie obiad i potem dla konkokcyi pomyślał o dalszych swoich krokach epuzerskich, mniejsza o to, czy takowe powiodłyby go do ołtarza, czy zaprowadziły do drugiej czarnej polewki!

Wszak jeśli w jakim magazynie nie kupi się towaru, to się idzie do drugiego, z drugiego do trzeciego i t. d. Bynajmniej nie alteruje to kupującego, że odrazu interesu nie załatwił.

Prosper jednak, mimo że most kolei żelaznej na większej rzece zbudować potrafił, nie mógł w żaden sposób przyjść do równowagi zmysłów, które pomieszała mu wizyta u pani Patrycyi.

Jakkolwiek był mistrzem cyrkla i wagi, nie był mistrzem swego serca, które w żaden sposób uspokoić się nie dało!

Był to prawdopodobnie pierwszy krok w jego życiu, który tak boleśnie go zawiódł!

Gdyby przynajmniej Alodya inaczej tę odmowę sformułowała! Gdyby z dumą lub pychą odepchnęła go! Gdyby rzuciła za nim gorący potok słów lekceważących i podrażniła jego godność lub próżność!...

Alodya uczyniła to w sposób poetyczny! Dała mu pączek róży, oberwała potem listki, zasmuciła się na widok nagięj łodygi! A jak zachwycający był ten uśmiech melancholijny! Jak piękne były jój oczy szafirowe, gdy go namawiała do „rozsądku...“?

Nie... jój oczy mówiły co innego, uśmiech jój mówił co innego... a usta... ach te usta!... Pocóż one wypowiedziały tak okropne słowa!...

Tak myślał Prosper chodząc po osamotnionych ścieżkach poblizkiego lasu, podczas gdy major z ułożonym swoim planem do pana Nazaryusza poszedł.

Wieczorem zeszli się obaj przy wieczerzy.

Major pobity na głowę u pana Nazaryusza milczał zawzięcie, schowawszy brodę do chustki.

Prosper wziął jego turbację za współczucie i w duchu z nim się pogodził.

Próbował nawet rozmowy.

— Nie wiedziałem, rzekł do niego, że dzisiaj wieczorem będziemy jedli wieczerzę w tak kwaśnych humorach!

— Ja przecież temu nie winienem! odparł gniewnie major.

— A jakąż ja mam winę?... Przecież razem z dziaduniem uradziliśmy!

— Ba! Ale tyś mi dał fałszywe raporta do mego planu!

— Jakie fałszywe raporta!

— Alodya prawdopodobnie ani myślała o tobie!

Prosper zarumienił się.

— Być może, odparł cicho, któż dziś kobietę odgadnie!

— Kobięta jest zawsze jedna i ta sama, ale nie trzeba szukać jęj tam, gdzie kobiety nie ma!

— Sądzę, że kobięta jest wszędzie kobietą!

— To źle sądzisz!... Ja mówię z doświadczenia!

— A mnie głos wewnętrzny każe dziaduniowi na to odpowiedzieć, że dziadunio komuś może krzywdę wyrządza!...

Major spojrział ciekawie na Prospera.

— Jeżeli ktoś się potknie i upadnie, odparł gniewnie, to nic dziwnego, ale jeżeli się wróci i sterczący kamień za to pocałuje, tego nie rozumiem!

Prosper westchnął i zamyślił się.

— Wszystko to ztąd pochodzi, mówił po jakimś czasie major, żeś mego programu nie dopełnił!

— Programu dziadunia?

— Tak jest mego programu. Chciałem, abyś w świecie co zrobił własnymi siłami, a gdyby ci się tam nie poszczęściło lub gdybyś zapragnął odpoczynku, w takim razie chowałem dla ciebie ustronie wiejskie. Tyś porzucił zawód o własnych siłach i cofnąłeś się bez boju na rezerwy! Cóż czy nie tak?

Twarz Prospera ożywiła się.

— Dziadunio, odpowiedział, już kilka razy potrącałeś w rozmowie ten przedmiot. Pomówmy więc nieco obszerniej o nim!

— Nie wiem, co mi ciekawego powiedzieć możesz?

— Zawód taki, jaki mi dziadunio obrać kazałeś jest dobry dla tych, którzy nic innego do wyboru nie mają. Po mozolnej, kilkonastoletniej pracy mogą pomyśleć o uzupełnieniu swego szczęścia, rozumie się, jeśli tego uzupełnienia żądają z warstw wyższych, wykształconych nie kontentując się lada czém znalezioném na ulicy.

— Cóż ty nazywasz warstwami wyższemi?

Prosper zarumienił się i zamilkł.

— Mów dalej! ozwał się po chwili major.

— Wiesz dobrze dziadunio, mówił dalej Prosper, że w wyborze moim radziłem się serca!

— Serce! serce! Nie ma głupszego doradcy jak serce! Serce to ślepy kret, który ryjąc pod ziemią, nie wie gdzie idzie! Serce powinno zawsze być w parze z rozumem!

— Zdaje mi się, że i rozsądku radziłem się w téj mierze?...

— I cóż ci ten rozsądek poradził? Czy to on poradził ci opuszczać obrany zawód?

— Zdaje mi się, gdybym go wcale nie zaczynał, to może lepiej byłoby się mi poszczęściło!

— Co mówisz! Co mówisz! Bredzisz jak Piekarski na mękach! Toż każdy młody człowiek ma być próżniakiem i konsumować tylko to, co mu ojciec lub dziadek jego zarobił?...

Major był niezwykle rozdrażniony. Prosper zachował krew zimniejszą. Rzekł po chwili:

— Jeżeli w społeczeństwie jakim przesąd niezwalczony panuje, to trzeba ten przesąd w rachubach swoich uwzględnić. Spostrzegłem, że u naszych kobiet jest przesąd, że wszelka osobista praca poniżej człowieka. Wróciłem więc od pracy do stanu przedewszystkiém uprzywilejowanego, aby tém łatwiej znaleźć szczęście dla siebie. Zdaje się jednak, że wróciłem zapóźno, bo pozostała już na mnie skaza człowieka, który na siebie zarabiał! To więc prawdopodobnie zaszkodziło mi najwięcej!

Prosper spuścił smutno głowę na piersi. Major za to podskoczył ze stołka do góry i cały czerwony z rozdrażnienia stanął przed Prosperem.

— Co ty mnie tam bajesz o jakichś kobietach, zawołał całym gardłem, które człowiekiem ucziwie pracującym pogardzają!... To nie są kobiety ale lafiryndy, które można schwytać na lada jaki karykiel za pożyczone pieniądze kupiony lub oszustwem nabyty!... Można je złapać jak głupią sikorę na lada plewę w postaci liberyi pożyczanej lub przywłaszczonego tytułu, o którym nic nie wie Niesiecki?... o takich kobietach ty mówisz?

— Mówiłem, że to przesąd, że to choroba nasza, ale fakt jest że istnieje!

— I ty chcesz się do téj głupoty stosować, chcesz między tą głupotą szukać szczęścia swego?

Znalazłszy szczęście można ludzi poprawić...

— Ba, ba, ba! To istna robota Danaidów! Nośże wodę w przetaku!

Major zaczął szybko chodzić po pokoju. Gniewało go to jeszcze mocniej, że Prosper ze swoich marzeń zrobił pewien system, który według majora, był najfałszywszym w świecie!

Po jakimś czasie zatrzymał się. Twarz jego posmutniała i przybrała wyraz rzewny.

— Wierzaj mi Prosperze, rzekł po chwili smutnym głosem, szczęście nasze jest podobne do dalekiego widoku. Zdaje nam się, że to trzecie pasmo gór, które z powodu oddalenia wygląda jak mgła błękitna, jest daleko piękniejsze od pierwszego, która tuż pod nami leży!... A to tylko złudzenie, nic więcej!.. Podczas kiedy tam gdzieś daleko oko twoje wyteżasz — tuż blisko ciebie jest ktoś... mówię ci, gdybyś ją był widział, gdy jej powiedziano... nie... upadłbyś na kolana przed tym aniołkiem, i czołgałbyś się jako grzesznik za nią, błagając o przebaczenie!...

Tu szybko obrócił się major od Prospera i wybiegł z pokoju.

Skrzyp schodów okazywał, że major podążył do swojej izdebki pod dachem.

Prosper został sam jeden.

Stał długo, jak człowiek, któremu niespodziewanie coś na drodze wyrośnie!

Myśli jego biegły szybko jedna po drugiej...

Nie szukały one tego kogós, o którym napomknął mu major.

Nie trudno mu było odgadnąć. Major był dzisiaj u pana Nazaryusza. Zresztą sam instynkt powiadał mu, że nie mógł być kto inny jak tylko...

Myśl ta nie była mu nieprzyjemną...

Najskromniejszy, najrozumniejszy człowiek ma na tyle próżności, że podobna wiadomość jaką od majora Prosper otrzymał, może go trochę przyjemnie podrażnić...

Widać było po twarzy Prospera, że mu jest przyjemnie w tej chwili, tém przyjemniej, że niedawno przyciskały go tak czarne chmury, taka złowroga burza wrzała nad nim...

Uśmiechnął się kilka razy do siebie, odetchnął pełną pierśią i zaczął wolnym krokiem chodzić po pokoju.

Chodził długo, długo zamyślony, a gdy się wreszcie spać położył i sen powieki sklejać mu zaczął, wsunął się nieznacznie poza powieki ładny obrazek — Bonusi!

XXI.

N O W E M A R Z E N I A .

Nazajutrz obudził się Prosper głębokim snem pokrzepiony, ale gdy w koło siebie spojrział, spostrzegł że wyśniony tak pięknie obrazek nocny zbladł mu w dziennym oświetleniu.

Czémże był dla niego ten obrazek?

Powoli zaczął wszystkie jego szczegóły rozbiierać.

W szczegółach tych nie było nic, coby wyobraźnię choć trochę podrażniło!

Przypominał sobie, że za lat dziecięcych znał ją, że się z nią bawił razem, ale potem wyrósł ponad nią, oddalił się do szkół, zmężniał i rozszerzył swój horyzont, a ona została tém, czém była.

Jakże to wracać do tego, z kąd się wyszło?

Przed nim leżało tyle marzeń świetnych, tyle dróg otwierało się ciekawych... miały się pozbyć tego wszystkiego i całą sferę życia zwięzić... do wspomnień dziecińczych?...

Tu znowu mignęło mu coś przed oczyma...

Był to obraz dojrzałej prawie kobiety z wejrzeniem głębokim, który widział, gdy z majorem odwiedzał domek pana Nazaryusza...

To nie wspomnienie dziecinne... to nie sielankowy obrazek wycięty z pamięci zabawek w orzechy... to kobieta ze skargą na ustach, z pragnieniem w oczach, z uśmiechem obiecującym szczęście temu, który na to szczęście zasłużył sobie...

Znowu zmienił się obraz...

Eteryczna, niedojrzana dobrze postać zarysowała się ponad nim i zawoniała piżmem odurzającym zmysły...

Prosper wstrząsł się cały, a nocny obrazek zbladł znowu i prawie zupełnie zniknął!...

Przemiany takie myśli i marzeń były bolesne. Trzeba było odrywać duszę od jednego, gdzie już przyłgnęła i pozwolić jej przyrastać do drugiego, od którego znowu oderwać się miała!...

Prosper spostrzegł, że jest w chorobliwym stanie duszy. Potrzeba było czémś się pokrzepić.

Wynałazł sobie pracę koło gospodarstwa i nią się zajął jak mógł najgoręcej.

Niektóre budynki gospodarskie wymagały naprawy. Osobliwie szpichlerz potrzebował nowej podłogi.

Prosper zwołał majstrów i rozpoczął znowu budowę. Mierzył deski i belki, rysował ołówkiem różne znaki budownicze, objaśniał robotników, sam dopomagał, zapomniawszy o tém, że ludzie mogą ujrzyć go i osobistą robotę znowu mu wyrzucać...

Trwało to przez cały dzień.

Major patrzył na to z boku i, nic nie mówiąc.

Zrozumiał dobrze, co ta gorączka budowania oznacza i cieszył się, że rzucone zręcznie, jak mniemał, przez niego ziarno nie zginie marnie.

I byłby niezawodnie cieszył się ze swego posiewu, gdyby wieczorem Prosper byłby mu się wypowiedział.

Wieczór bowiem był dla Prospera znowu tak samo fatalny jak wczorajszy.

Odpychany przez cały dzień nieustanną pracą obrazek wczorajszy znowu stanął mu przed oczyma!

I stał tak uporczywie, że Prosper miał już zamiar pójść jutro do pana Nazaryusza z majorem... choć tak trochę na gawędkę!

Chciał przynajmniej z ciekawości spojrzeć na te oczy jasno-błękitne, które tak pięknie w tym obrazku wyglądały!...

Tymczasem zaszła noc, nadeszło rano, a przy dziennej pracy znowu zapomniało się o obrazku wczorajszym!

I powtarzało się to przez kilka dni.

Nie było w tém nic dziwnego.

Serce Prospera było rozdrażnione katastrofą niedzielną. Jeszcze drgały w niem przecięte włókna, jeszcze przecięte końce nie mogły znaleźć się aby napowrót połączyć się i zagoić...

W takim stanie szukało to cierpiące serce jakiegoś nowego pokarmu, nowego rozdrażnienia, które dawne rany goi i zdrowie przywraca...

Ztąd wychodziły te dziwne pragnienia Prospera i wydobywały na wierzch wspomnienia, któreby w inném usposobieniu duszy bynajmniej tego uroku nie miały!...

Po kilku dniach takiej walki wewnętrznej, która ani dawniej rany zagoić, ani nowych marzeń do potęgi uczuć podnieść nie mogła, postanowił Prosper przy najbliższej sposobności odwiedzić pana Nazaryusza i tam przez kilka chwil patrzeć na osobę, o której major tyle ciekawych rzeczy mu powiedział!...

Do tego postanowienia jednak nie przywiązywał Prosper wielkiej wagi. Była to poprostu ciekawość, rozbudzona opowiadaniem majora, może było trochę w tém próżności, a może coś jeszcze innego, czego Prosper nazwać nie umiał!

Mniejsza o to jakie pobudki tam go zaprowadzić miały, ale Prosper miał tam być, z nią rozmawiać, cieszyć się, że nie jest bez sympatyj na szerokim świecie, chociaż ta sympatya nie mu dać nie mogła...

Tak myślał sobie Prosper wybierając się do pana Nazaryusza, nie wiedząc wcale, co go czekało, gdyby rzeczywiście był tam poszedł!...

Trudno odgadnąć, czy dobry czy zły duch stanął mu teraz w drodze...

XXII.

DAWNA POKUSA.

Pomiędzy Majdanem a pałacem pani Patrycyi ciągnął się lasek już dobrze przetrzebiony.

Lasek ten należał do św. p. Benedykta i miał niegdyś bardzo piękne, wysoko pienne drzewa.

Z biegiem czasu, gdy pani Patrycyi na wycieczki do różnych wód zagranicznych potrzeba było pieniędzy, drzewa te padały pod siekierą żydowskich rębaczy i na św. Jan płynęły rzeką do Gdańska.

Wycięcie jednak lasu, przez który szła droga powiatowa, było zawsze pewnym świadectwem ubóstwa, które panowało w pysznym pałacu.

Pani Patrycyja, aby to świadectwo zamaskować, wymyśliła plan zamienienia tego lasku w park pałacowy.

Wycięto więc stuletnie dęby, gdzieniegdzie tylko pozostawiano pojedyncze grupy młodych drzew i urozmaicono je dekoracyjnymi krzewami.

Temu pustkowiu chciano jeszcze nadać charakter oryginalny przez wystawienie sztucznej ruiny, koło której puszczone wodę.

Ruina przedstawiała jakąś zapadłą świątynię grecką z połamanymi kolumnami. Sklepienia na pół urwane sterczały malowniczo w powietrzu, a na nich unosiły się rozmaite krzewy roślin, częścią naumyślnie tam posadzonych, a częścią przez wiatry przypadkowo zanieśionych.

Z biegiem lat zrobiła się z tego w samej rzeczy bardzo piękna ruina. Bluszcz poplatał poszarpane mury, wilgoć i grzyby upstrzyły malowniczo ściany, a resztę dokazały burze i deszcze, które miejscami tynk poodrywały i całej budowie nadały prawdziwe piętno ruiny!

Dołem téj ruiny przechodziła rzeczka, którą tu naumyślnie podniesiono, aby wodospad utworzyć.

I tu czas i natura przyczyniły się więcej niżeli sztuka inżyniera do utworzenia bardzo pięknego widoku!

Z pomiędzy kamieni i brył muru zawałonego dobywały się wody strumienia z głuchym szmerem, aby o kilka kroków opodal rozprysnąć się w miliony białych pereł i spaść znowu do łożyska mikroskopijnymi kroplami deszczu!

Milcząca, snem wiecznym ujęta ruina i ten bełkotliwy ustawicznie wodospad tworzyły cudowne dwa kontrasta i kołysały duszę bardzo przyjemném marzeniem!...

Było to ulubione miejsce Alodyi.

Ponieważ ten tak zwany park był zaledwie o kilkaset kroków od pałacu oddalony i bezpośrednio łączył się z jego ogrodem, wyjeżdżała do niego Alodya zazwyczaj bez służącego, nie zapuszczając się jednak dalej jak do ruiny.

Tu miała zwyczaj puszczać swoją sultankę a sama siadała nad wodospadem i długie chwile przepędzała w rozmyślaniu.

„Sultanka“ była tak łaskawa, że stała spokojnie koło niej bawiąc się trawkami dzikimi, których na seryo nigdy nie jadła!

Alodya lubiła bardzo to zacisze, któremu jednostajne bełkotanie wody nadawało jakiś urok niezwykły. Przyczyniała się do tego i ruina, malowniczo w bluszcz i inne dzikie zielsko ubrana, z połamanymi kolumnami i zawalonym sklepieniem!

Tutaj dusza marząca miała bardzo sposobne miejsce do marzeń i rojeń...

Pomykające fale wody, oniemiała ruina, szum wiatru w wierzchołkach drzew i ten daleki, siny krajobraz z krzyżami cerkiew na jasnym niebie—wszystko to usposabiało duszę do marzeń oderwanych od codziennego życia, od rzeczywistości!...

Alodya siadywała zazwyczaj na omszałym kamieniu, który stoczył się od muru ruiny i zatrzymał się nad samym brzegiem wodospadu.

Pod jej stopami rozpryskiwały się fale w górę przezroczyście i osłaniały ją jakimś dziwnym, mglistym przezroczem!

Patrzącemu zdawała wydawała się siedząca na kamieniu Alodya jakąś fantastyczną rusalką, ubraną w mgły i powoje, które malowniczymi festonami spuszczały się do niej z rozpadlin ruiny.

W tak fantastyczném otoczeniu lubiła Alodya puszczać wodze swojej młodej fantazyi i marzyć o rzeczach rokosznych, cudownych!...

Marzenia te jednak odnosiły się zawsze do jęj własnej osoby, do jęj przyszłości.

Wyobrażała sobie tę przyszłość stosownie do wychowania, jakie jęj dano. Stawiane przed nią przez matkę obrazy, powtarzały się tutaj, łączyły się razem, i tworzyły powoli ulubione jęj ideały!

Do tych ideałów łączył się zawsze pewien tryumf, jaki odnieść miała kiedyś nad całą parafią!

Tryumfowała nad sąsiedztwami, rozkoszowała w tym tryumfie, i żywiła duszę tym tryumfem!

Ołśnić i zachwycić całą parafię, wzbudzić w niej zazdrość swoim szczęściem, był to temat wszystkich jęj marzeń, jakie w niej podsycala matka.

Synonimem tego szczęścia był oczywiście jakiś wielki pan, książę lub markiz z milionowym majątkiem, otoczony liczną służbą, poprzedzony aureolą udzielnego księcia, o którym miały się po parafii rozejść wieści bajeczne...

Zeszła niedziela dostarczyła takim marzeniom stosownego manekina. Ubrała go w szatę książęcą, otoczyła go orszakim dworzan, a sama przy nim stanęła w białej sukni z welonem u czoła...

Wielki nieznajomy zniknął jednak bez wieści, to też i w marzeniach Alodyi zacierał się także powoli, pozostawiwszy po sobie tylko niewyraźne wspomnienie.

Mimo tych sztucznych marzeń, któremi ją nakarmiono, miała Alodya chwile, w których chętnie mogłaby się pogodzić z tém co ją otaczało.

W tych chwilach była ona jakby inną jakąś istotą, jak i siebie prawie nigdy nie znała!

Były to chwile porywającej rozkoszy, ale trwały za-
wyczaj tak krótko, jak sen nocy letniej! Po tych chwila-
ch przychodziła wnet do siebie, i dziwiła się z kąd one
się brały! W ostatnich jednak tygodniach były te chwile
coraz częściejsze, a osobliwie nachodziły ją przy tój mil-
czącej ruinie i tój wiecznie ruchliwej bełkotce!...

Prosper postanowił był właśnie dziś pójść do pana
Nazaryusza na gawędkę, z czego major widocznie się cieszył.

Roboty nie było przy szpichlerzu, bo robotnicy prze-
ważnie wyznania grecko-katolickiego, świętowali dzisiaj.

Prosper chciał przed południem użyć przechadzki.

Przyszedł mu na myśl park pani Patrycyi, który za-
ledwie o tysiąc kroków był oddalony od Majdanu.

Dzień wiosny był ciepły i pogodny. Łagodny wie-
tryk sunął od zachodu i kołysał na łąkach żółty jaskier,
który na zieloném tle bardzo dobrze odbijał. Tysiące mu-
szek roilo się w powietrzu, świegotliwe ptaki skakały po
gałązkach i rozmawiały z sobą coś o wiosnie, o żółtych
kwiatach na łące, o ciepłym wietrzyku z zachodu ..

Prosper szedł połową ścieżką ku grupom drzew tak
zwanego parku. Różne marzenia przebiegały mu przez
duszę, gdzie jednak zawsze napotykały na cierni, który od
niedzieli tam się ulokował, i boleśnie o niego zawadzały.

Pogrążony w tych marzeniach zbliżył się do parku
i pierwszą lepszą ścieżką posuwał się dalej.

Nagle usłyszał rzenie konia.

Spojrzał na drogę — na drodze nikogo nie było.

Rzenie powtórzyło się raz, drugi i trzeci.

Prosper poszedł w kierunku za tém rzeniem.

Okrażając grupę drzew spostrzegł nagle siedzącą nad wodospadem Alodyę, która rozmawiała z włościanką paszącą kozy.

Zatrzymał się chwilę jakby nie wiedział co ma dalej począć.

Alodya zmieszała się na widok Prospera.

Po chwili jednak uśmiechnęła się i dała mu znak głową, aby się do niej przybliżył. Pasterka usiadła opodal.

Z dziwném uczuciem postąpił Prosper naprzód.

— Gdyby nie moja sułtanka, nie byłbyś mnie pan ujrzał! rzekła do niego z uśmiechem podając mu rękę.

— Nie wiem, czy sułtanka dobrze, czy źle zrobiła! odparł z cierpkim uśmiechem Prosper.

— Mówią, że zwierzęta mają lepsze instynkta od ludzi!

— Ale od ludzi zależy stwierdzić to!

— Dobrze, będziemy o tém mówili — tylko usiądź pan ot na tém drzewie, bo nie lubię do nikogo głowy podnosić.

Prosper usiadł i spojrzał na byłą królowę marzeń swoich, która na tle dzikiej natury była sto razy piękniejszą niżeli w pokojach pałacu.

Serce jego ścisnęło się bolesnym kurczem.

— Czy pani wystarcza ta dzika samotność? zapytał po chwili milczenia.

— Do samotności nie idziemy przecież sami — odpowiedziała Alodya z melancholijnym uśmiechem, bierzemy z sobą zazwyczaj cały orszak najpiękniejszych marzeń!..

Czy pan ich nie widzisz koło mnie? Nie myśl pan żebyś mnie pan samą zastał! dodała pochylając głowę.

— Zazdroszczę pani, odparł Prosper siadając na pniaku — i wszystkim tym zazdroszczę, którzy marzyć mogą!

— Czy pan nie marzysz?

— Są ludzie, którzy nawet tyle marzeń mieć nie mogą, ile dla samotności koniecznie potrzeba!

— Cóż panu odebrało marzenia?

— Marzenia nasze giną w różny sposób. Czasem odbierają nam źli ludzie...

— Ach to niegodziwcy! Bóg skarże ich!

— Czasami zaświeci nad nami już taka gwiazda nieszczęścia, która nam wszystkiego odmawia!

— To smutne, bardzo smutne!

— Czasem zbieg okoliczności, nad którymi zapanać nie można!

— To prawda! Tworzą one nieraz — tragedya!

— Czasami odbierają nam marzenia drobne na pozor rzeczy, które nie wyglądają dla zwykłych oczu na tragedye!

— Naprzykład!

— Naprzykład... Łodyga róży ogołocona z pączka!

Alodya rozśmiała się smutno i szafirowe oczy swoje zwróciła na mówiącego.

Patrzała tak chwil kilka. Potém sięgnęła po mały, błękitny kwiatek, który wychylał się do słońca z rozpędliny muru, urwała go i Prosperowi podała.

— Łodyga róży bez pączka, rzekła do niego z czarującym uśmiechem — była niegodziwa, jeśli panu ode-

brała marzenia, bez których żyć tak trudno. Ten mały kwiateczek może nawiąże znowu to, co tamta tak nielitościwie przecięła!

Prosper pochwycił mały kwiatek, ale zatrzymał i rękę, która ten kwiatek podawała.

Drobna rączka Alodyi zdrząła lekko, twarz jój zarumieniła się.

— Ależ ja tylko kwiatek panu daję! rzekła z uśmiechem, ale ręki nie cofnęła.

Prosper doznał dziwnego uczucia. Prąd gorący przebiegł mu przez żyły, jakby krew jego nagle zawrzała. Usta jego zaruszały się, ale nic w téj chwili nie mógł powiedzieć.

Alodya patrzała na niego dużém, szeroko otwartém okiem. Twarz jój spoważniała, na czole zarysowały się jakieś piękne marzenia.

Wnet jednak wrócił dawny jój uśmiech, cofnęła rękę i rzekła:

— Pan masz szczególny dar—zmieniać ludzi! Przez kilka chwil przecię nie byłam — sobą. Niech pan tego daru nie nadużywa!

— O gdybym miał rzeczywiście ten dar, odparł namiętnie Prosper, gdybym mógł tych chwil kilka, w których pani, jak mówisz, nie byłaś sobą, przeciągnąć jak najdłużej i zrobić z nich — całe życie! ..

— Żądasz pan rzeczy niemożliwych! z uśmiechem odpowiedziała Alodya.

— Niemożliwych?...

— A nawet mi ubliżających! Czyż taką, jaką jestem, nie mogę się nikomu podobać?

Prosper spuścił głowę.

— Pani bawisz się — w słowa! rzekł po chwili milczenia.

— Wierzaj mi pan, nie jest to zabawka przyjemna odpowiedziała z lekkim westchnieniem Alodya.

— Nie dopowiedziałas pani całej myśli!

— Słów używamy czasem za szaty, któremi osłaniaemy się przed okiem, jeżeli nie chcemy, aby to oko nas dobrze widziało!

Prosper spojrział z uwagą na Alodyę.

Alodya uszczknęła kilka trawek, które z pod kamienia pięły się ku niej do góry i zaczęła się nimi bawić. Wiązała ich koniec razem i rozwiązywała, jakto się robi, jeśli się od nich żąda jakiego wyroku...

Alodya miała przytém twarz poważną i zamyśloną. W szafirowych oczach migotał jakiś ognik jasny i mieniący się.

Twarcz Prospera zaczęła się coraz więcej rumienić. Oddychał pełną piersią a jeszcze brakowało mu tchu...

Alodya spostrzegła coś w tój twarzy i szybko podniosła się z kamienia.

Uśmiechnęła się do niego swym dawnym, melancholijnym uśmiechem, podała mu rękę i rzekła:

— Zadługo używałam samotności dzisiaj — trzeba wrócić do życia codziennego! Żegnam pana!

— Okropne jest to „życie codzienne!“ — odparł Prosper z gorzkim uśmiechem.

— Tém słodsze wspomnienia zostawiają nam — zielone oazy życia! Do zobaczenia wkrótce!

— Wkrótce? podjął Prosper z pytającym wejrzaniem.

— Mam takie przecucie... a nawet pewną jestem!

Rzekłszy to zbliżyła się do sułtanki, która z rozumną fizyonomią przysłuchiwała się téj rozmowie, i wzięła do rąk cugle.

Prosper postąpił ku niéj i podał jéj rękę.

Prunelowy bucik Alodyi oparł się lekko o tę rękę i w mgnieniu oka była już na siodle.

— Do zobaczenia wkrótce! zawołała jeszcze raz Alodya, jeszcze raz uśmiechnęła się smutnym swoim uśmiechem i — znikła!

Prosper stał długo i patrzył w kierunku, gdzie Alodya jak widmo za krzewami znikła, nie mogąc dobrze zrozumieć słów, które przy pożegnaniu wyrzekła!...

Słowa te jednak sprawiły, że do pana Nazaryusza dzisiaj nie poszedł.

XIII.

Z A P R O S I N Y.

Nazajutrz siedział major w swojej izdebce przy stole i porządkował uzbierane wczoraj chrząszczyki.

Do takich zbiorów miał on szczególną passję, a że był przytém człowiekiem tklwym na cierpienia różnych żyjatek choóby najniższego gatunku, wynajdywał więc najrozmaitsze sposoby, aby ich jak najprędzej i najłagodniej życia pozbawić i potém dopiéro na szpilkę wetknąć.

Używał do tego mocno woniejących spirytusów i olejków, a czasami nawet, gdy okaz był piękny i rzadki, chloroformu.

Przy tém, pełném chrześciańskiego miłosierdzia zatrudnieniu siedział właśnie, wśród rozmaitych flaszek i flaszeczek. Przed nim na stole leżało mnóstwo świecących chrząszczyków, a niektóre ruszały łebkami prosząc miłosiernego oprawcy o łaskę!

Major bolał przy każdym ciosie, jak zadawał skazanym na pal ofiarom, ale po dokonanym wyroku radował się widocznie, że zbiór jego powiększył się o jeden okaz więcej.

Prosper siedział po drugiej stronie i patrzył zamyślony na rzeź majora.

Major chciał sobie rozerwać niemiłe myśli, które go przy mordowaniu owadów nachodziły i rozpoczął z Prospere rozmowę naukową o owadach i ich przeróżnych gatunkach.

Z powodu tego wywiązała się między dziaduniem a wnukiem niemala sprzeczka.

Major był człowiekiem dawniej daty, który wierzył w Lineusza jak w sąd ostateczny.

Dowodził, czy raczej z góry wyrokował, że w naturze jest pewna liczba roślin i zwierząt, która ma stałe swoje kształty i w tych samych kształtach ustawicznie się rozmnaża.

Przeciw temu powstawał Prosper, który idąc za najnowsza nauką, twierdził, że w naturze stałych kształtów właściwie niema, że tak zwierzęta jak i rośliny stosują się tylko do warunków swego otoczenia.

Najbardziej gniewało majora, gdy Prosper powiedział, że natura tworzy ciągle nowe kształty a w dawnych zmienia to, co w zmienionych warunkach stało się niepotrzebne.

Tutaj przypomniał się majorowi Darwin którego był zaciętym nieprzyjacielem i niewiele brakowało, że wszystkich chrząszczy na raz nie pozabijał—gdy Prosper udo-bruchał go trochę zakłębieniem się uroczystem, że teorye Darwinowskie bierze tylko ze stanowiska nauki, ale w nie jak w drugą ewangelię nie wierzy!

Spór ten zakończył nagle służący w liberyi pani Patrycyi, który z listem w ręku stanął przed majorem i skazanemi na śmierć chrząszczami.

Major wziął list do ręki, poprawił okulary i zaczął czytać.

Prosper z zapartym oddechem patrzył na majora i śledził każde drgnienie na jego twarzy.

Co miał oznaczać ten list? Nie mógł odgadnąć.

Mógł on być kontynuacją rozmowy prowadzonej w niedzielę w pałacu i w sposób jasny powtórzyć to, co wtedy tylko przez gazetę mu okazano...

Prosper zbladł na tę myśl... mianowicie gdy wczorajsze spotkanie z Alodyą sobie przypomniał..

Zbladł niemniej i na to wspomnienie. Być mogło, że pani Patrycyja dowiedziała się o wczorajszym *rendez-vous*, przy ruinie i w tym względzie gorzkie wyrzuty czyni jemu...

Prosper uczył gwałtowne bicie serca i zdawało mu się, że wchodzi w nową fazę swego wymarzonego roman-su z Alodyą, używaną tak często na deskach teatralnych!..

Alodya może być za nim... matka przeciw niemu...

Wszystko to jak iskra elektryczna przebiegło wszystkie jego nerwy mózgowe...

Patrzył z jak największą uwagą na twarz majora, czy jakiej zmiany nie ujrzy...

Na jego nieszczęście przypomniał sobie major, że we wszystkiém, a mianowicie w delikatnych sprawach sercowych potrzeba być dyplomata!

Schował więc brodę do chustki i nadał swój twarzy wyraz, jaki zazwyczaj mają biusty spiżowe.

Prosper niecierpliwie kręcił się na krześle. W braku innego zatrudnienia, wziął kilka chrząszczy które na wznak leżały na stole, postawił je na łapki, i tym sposobem pomógł im do ucieczki.

Biedne skazańcy szybko rozwinęły skrzydła i fruwały z radością przez okno.

— Co robisz! krzyknął major słysząc brzęk chrząszcza.

Tymczasem drugi i trzeci zabrał się do podróży...

Major rzucił list na stół, a sam pobiegł za zbiegami, zamykając prędko okno.

Tymczasem Prosper chwycił za list i przeczytał — że pani Patrycja bardzo grzecznie zaprasza ich jutro na obiad do siebie!

Słowa te takie wrażenia radosne sprawiły na Prosperze, że schwyciwszy całą garść chrząszczy z marmurowej miseczki i szybko przez okno wyrzucił, udając że okno zamyka.

— Tam do kata! krzyczał major — najpiękniejsze okazy poszły z wiatrem!... Przeklęty list!... Prosperze przeczytaj tam list i odpisz w moim imieniu kilka słów... a ja tymczasem złapię tu jednego hultaja!... Tuś mi?... Uciekł hultaj!

Podczas gdy major po całej izdebce za zbiegami uganiał, odczytał Prosper list po raz drugi i trzeci i zabierał się właśnie do piątego czytania, gdy major z próżnymi rękami do stołu powrócił.

— Ach mój Boże! zawołał łamiąc ręce, a cóż się tu stało! Trzy dni pracy i trudu! Którędy one uciekły?..

Prosper starał się pocieszyć majora, obiecując mu, że kilka dni sam poświęci łapaniu chrząszczy, byle tylko nie żałował tego, co się już wrócić nie może!

— Ba, tobie tak mówić nie trudno! odpowiedział zmartwiony major, młodemu, gdyby nawet i panna jaka z przed nosa uciekła, to znajdzie prędko drugą, a mnie trudniej jest — o drugiego chrząszcza!

Prosper cieszył się, że major zaczynał być w lepszym humorze, bo mu tego humoru bardzo potrzeba było.

— Cóż dziadunio każe odpisać? zapytał po chwili.

— Co odpisać?... A juści, że przyjedziemy! odpowiedział major i okiem dyplomatycznym spojrzął za Prosperem, który w tej chwili próbował także być dyplomata!

Major uspokoił się już trochę po utracie chrząszczy i pomyślał o liście pani Patrycyi.

Schował brodę do chustki i rzekł w duchu do siebie:

— Chcą mu osłodzić pigułkę... mama ma takt nie-mały!... I owszem, nadarzy się sposobność, że jeszcze do-bitniej powiedzą mu to, co mu zeszlęj niedzieli powie-dziano!...

A w tym samym czasie myślał sobie Prosper:

— Alodya dotrzymuje słowa! Nie wiadomo powie-działa: Do widzenia prędko!... Miałażby ona rzeczywiście mnie kochać?... Jakaż bowiem może być inna przyczyna jutrzejszego zaproszenia?... Być może, że na matkę jakim sposobem wpłynęła... być może, że wtedy tak jej odpo-wiedzieć kazano... a może tylko próbuje siły moich

uczuc?... trzeba iść dalej, ale ostrożnie, bardzo ostrożnie... Kobiętę można przekonać siłą i wytrwałością uczucia!...

— Czegóż nie odpisujesz? zapytał major niecierpliwie, czy się wahasz tam iść?... Właśnie dla tego powinieś tam pójść i okazać, że niedzielnych przymówek nie rozumiałeś, bo o czémś podobném nigdy nie myślałeś! Będzie to dobrze dla ciebie w obec nich i w obec głupich plotek parafialnych, które prawią o formalnym odkoszu!..

Prosper szybko pobiegł do biurka, napisał kilka słów, zawinął w kopertę i oddał służącemu.

— Wolałbym chrząszcze moje niżeli ten obiad! zawołał major patrząc smutno na pobożowisko!

XXIV.

KŁOPOTY PARAFIALNE.

Następująca niedziela parafii była niemniej ożywioną, od zeszłej.

Byli nawet tacy, którzy jęj pod pewnym względem dawali pierwszeństwo.

Tamta bowiem niedziela przyniosła tylko nowe fakta i nic więcej. Ta zaś rozebrała krytycznie te fakta i okazało się, że cała parafia podzieliła się teraz na dwa obozy.

O wielkim nieznanym już téj niedzieli nie wiele mówiono, bo nie miano do tego żadnych materyałów.

Na pierwszy plan wystąpił teraz Prosper i Alodya.

Zeszłej niedzieli już nad wieczorem wiadano, że Prosper oświadczył się Alodyi i od nięj dostał odkosza.

Wiedziano o tém z wszelkiemi szczegółami, a byli nawet tacy, którzy przysięgali się na honor i duszę, że albo sami byli temu faktowi obecni, albo słyszeli o nim z własnych ust Alodyi lub pani Patrycyi.

Pan Ansgary w swoich *anonimach* posunął się tak daleko, że zacytował cały dyalog, jaki miał być między Prosperem a panną Alodyą!

Wszystko więc już było po sto razy obgadane, na wszystkie strony wycisowane, poprawkami opatrzone, wielką pieczęcią pierwszych powag parafialnych przypieczętowane i już miano je jak czyn dokonany z uroczystością w archiwum parafialném złożyć — gdy nagle rozbiegła się wieść po całej parafii, że to wszystko nie prawda!

Gdyby piorun z jasnego nieba nagle w figurę uderzył, nie byłby sprawił większego zamieszania w parafii!

— Jakto? Więc to nie prawda, panie Michale? wołała sopranowym głosikiem pani Szymonowa.

— Więc to wszystko kłamstwo, kłamstwo bezczelne panie Ansgary, syczała pani Szymonowa do nieszczęśliwego literata parafialnego!

— Któż mógł tak obrzydliwie sobie z nas zażartować, mówiły chórem do pana Ansgarego cztery córki pani Szymonowej, które u pani Piotrowej utrzymywały, że sama Alodya im to wyznała!

Pan Ansgary wił się jak piskorz!

— To przecież jeszcze rzecz niepewna! jęczał nieszczęśliwy.

— Jakto niepewna? replikowała pani Szymonowa, przecież wczoraj byli obaj z majorem tam na obiedzie, nasz ekonom widział ich jak tam jechali w paradnych chomontach, jak Prosper miał twarz rozpromienioną!... Po obiedzie jechali Prosper i Alodya konno od pałacu aż do miasta, i tam gdy dworscy ludzie na nieszpory się zgromadzili, objechali cały rynek trzy razy do koła!... Cóż pan na to? I pan masz jeszcze odwagę twierdzić, że to wszystko nic nie znaczy? Nie, trzeba być bezczelnym

kłamcą, prawdziwym łotrem, aby sobie w ten sposób z całej parafii zażartować!... Nikczemny, podły kłamca!

Pan Ansgary skurczył się. Wyrzekłby się w tej chwili wszystkich anonimów, gdyby parafianie na to zezwolili! Cała parafia bowiem wiedziała, że to on pisze te anonimy! Pan Ansgary nawet ich bardzo się nie wypięrał, osobiwie gdy je chwalono. Uważał on to za skromność, w ten sposób podawać literackie utwory swoje do wiadomości parafian, czyli, jak zwykle piszą, publiczności.

To co teraz trafiło pana Ansgarego, trafiło dziesięciu innych!

Najgorzej na tém wyszły kobiéce powagi parafialne. Budując na prawosć donosicieli, powtarzały to, co słyszały, a że przez częste powtarzanie zawsze się coś mimo wiedzy doda, więc dodatki te rosły do tego stopnia, że potrzeba je było nawet zaklęciem na honor i duszą utwierdzić!

• Teraz ten fakt wielki w parafii, fakt, którym bawiono się cały tydzień, okazał się prostą plotką!

Parafia kocha się w ostatecznościach.

Ktoś może być człowiekiem zacnym i uczciwym, albo łotrem i zbrodniarzem. Pośrednich przejść tam nie ma. Jest to istny wyrok sędziów przysięgłych, który wprost wyrokuje: *Winien*, albo *nie winien!*

Tak téż się teraz stało z oświadczeniem Prospera.

Jak piérwój każdy przysięgał, że z najpiérwszego źródła o tém się dowiedział, tak teraz chórem powiedziano, że to było kłamstwem i plotką!

Rzeczywiście bowiem widziano Prospera jadącego z majorem na obiad do pałacu. Prosper był w bardzo

dobrym humorze. Spotkał ich pan Piotr, i długo z nimi rozmawiał. O cel tego obiadu pytać nie wypadało!

Później wiedziano od panny służącej, że obiad był nawet wystawny i bardzo wesoło przy nim się bawiono. Major wznosił nawet toasty wierszem, a gdy brakło końcówki, to Prosper podpowiadał.

Również twierdziła panna służąca, że Alodya była w złotym humorze, że śpiewała i grała, a nawet według swego zwyczaju solo po salonie tańczyła!

Po obiedzie rzeczywiście wyjechano konno na spacer. Pani Patrycja miała czarną amazonkę i niski męzki kapelusik z białym piórem, Alodya ubraną była w czarną amazonkę i miała zwykły cylinder na głowie, a stary major, który zazwyczaj konno już nie jeździł, siedział na jakimś odwiecznym Angliku z podcięтым ogonem, który tak stąpał ostrożnie, jakby niósł na sobie otwartą beczkę pierza!

Dalżej widział leśniczy pani Szymonowej, że cała kalwakada najprzód ruszyła do ruiny, że tam Prosper jakieś kwiatki zbierał i Alodyi podawał, że pani Patrycja bardzo się wiele śmiała, a stary major nawet kilka razy *hop!* na całe gardło zawołał, aby echa spróbować!...

Potem widział pachciarz powracający od pana Nazaryusza, że całe towarzystwo ruszyło do miasta, a tam widzieli je na rynku wszyscy ludzie dworscy, którzy właśnie z nieszporów wychodzili!...

Przeciw takim dowodom nie można było nic postawić, i wszystkich parafialnych nowiniarzy potępiano w czambuł!

Pani Patrycja osiągnęła więc tego, czego pragnęła.
Plan jój z proszonym obiadkiem udał się wybornie.
W całej parafii powiedziano, że wiadomość o oświadczeniu się Prospera była fałszywą!

XXV.

MAŁY NIEZNAJOMY.

Téjże saméj niedzieli, w którój tak świetnie zadano fałsz wszystkim nowiniarzom parafialnym, nie spostrzeżono wcale małego człowieka, który niepokaźną bryczką przyjechał do miasteczka.

Mały ten człowiek miał nos okazały, kędzierzawe czarne włosy i usta murzyńskie. Zresztą był bardzo przyzwoicie ubrany. Miał na sobie czarny surdut, starannie na piersiach zapięty, czarną, atlasową chustkę pod szyją i białe stojące kołnierzyki. Głowę jego nakrywał lśniący, jedwabny kapelusz, a w ręku trzymał więcej dla parady niżeli dla użytku, hiszpańską trzcinę z rączką ze słoniowej kości, nader misternie rzeźbioną. Twarz jego oznaczała bystrość umysłu, oko było przenikliwe.

Zajechał do niepokaźnego zajazdu miasteczka, kazał koniom dać dwa garnce owsa, a sam wyszedł na miasto, jak twierdził, aby się przejść trochę.

Żyd-faktor, który go piérwszy obaczył, wziął go za kupca zbożowego i ofiarował mu pszenicę groch i kukurydzę po różnych cenach i na różne terminy.

Mały nieznajomy powiedział mu, że zboża nie kupuje, ale tak od niechcienia zapytał żydka o powodach tak wielkich różnic cen, które mu podawał.

Usłużny żydek wytłómaczył mu, że ceny zbożowe różnią się stosownie do producentów. Nie każdy bowiem producent parafii sprzedaje to co ma, a wielu jest takich, którzy sprzedają to, czego nie mają! Dla tego jest w kupnie wielkie *risico*, a za to trzeba się odbijać na cenie. Jeżeli naprzykład pan Piotr sprzeda pszenicę po dziesięć złotych reńskich, to panu Szymonowi można dać tylko po siedm, bo przy odbiorze okaże się zawsze brak kilkunastu korcy, które już naprzód są zapłacone, a które zawsze producent przekazuje na rok przyszły!

Mały człowiek ruszał na to głową i ubolewał, że w takiej parafii żaden dom komisowy, żaden bank zaliczkowy interesów zrobić nie może, bo nie ma moralności kupieckiej! Parafia taka musi zubożyć, bo lichwa ją zgubi!

Tak i tym podobnie rozmawiał mały nieznajomy z faktorem czas niejaki, potem pożegnał i poszedł, jak twierdził trochę miasto obejrzyć.

Faktor usiadł na ławce pod zajazdem czekając na lepszą zdobycz, a nieznajomy przeszedł wzdłuż rynek i udał się w boczną uliczkę.

Uliczka ta prowadziła do drogi prowadzącej do pałacu pani Patrycyi.

Jakoż wkrótce widziano na tej drodze nieznajomego, który szedł szparko, trzymając się zacienia lip rozłożystych, któremi była droga aż do pałacu wysadzana.

Właśnie już zmierzchać zaczynało, gdy nieznajomy stanął przed pałacem.

W pałacu było cicho i głucho. Goście obiadowi już się rozjechali. Służba zmęczona wystawnym obiadem, udała się na wypoczynek lub zabawiała się w pobliżkiej austeryi, zkąd właśnie dochodziły tony wesolej muzyki.

Nieznajomy wszedł powoli do bramy.

Z bramy udał się wprost na lewo, tak jakby wiedział, gdzie te drzwi prowadzą.

Zaprowadziły go one do garderoby.

Garderobiana, która właśnie, mając czas wolny, pisała list do swego narzeczonego, czeladnika kowalskiego z powiatowego miasta, któremu blizką wypłatę zasług swoich obiecywała, obaczyła nieznajomego i z wielką radością go przywitała.

Kto zaś był ten nieznajomy, o tém w całym pałacu nikt nie wiedział. Dla niektórych sług był on nawet mytem, bo tylko z opowiadania garderobiany znali go, i za każdym razem błogich skutków jego zjawienia się doświadczali.

Mały ten człowiek przechodził przez garderobę, najczęściej o zmierzchu, prawie co pół roku. Wchodził wprost do gabinetu pani Patrycyi, która wtedy drzwi na klucz zamykała i bardzo długo z nim po cichu rozmawiała.

Podczas téj rozmowy nie wolno było nikomu tam wejść, ani nawet pannie Alodyi, która najczęściej o tych tajemniczych wizytach nie wiedziała!

Skutki każdej takiej wizyty były bardzo dobre.

Pani Patrycyja była po niej w różowym humorze. Humor ten objawiał się na sługach w ten sposób, że wte-

dy najczęściej pobierały zaległą płacę a nawet czasem różne prezenty.

W parafii odbijały się te skutki inaczej. Zazwyczaj wyprawiała wtedy pani Patrycyja kilka większych wieczorków i sąsiadów na te wieczorki zapraszała. Wieczorki te były zbyt kosztowne, i kosztowały dosyć pieniędzy.

Panna Alodya korzystała także przy tém. Najczęściej otrzymała nową suknię jedwabną albo kapelusik, lub jaki inny artykuł modny.

Zauważano, że długi czas po téj wizycie były w pałacu bardzo dobre humory. Pani Patrycyja nie szędziła pieniędzy, i co trzecie słowo wspominała o księciu Romanie lub o hrabi Edmundzie!

Takie skutki miały odwiedziny nieznanego. Więcej o nim nic a nic nie wiadano. Widziano tylko, że z tą samą ostrożnością wychodził, z jaką przychodził, jakby nie chciał aby go kto spostrzegł.

W garderobie na ucho powiadano sobie o nim różne rzeczy. Panna służąca była tego mniemania, że to jest przebrany jakiś książę, dawny pani Patrycyi kochanek, który z nią nie mógł się żenić dla względów familijnych. Inni utrzymywali, że to brat rodzony, który skazany za pojedynek mieszka zagranicą i pod przybraném nazwiskiem co pół roku siostrę odwiedza.

Różne rzeczy opowiadano o nim, ale z pewnością nikt nic nie wiedział.

Otoż ten nieznanomy, wszedłszy dzisiaj przez garderobę, został natychmiast przez garderobianę zaprowadzony do pani Patrycyi.

Pani Patrycyja mieszła się jego widokiem, przywitała go uprzejmie i wskazała mu fotel, który stał tuż obok jój fotelu.

Nim w obszerniejszą rozmowę z nim się zapuściła, poszła do drugiego pokoju, aby się popatrzeć gdzie jest i co robi Alodya.

Alodya była w salonie i grała na fortepianie. Jakoś obiadek z majorem rozmarzył ją. Grała coś smutnego, melancholijnego.

Pani Patrycyja była o nią spokojna. Dla wszelkiej jednak przezorności zamknęła na klucz drzwi drugiego pokoju.

Wróciwszy do nieznajomego, usiadła przy nim koło biurka.

Nieznajomy miał jakąś kwaśną minę. Patrzył przed siebie i bębnił palcami po biurku.

— Jak widzę, interesa nie idą dobrze! ozwał się po chwili milczenia.

Pani Patrycyja lekko westchnęła, ale wnet ożywiła twarz i odparła:

— Nie tak źle, jak pan sądzisz! Trzeba wiedzieć, że takie rzeczy nie robią się w ten sposób, jak zwykle interesa!

— Proszę pani... ale przecież trwa już zadługo!

— Na czekaniu tutaj nic się nie traci! Przeciwnie z każdym miesiącem idzie kurs w górę!

— Ja słyzałem inaczej. Słyzałem, że pan major...

— Ach to plotki, wierutne plotki! Nic pan temu nie wierz! To prosta plotka parafialna.

— A przecież do mnie doszła, do miasta powiatowego i to na sam koniec przedmieścia!

— Plotki, wierutne plotki!

— Widzisz pani... Majdan, czyli kawałek Majdanu toby dla nas nic nie było!

— Nikt o tém nie myślał!

— Mówiłaś wielmożna pani, że pan hrabia***

— Przecieież okazywałam panu listy... ot tu gdzieś nawet świeże kłopoty... patrz pan! Prawda, że ten sam charakter... pieczętka...

Mały człowiek przyłożył swój nos do podanej koperty, jakby ją chciał wąchać.

— A tutaj, jeśli pan nie wierzysz... ot listy z ubiegłego tygodnia...

— Cóż książę Alfons, o którym pani mówiłaś...

— Dziesięć dni temu jak pisał... patrz pan, data pocztowa... a tu jego podpis...

Nieznajomy znowu powąchał podpis księcia.

— A co słyhać z baronem? zapytał po chwili mały człowieczek.

— Z baronem... z baronem w téj chwili zaprzestałam korespondencyi, bo widzisz pan, że coś lepszego nadeszło. Patrz pan, możemy wybierać!

Tu wysunęła pani Patrycja szufladkę i wysypała z niéj kilka tuzinów listów, których pieczęcie prawie wszystkie wyobrażały korony hrabiowskie lub mitry książęce.

Nieznajomy brał jeden po drugich i obwąchiwał je swoim dużym nosem.

Wszystkie listy były tak złożone, że podpisy były na wierzchu, z dodatkiem pozdrowienia i ukłonów dla

Alodyi. Niektóre listy miały nawet dla niej wieloznaczące komplementy.

Mały człowiek wszystko to wahał, niektóre prędkiej na bok odkładał, a niektóre po kilka razy brał do ręki.

Wreszcie odsunął wszystko na bok i rzekł:

— Wszystko to bardzo dobrze, ale tak dalej pozostać nie może. Ja nie mam czasu dłużej czekać.

Pani Patrycyja posmutniała.

— Przecież przy brzegu nie możemy utonąć! rzekła po chwili milczenia.

— Ja tego brzegu wcale nie widzę! odparł mały nieznajomy.

Pani Patrycyja westchnęła.

— Każda rzecz musi mieć przecież początek, przebieg i koniec, zauważyła.

— Otóż tego *końców* ja się bardzo boję!

— Jeżeli jest dobry początek, to można się dobrego końca spodziewać!

— Nie zawsze!

— Pan chcesz mnie dzisiaj i siebie samego martwić!

— Właśnie mnie o to chodzi, abym siebie nie martwił!

Nastąpiła długa pauza milczenia.

— Ja mam tutaj tylko jedną radę! ozwał się mały nieznajomy — pani trzeba wyjechać!

— Wyjechać?... O tém nieraz myślałam! żywo odpowiedziała pani Patrycyja.

— Tak jest wyjechać i to jak najprędzej. Najprzód obawiam się, aby ten pan Prosper nam co nie popsuł...

— Pan żartujesz!

— Ja wiem co mówię... a żarty takie nie byłyby w moim interesie!

— W tym względzie mogę pana zupełnie uspokoić!

— Dobrze niech i tak będzie! Ale widzisz pani, tu dłużej nie ma co siedzieć w parafii! Tu każdego znają jak zły szeląg chociaż ja z mojej strony jak tylko mogę dotrzymuję tajemnicy...

— Pan wiész, że umiem być za to wdzięczną...

— Interes obopólny jest najlepszym cementem ludzi!

— Rozumiem!

— Otóż w naszym interesie jest, aby zmienić sytuacją!

— Ale jak?

— Wyjechać w inne strony, gdzie się będzie nowością. Tu już zanadto wszyscy się znają. Tu wszyscy wiedzą wiele i jakie suknie ma panna Alodya, który koń kulawy a który ślepy, któremu lokajowi nie zapłaciło się całej zasługi i który rzeźnik na kredyt mięso dał na dzisiejszy obiad!... W takiej sytuacji nie robi się żadnych interesów!

Matka Alodyi westchnęła. Nieznajomy prawil dalej:

— Co innego wcale, gdy się pani pokaże w nowych zupełnie stronach! Można rolę bardzo dobrze odegrać! Wielmożna pani to bardzo dobrze potrafi! A lepszy jeden żywy hrabia lub baron od tuzina listów z książęcami mitrami!

Pani Patrycja zamyśliła się.

— Niech pani tylko dobrze nad tém pomyśli!

— Cóż z tego przyjdzie mi, jeśli pomyślę!

— A potem pomyślemy, jakby to zrobić!

Twarz pani Patrycyi ożywiła się.

— Sądzisz pan, że to dałoby się zrobić? zapytała z widoczną niecierpliwością!

— Zależy to głównie od wielmożnej pani!

— O poczciwy panie Grabman! I pan byłbyś gotów dopomódz mi do najgorętszych życzeń moich, w których jedyne moją nadzieję widzę!...

— Dla czegoż nie? Ja wszystko mogę zrobić co jest w moim własnym interesie!

— Pan jesteś dobrodziejem naszym!

— Ja nie potrzebuję być dobrodziejem, ja chcę tylko, aby wielmożna pani i ja zrobiliśmy dobry interes!

— Niezawodnie uda się! Przy moich stosunkach rozległych, jak pan widzisz, przy moich kolligacyach z świetnymi domami, zresztą przy mojej rutynie światowej nie ma dla nas niepodobnego! Ale do tego... do tego... trzeba wiele, wiele pieniędzy!

— Pieniądze mogą być!

— Byłbyś pan tak łaskaw?...

— Ja bez łaskawości mogę dać pieniądze!

— Drogi, kochany Grabman!

— Tylko widzisz pani, jabym w takim razie wymagał pewnej gwarancji!

— Każdej, jakiej tylko pan żadasz!

— Na takich gwarancyach, jak dotąd, poprzestać nie mogę! Cóż znaczą te kwitki, jeżeli dojdą do takiej sumy, która może majątek przewyższa? Ja dotąd siedziałem cicho, bo w moim interesie było, aby nikt o mnie nie wiedział! Ale teraz trzeba inaczej rzecz urządzić.

Pani Patrycyja westchnęła i zamyśliła się.

— Jakże pan myślisz to zrobić? zapytała po chwili drżącym głosem.

Mały człowieczek obejrzał się na drzwi, czy nikt nie podsluchuje potém przysunął fotel jak mógł najbliżej pani Patrycyi i kilka chwil szeptał jęj coś do ucha.

Przy końcu wzdrygnęła się pani Patrycyja.

— Ach! Cóż pan mówisz! ozwała się odpychając ręką małego człowieka od siebie.

— Ja powiedziałem ostatnie słowo, odparł zimno i obojętnie mały człowiek.

— Byłoby to zgubą naszą!

— Jeżeli pani jest pewną wygranęj, to wygramy wszyscy! A jeśli pani widzi zgubę, to ja przy tém nie potrzebuję ginąć!

Pani Patrycyja wstała i zaczęła szybko chodzić po pokoju. Wysokie zwierciadła łamały dziwnie jęj wyniosłą postać i robiły z nięj coś strasznego, coś nadnaturalnego!

Mały człowieczek tymczasem siedział spokojnie i bębnął palcami po biurku.

Po niejakiem czasie zatrzymała się przy nim pani Patrycyja i rzekła:

— A jakąż ja będę miała gwarancyę, że pan nie zechcesz korzystać ze swego położenia?

— To się wszystko wyraźnie napisze! krótko odpowiedział człowiek opatrnościowiy.

Pani Patrycyja znowu zaczęła chodzić po pokoju.

— Nie wiem dla czego się pani tak długo zamyśla? rzekł po chwili mały człowieczek — jeżeli pani tu jeszcze dwa lata zostawi, a ja założę się, że przez te dwa lata nic

na lepsze się nie zmieni — to i tak będzie po wszystkim!... A tak można przynajmniej mieć nadzieję, że się coś zrobi!

Pani Patrycja stała czas niejaki przed mówiącym. Potem odetchnęła głęboko i rzekła stłumionym głosem:

— Dobrze panie Grabman — możesz pan napisać!

Rzekłszy to rzuciła się na fotel a obfity zdrój łez puścił się z jej oczu.

Mały człowiek spojrzął z ukosa, skrzywił się i zaczął pisać.

Nastąpiła ponura cisza...

W tej ciszy z trzeciego salonu dały się słyszeć potężne akordy jakiegoś wspaniałego hymnu, który miał coś wschodniego w swoim układzie...

Alodya grała — modlitwę Mojżesza!

Wielki prawodawca błagał Boga o szczególne łaski dla ludu wybranego, który miał przyświecać wiarą i mądrością całemu ludzkiemu pokoleniu...

Wzniosłe tony modlitwy największego męża z Izraela mieszały się dziwnie z przeraźliwym skrzypem pióra po chropawym papierze.

— Czy już gotowe? zapytała po chwili pani Patrycja.

— Już gotowe... możesz pani odczytać!

Matka Alodyi wzięła papier do ręki.

— Czy to panna Alodya gra tak ładnie? zapytał mały.

— Tak jest! odpowiedziała smutno matka.

— Ja lubię także muzykę, a nawet grałem za młodszych lat bardzo wiele! rzekł po chwili Grabman.

— Nigdybym nie myślała? zauważyła czytając pismo pani Patrycja.

— Państwo macie zawsze uprzedzenie do nas, dla tego tak trudno nam zlać się w jednolite społeczeństwo!...

— Czy to mam podpisać?

— Do tego potrzeba dwóch świadków... Czy pani zna Talberga? Ja znam go osobiście, cóż to za miły człowiek w towarzystwie!...

— Zkądże wziąć tych świadków?...

— To się zrobi w mieście powiatowém, aby o tém nikt nie wiedział, bo to musi być tajemnicą!... Ja jednak zawsze nad Talberga przenoszę Mendelsohna... jak pani sądzi?...

— Jestem nadzwyczaj zmęczoną!...

— Więc pożegnam panią... jutro lub pojutrze do widzenia się w mieście!... Prześliczna muzyka ta modlitwa Mojżesza! Panna Alodya gra ją bardzo dobrze i z rozumieniem!

Tu powstał z fotelu mały człowieczek, wziął trzcinę i kapelusz a podawszy rękę pani Patrycyi, wyszedł poważnym krokiem z gabinetu, nucąc sobie półgłosem piękne wzniosłe motywa modlitwy!

XXVI.

N O W I N Y.

Wiadomość o odbytym wystawnym obiadku u pani Patrycyi zapukała także do dworku pana Nazaryusza.

Przyszła ona wraz z uroczystém zaprzeczeniem, że wieści zeszłej niedzieli były zupełnie fałszywe, i sprawiła na wszystkich mieszkańcach dworku dosyć dobre wrażenie.

Ciotunia zaraz z góry powiedziała, że nigdy tym wieściom nie wierzyła, bo staranie się pana Prospera o Alodyą byłoby wprost głupstwem z jego strony i zrobiłoby z niego w obec całej parafii człowieka bez piątej klepki w głowie.

Zdanie swoje motywowała ciotunia tém, że panna Alodya nigdyby za niego nie poszła, bo marzy o księciu, powtóre, że sama sobie zarzutek i mantylek nie robi a na gospodarstwie zna się tyle, ile o niém z romansów francuzkich nauczyć się można.

Daléj utrzymywała ciotunia, że panna Alodya jako blondynka prędko się postarzeje, że oczy szafirowe zazwy-

czaj bledną z latami i stają się bure, i że oprócz tego jest nadzwyczaj szczupłą. Wszystko to nie są dobre przymioty na dobrą żonę i że pan Prosper nie może być tak ślepy aby tego nie uwzględnił!

Nie było ani oświadczenia ani odkosza, bo w takim razie trudno jeść obiad i jechać konno przy pannie, która kawalera czarną polewką nakarmiła.

Takie było zdanie ciotuni.

Pan Nazaryusz nie przeczył temu, tylko się uśmiechał, widząc, że Bonusia przy wygłaszaniu tych zdań stała się coraz weselszą.

Twarz jój była dotąd wielkim smutkiem powleczonea. Teraz wypogodziła się znacznie.

Jakieś lepsze życie wstąpiło w biedną, rozbolełą dziewczynę. Oczy patrzyły jaśniej, usta zaczęły się znowu uśmiechać.

— Bo też rzeczywiście byłoby śmieszném, mówiła do ciotuni gdyby pan Prosper oświadczył się Alodyi! Onaby go nie mogła pojąć ani zrozumieć...

Tu zapłonęła Bonusia.

Ciotunia obaczyła ten rumieniec, ale udała że nie widzi. Szyjąc dalej ozwała się:

— A zkądże to wiesz, że onaby go nie zrozumiała?

Bonusia przytknęła gorące czoło do książki.

— Tak mi się zdaje, odpowiedziała cicho, bo pan Prosper zapatruje się na świat więcej poważnie... Alodya lubi się tylko bawić!

— Każda kobiéta lubi się bawić!

— Przecież są wyjątki!

— Ciekawa byłabym tych wyjątków!

— Czy ciocia nie wierzy?

— Pewnie, że nie wierzę!

— Naprzykład... ja sama.

Ciotunia spojrzała z pod oka na kilkonastoletnią Bonusię, która powiada, że bawić się nie lubi, a tymczasem gorące czoło za książkę chowa...

Ciotunia rozśmiała się. Bonusia spojrzała na nią i jeszcze mocniej zarumieniła się.

W tej chwili zaturkotał wózek przed gankiem. Ciotunia powstała prędko i pobiegła do okna.

Był to ekwipaż pana Ansgarego składający się z jednego ślepego, z drugiego kulawego konia.

Pan Ansgary wpadł zadyszany do pokoju.

— Czy wiecie państwo nowinę? zawołał na raz w progu.

— Nowinę? powtórzyła ciotunia z nieufnością — czy taka nowina jak oświadczenie się pana Prospera?

— Tamto było plotką, istną plotką! odpowiedział z godnością pan Ansgary — jakiś kłamca czy potwarca wymyślił sobie bajeczkę ... ale to o czém teraz wiem, to już prawda rzeczywista, tak jakbym sam na własne oczy widział!

— Cóż to być może? zapytała z rosnącą ciekawością ciotunia.

Bonusia podniosła także głowę.

— Przypominacie sobie panie... tego nieznajomego młodego człowieka, co to w kościele zeszlęj niedzieli...

— W kościele zeszlęj niedzieli spowiadał się i komunikował, podjęła szybko ciotunia pochwywszy spazmatycznie pana Ansgarego za rękę.

— Ten sam... ten sam... mówił dalej pan Ansgary przymiując oczy.

— Cóż? Cóż? mów pan, mów! wołała ciotunia ścisnąjąc go jak kleszczami za rękę.

— Dalibóg ten sam! Jeśli mi pani nie wierzy. .

— Ale wierzę, wierzę... tylko powiedz pan przedko!

— Był wczoraj...

— Gdzie? Gdzie? Gdzie?...

— Był wczoraj — u pani Patrycyi!

— U pani Patrycyi! wykrzyknęły obie kobiety!

— Tak jest, u pani Patrycyi! Biorę na świadka żydka z zajazdu „pod szarą gęsią!“ Wczoraj po południu przyjechał, chodził po mieście wszyscy go widzieli!

— Nikt ani słowa nie wspomniał!

— Bo był — przebrany!

— Przebrany!

— Przyprawił sobie nos duży, aby go nie poznano!

— Cóż to jest! Co pan mówisz!

Ciotunię przeszedł dreszcz zimny.

— Mówię prawdę, najświętszą prawdę. Panna służąca pisała wczoraj o tém do swego narzeczonego, a że praktykant pocztowy człowieczek ciekawy... ten tego...

— Czyż to być może! Cóż za cel?

— Ba, gdyby to wiedzieć!... Dzisiaj była pani Patrycyja w złotym humorze! Obiecała w tych dniach wypłacić, zamówiła u Landesa pięć koszów wina, dwóch żydków porwano gwałtem do pałacu, aby szyli nową liberyę, trzeciego z farbami, aby bramę odczyścić, a do księcia Marcina wysłano fernalkę po kucharza!...

— Co pan mówisz! Co pan mówisz!

— Prawdę, najświętszą prawdę mówię... śpieszę się, aby jeszcze zjechać do państwa Piotrów.

— Przecież pan nas tak samych z taką nowiną nie zostawisz!

— Muszę, muszę dalej jechać...

Tu pan Ansgary pocałował ciotunię w rękę. Bonusia sączkę uściskał i mimo wszelkich nalegań aby pozostał, riadł na wózek i pojechał.

Gdy po chwili pan Nazaryusz od gospodarstwa wrócił do domu i o wizycie pana Ansgarego się dowiedział, rozśmiał się z téj nowiny parafialnej i powiedział kobietom, że w tém wszystkiém nie ma ani za grosz prawdy.

Ciotunia wystąpiła z wielką energią przeciw bratu, utrzymując, że to wszystko być może, bo o podobnych maskaradach już nieraz czytała w powieściach, osobliwie tłumaczonych z francuzkiego. Zarzucała bratu, który w gospodarstwie utonął, nieznajomość świata, na którym dzieją się nieraz takie rzeczy, że aż włosy na głowie stają! Przytaczała przykłady z przeczytanych romansów, i naprędce opowiedziała treść powieści o jakichś rozbójnikach w białych rękawiczkach, którzy nawet żywych ludzi mordowali!...

Podczas téj długiej repliki siedziała Bonusia zamyślona nad książką. Jakieś dziwne myśli i marzenia przebiegały przez jęj główkę, do których nawet czasami uśmiechała się.

Do czego odnosiły się te marzenia, trudno było odgadnąć.

XXVII.

HERBATA Z HRABIĄ.

Przez kilka dni zaalarmowaną była cała parafia najdziwaczniejszemi wieściami.

Fabała pana Ansgarego o przyprawionym nosie mimo gorącego poparcia ciotuni, nie przyjęła się w parafii. Uznano ją za literacki wymysł autora *anonimów*. Roznosiciele pierwszych biuletynów złapani na gorącym, dmuchali teraz na zimne. Zresztą powieść pana Ansgarego przechodziła fantazję parafii.

Parafia wierzyła w diabła, ale nie wierzyła, aby jaki człowiek dla opinii małego miasteczka miał sobie nos duży przyprawiać! Parafianie wiele nawet grzechów popełniali w miasteczku, a mimo to nie przyprawiali sobie ani nosów, ani masek na twarz nie brali.

Pan Ansgary utrzymał *votum* nieufności.

Było jednak faktem, że w pałacu działały się jakieś niezwykle przygotowania. Szafarka kilka razy na dzień przyjeżdżała do miasteczka i zakupywała w korzennym sklepie różne bakalia i specyały, jakie tylko zazwyczaj na weselu konsumowane bywają.

Pokoje czyszczono i przewietrzano z pewną ostentacją, parkany naprawiano, a ścieżki na dziedzińcu wysypywano żółtym piaskiem.

Wszystko to trąciło jakąś niezwykłą tajemnicą ale mimo najbieglejszych nowiniarzy parafialnych, nie można się było o niczem dowiedzieć!

Dopiero czwartego, czy piątego dnia rozwiązała się zagadka!

Pani Patrycja całe sąsiedztwo „lepsze“ zaprosiła do siebie — na herbatę pożegnalną!

Po tej herbacie miała pani Patrycja z Alodyą wyjechać zagranicę na czas dłuższy!

Jakkolwiek ta „herbata pożegnalna“ mnóstwo nowych kwestyj w parafii poruszyła, odłożono je jednak do samej herbaty, a tymczasem postanowiono o tej herbacie trochę pomówić.

Jak wieści niosły, herbata miała być świetna, to jest, moralnie świetna.

Co do strony materyalnej, wieści jakie się o tej herbacie rozchodziły, zasmucały niejednego przyszłego gościa!

Opowiadano bowiem, że na tym wieczorku nie będzie wcale wieczerzy, jak to po zwykłych dworach się praktykuje.

Pani Patrycja postanowiła co do wieczorku trzymać się zwyczajów arystokratycznych.

W przypuszczeniu, że każdy gość o godzinie szóstej obiad jada, miano na wieczorku podawać tylko filiżanki z herbatą i cukry. Gdyby zaś zabawa przeciągała się do późniejszej godziny, mieli lokaje w nowej liberyi i bia-

łych rękawiczkach roznosić pomiędzy gości kieliszki z winem reńskim i plasterki bułek posmarowanych pasztetem lub kawiozem.

Taki program nie każdemu się podobał, osobliwie gdy trzeba było z półtóry mili tam i napowrót jechać.

Mimo to jednak nikt nie odmówił i każdy z niecierpliwością oczekiwał dnia, w którym większą część sąsiedztwa obaczy razem i coś o właściwych motywach tego zebrania się dowie.

Prócz tego jeszcze wiadano, że pani Patrycja prócz bakaliów i wina reńskiego postanowiła jeszcze miłych gości swoich obdarzyć obecnością jednego — hrabiego!

Już to do słabości pani Patrycji należało, aby na każdym większym zebraniu u niej był choć jeden hrabia!

Przypominało to mimowolnie owe bale „z generałem!“

Ponieważ jednak nie sama Patrycja podobną słabość miała, więc znalazł się człowiek, który z podobnych ról miał nawet niezłą egzystencją.

Hrabia Kwiryn miał niegdyś ładny majątek a nawet poszukiwany był przez matki mające córki na wydaniu.

Ponieważ zaś tego poszukiwania zawiele było, a hrabia Kwiryn nie mógł się prędko zdecydować, zdarzyło się więc, że włos siwy pokazał się na głowie a mająteczek za to zniknął jak kamfora.

Wtedy potrzeba było jakiego przemyśłu. Robić nie umiało się i nie chciało, ożenić się z jaką posażną rzeźniczką lub mydlarką było nieco już zapóźno, potrzeba więc było o czémś przecież pomyśleć.

Hrabia Kwiryn postanowił żyć z uroku swego nazwi-

To było jego prawowite spadkobierstwo, które zo-

stawili mu w Rzeczypospolitej przodkowie, którzy na krzesłach senatorskich zasiadywali lub wojsko na nieprzyjaciela prowadzili.

Nazwisko było więc niepoślednie, ludzie mają zawsze pewną słabość do nazwisk i tytułów, dla czegoż więc nie spożytkować tego, co się ma?

Hrabia Kwiryn najmował się za figuranta przy każdej okazalszej uroczystości!

Rozumie się nie robił tego jako prosty najemnik, nie wyciągał rękę po zapłatę, nie targował się o cenę najmu, ale miał zawsze przytém pewne emolumenta, które pozwoliły mu jako tako egzystować na świecie.

Najprzód nie było żadnego głośniejszego obiadku lub wieczorku w trzech graniczących powiatach, na którychby nie był hrabia Kwiryn.

Zazwyczaj posyłano po niego powóz na resorach, co sobie wymawiał i ekspens w drodze pokrywał jadący z nim towarzysz.

Przy obiadach i herbatach zajmował pierwsze miejsce. Wysoki, okazałej budowy bardzo dobrze reprezentował najwyższy stan społeczeństwa.

Nikt lepiej od niego nie umiał prowadzić rozmowy i pijatyki, jeśli gospodarz koniecznie tego żądał. Wygłaszał wierszem toasty, opowiadał sceny ze swego życia zagranicą, a nawet wykazywał czasem największe tajemnice polityki Palmerstona, którego był osobistym przyjacielem i razem z nim wista bardzo drogo grywał.

Jeżeli szlachcic w jednym z trzech powiatów córki zamąż wydawał, hrabia Kwiryn prowadził ją do ślubu, z manierami rutynowanego szambelana.

Jeżeli szlachcic składał do grobów familijnych najdroższą towarzyszkę życia, hrabia Kwiryn był mistrzem ceremonii i na cmentarzu nieraz powiedział mówkę rzewną a dobitną.

Hrabia Kwiryn figurował także nieraz jako sędzia rozjemczy, a obaj adwersarze chwalili nawet jego sądy łagodne.

Zrazu figurował hrabia Kwiryn tylko na obchodach uroczystości domowych, gdy jednak w kraju rozpoczęły się rządy parlamentarne, hrabia Kwiryn tyle miał zajęcia, że im wystarczyć nie zdołał.

Każde stronnictwo polityczne, każda spółka handlowa, towarzystwa pedagogów, spółka jedwabnicza i hortykultarzy, słowem, co tylko chciało z jakim takim efektem stanąć przed publicznością, wzywało hrabię Kwiryna na prezesa, lub prosiła go na członka komitetu.

Hrabia Kwiryn z należytą powagą służył swoim nazwiskiem sprawom krajowym. Raz tylko pomylił się i przyjął prezesostwo w dwóch towarzystwach wprost sobie przeciwnych. Wnet jednak spostrzegł się, a nawet w dziennikach publicznych krok swój odwołał.

Książek ani pism literackich nie czytywał nigdy. Raz tylko przypadkiem przeczytał w jakiejś gazecie, że pewien autor napisał komedję o „pracowitych próżniakach!”

To zalterowało go mocno. Od tego czasu tém więcej unikał książek, aby się kiedy nie zejść — „z pracowitemi próżniakami!”

Otóż tym hrabią Kwirynem postanowiła pani Patrycja ubrać swoją herbata.

Jakoż rzeczywiście w dniu oznaczonym zjechał hrabia Kwiryn w zamkniętym powozie na resorach, a przebrawszy się w gościnnym pokoju okazał się zgromadzonemu na salonach pani Patrycyi ludowi!

Pani Patrycyja porzuciła wszystkich swoich sąsiadów, odepchnęła pana Piotra, który właśnie coś jęj chciał powiedzieć, skrzywiła się na panią Szymonową, która jęj cztery córki swoje pokazywała, a pędem pobiegła do drzwi aby tak znakomitego gościa z należytym efektem powitać.

Śród ciszy, którą szybkością kroków swoich sprawiała, oświadczyła hrabiemu Kwirynowi, że nietylko ona, ale nawet całe zgromadzenie widzi się niezasłużenie zaszczyconém obecnością tak wysoko położonego męża i tylko nadzwyczajnej dobroci jego przypisuje tę szczególną łauskę i splendor, jaki ztąd spada na całe towarzystwo...

Słowem zebrani u pani Patrycyi goście dowiedzieli się z tęg długiej przemowy, że mają między sobą człowieka, który całemu zgromadzeniu przynosi zaszczyt wielki, a który bez interwencji pani Patrycyi nigdyby może do parafii nie zagościł!

Jeden więc i drugi szlachcic ugiął czoło przed hrabią i bardzo był z tego zadowolony, jeśli hrabia rękę mu ucisnął lub z nim dłużej rozmawiać raczył.

Pani Patrycyja była zarumieniona. Jęj oczy mówiły do każdego z gości:

— Widzicie, jakie ja mam stosunki! Czy kto z was mięwa w swoim domu hrabiów?... Powinniście mi za to być wdzięczni, że i na was w części ten wysoki splendor spłynął!...

XXVIII.

P I E Ś Ń B E Z S Ł Ó W.

Pani Patrycja opowiadała szeroko swoim gościom o planach podróży, w którą się za kilka dni wybierała.

Zazdrościła swoim sąsiadom, że mały horyzont ich życia i stosunków pozwala im trzymać się w cieniu ojczyściej strzechy. Dla niej jest to rzeczą niemożliwą. Kolligacye i liczne stosunki z większym światem zmuszają ją do wylotu na szerszą arenę życia, aby tam uczynić zadość tym stosunkom i kolligacyom.

Opowiadała dalej, że w Wiedniu ma się zjechać z księżną Otylią, w Dreźnie czekają już ich przyjazdu hrabiowie X i Q, stryjeczno-cioteczni kuzynkowie, a w Paryżu umówiona jest schadzka z Radziwiłłami, którzy po kądzieli są także jej krewnemi.

Prócz tego wymieniła jeszcze cały szereg różnych imion znanych, a wszystko to jest z nią częścią w kolligacyi, a częścią w stosunkach przyjaźni.

Zresztą chce trochę także przejechać się dla rozrywki i Alodyi pokazać niektóre rzeczy w Europie, których jeszcze nie widziała...

Niektórzy sąsiedzi słuchali nabożnie tych opowiadań, niektórzy jednak mieli na ustach widoczny uśmiech ironiczny.

Stary major stał koło pieca i mruczał coś w małym kółku o chorobach pańskich, które najczęściej tych napa-
dają, którzy wcale nie mają za co na nie chorować...

Podczas gdy na pierwszym planie salonu o podró-
żach i krajach obcych rozprawiano, w zacieniu oleandrów
i fig szerokolistnych, misternie w kącie ustawionych, zaba-
wiała się młodsza generacja rozmową żywą.

Pomiędzy tą młodszą generacją górowała strojem
i urodą — Alodya.

Miała suknię z sinéj, wiotkiéj, przezroczytéj tkani-
ny, ubraną w atłasowe obszewki takiegoż koloru. Biust
był znacznie odkryty i podwójnemi koronkami przysło-
niony. Włosy jasne utrefione były *à la Cléopâtre* i two-
rzyły w koło pięknej główki jakby drobne, mgliste obłoki.

Twarz Alodyi była ożywiona, ale nie było na niéj
radości. Uśmiech melancholijny jak zawsze okrążał jéj
blade usta, a na czole było lekkie zamyślenie.

Starła się widocznie bawić swoich gości, chociaż to
nie zawsze się jéj udawało!

Niedaleko niéj stał Prosper.

Prosper był widocznie coś zmartwiony. Oczy jego
nie patrzyły jasno, towarzyszom dawał bardzo krótkie od-
powiedzi.

Gniewała go kontrola wielu oczu, które nieustannie
na niego i na Alodyą patrzyły.

Osobliwie cztery córki pani Szymonowéj, nietylko
patrzyły ciągle wzrokiem badawczym na niego, ale nawet

tręcały się wzajemnie i częścią szeptem udzielały sobie swoich uwag i postrzeżeń.

Kilka razy zbliżał się Prosper do Alodyi, aby z nią rozmawiać, ale zawsze musiał odstąpić, bo kilkanaście uszów czekało na każde słówko jego!

Tylko kiedy niekiedy mógł do ogólnej rozmowy jakie słówko rzucić, które więcej dla Alodyi było przeznaczone.

— Czy pani sądzisz, rzekł pan Ansgary, że sama tylko z tych stron w świat daleki odjedziesz?

— O nie! odpowiedziała szybko Alodya i przelotnie spojrzała na Prospera.

— Wytłumacz nam to pani jaśniej! ozwał się pan Albin.

— Spodzielam się, że ze mną pójdą wszystkie moje lepsze wspomnienia! odpowiedziała z lekkim westchnieniem.

W jej najbliższém sąsiedztwie ozwało się także westchnienie. Cztery córki pani Szymonowej spojrzały jakby na komendę na Prospera.

— Słyszałem westchnienie! ozwał się pan Ansgary, któż z panów westchnął tak głęboko?

Powszechne mileczenie.

— A więc nikt się nie przyznaje do tego westchnienia?... Nikt?... O biedne westchnienie, którego wypiera ją się ludzie! Westchnienie — sierota!...

Prosper uszczknął listek z oleandru i zaczął się nim bawić.

— Westchnienie — sierota! mówił dalej literat parafialny, jaki to piękny temat do poezyi!... Ludzie wsty-

dzą się dzisiaj westchnień, owéj ogólnej mowy serc naszych, a przyznają się do dowcipów zimnych, a nawet często do pamfletów!... *Heine, Heine!* Żyjemy w wieku Heinego! Z serca trzeba się śmiać bo cały świat z niego się śmieje! A więc i poeta musi dzisiaj śmiać się i szydzić sam z siebie, bo inaczej ludzie szydzić będą z niego!...

— Któż z nas jest winien — téj deklamacyi? przerwała mówiącemu Alodya z uśmiechem.

— Ten co westchnienie swoje osierocił! odparł pan Ansgary.

— Westchnienie to nie będzie sierotą! rzekła po chwili namysłu Alodya — wezmę je do siebie i przyjmę za swoje!

— *Bravo!*... O szczęśliwy! zawołano chórem.

Dziesięć par oczu spojrzało na Prospera.

— Jesteśmy moi panowie w nieporozumieniu, rzekł z uśmiechem Prosper, westchnienie, o którym mowa pochodzi z przeciwległego rogu salonu!... Patrzcie panowie! Tam hrabia Kwiryn opowiada pani Piotrowéj dzieje pierwszej swojej miłości, przyczém tak głośno westchnął, że przez akustykę aż tu o nas się to westchnienie odbiło!...

— I to dobrze, odpowiedziała Alodya, jest to zawsze westchnienie za pierwszą miłością! Mówią, że pierwsza miłość jest zawsze nieszczęśliwa! Czy to prawda panie Prosp... panie Ansgary? Pan jako poeta...

— Pierwsza miłość -- zwolna mówił pan Ansgary — pierwsza miłość... w pierwszój miłości zazwyczaj zawodzi nas — kobiéta!

— Być może! odparła Alodya i zaczęła się bawić wachlarzykiem.

— Jakto? zawołał chór mężki — pani to wygłaszasz tak spokojnie?

— W samą rzecz, dodał Prosper, spokój pani był w tej mierze klassyczny!

— Czy to panów tak zadziwia? odpowiedziała smutno Alodya oglądając się do koła — przecież to jest tak naturalne! Mężczyzna ma inne prawa niżeli kobieta. Mężczyzna w młodym wieku przejrzy już świat cały, podczas gdy kobieta zaledwie mały wycinek horyzontu obaczy! Gdy w tym czasie jej serce do kogo uderzy, to nie ma jeszcze żadnego doświadczenia, nie wie, czy ten przedmiot jest tego godny, czy nie. W miarę jak się jej horyzont rozszerza, poznaje swój błąd i...

— Izrywa serdeczną stronę! uzupełnił pan Ansgary.

— Dobrze!... i zrywa serdeczną stronę, ciągnęła dalej Alodya, bo to ani jej, ani drugiemu szczęścia nie przyniesie!

— A gdyby ten drugi twierdził, że on z tą stroną serdeczną jest szczęśliwy? zapytał pan Ansgary jako mówca powszechny.

— Wtedy — odpowiedziała Alodya i powiodła okiem po grupie między którą był Prosper — wtedy... gdyby do tego przyłączyła się wytrwałość, to może... może przeszłaby na jego wiarę!

Alodya otrzymała tutaj znowu bravo.

— Już dalej nic mówić nie będę, rzekła z małym grymasikiem na czole, bo panowie inaczej to sobie tłumaczycie! Mogłabym popaść w nieporozumienie, a to bardzo mi bolało!..

— Jeżeli pani mówić nie chce, ozwał się pan Ansgary, to niech nam usta pani wyśpiewają, czém dusza i serce jest obciążone w tej chwili.

— I śpiewać nie będę!... Chyba zagram panom... Pieśń — bez słów! odpowiedziała z uśmiechem i pobiegła do fortepianu.

Przy pierwszych akordach Erarda uciszyło się towarzystwo. Nawet hrabia Kwiryn przeciął w połowie opowiadanie o Rzymie, w którym miał bardzo romantyczną awanturę.

Alodya grała z nadzwyczajnym wyrazem.

Ustrój włosów i mglista suknia czyniły ją podobną do jakiejś rusalki z lasów Dyany...

Prosper stał oparty o ścianę i patrzył w tę piękną twarz, na której podczas tej gry malowały się piękne, szlachetne uczucia!...

Kilka razy nawet spotkały się ich oczy... a Prosper wierzył wtedy, że tę „Pieśń bez słów“ rozumie dobrze i jój tekst wyraźnie słyszy!...

XXIX.

K S I A Ż K I!

W tydzień po téj herbacie pożegnalnej, biegł major przez pola mocno zaturbowany. Po drodze pełzały rozmaite błyszczące owady, zielone chrząszczyki brzęczały w koło niego, ale major nic nie widział, nic nie słyszał! Nie myślał nawet wcale o ulubionych swoich zbiorach!

Szedł szparko, machał rękami i coś do siebie rozmawiał, jakby się z kim klócił! Czasami nawet pięście zaciśkał i groził niemi komuś, o którym mniemał, że stoi po lewej stronie.

Wreszcie zaszedł do dworku pana Nazaryusza.

W dworku było cicho i spokojnie. Ciotunia wykrawiała z papieru jakieś nowe formy na nową zarzutkę, pan Nazaryusz z krótką fajeczką w ustach dumał sobie nad czémś, a blada Bonusia przewracała kartki książki, jakby między niemi czegoś szukała.

Majora powitano mile i serdecznie.

Major miał taki wyraz na twarzy, jakby coś ważnego z sobą przyniósł. Przytém patrzył ciągle z ukosa na Bo-

nusię, jakby chciał ją wybadać, co tam w téj głowie się roi?...

Nikt więc nie odezwał się, bo każdy czekał, że major o czémś ważném mówić zacznie.

Major jednak milczał uporczywie. Nawet twarz jego przyoblekała się w smutek coraz większy!

Wreszcie zaczął pan Nazaryusz:

— Pani Patrycja z córką już wyjechała!

— Kilka dni temu! odpowiedział major.

— Ktoś mówił, ozwała się ciotunia, że i pan Prosper miał pojechać zagranicę.. ale to zapewne nieprawda! Ludzie już nie wiedzą o czém mówić!

Major skreślił się na krześle i spojrzał na Bonusię.

Bonusia powstrzymała w téj chwili oddech i niespokojnie patrzyła na niego.

— Prosper — zaczął major jękając się—Prosper... widzi pani... wyjechał zagranicę...

Bonusia upuściła książkę na ziemię.

— Wyjechał wprawdzie zagranicę, ciągnął dalej major zakłopotany, ale wyjechał w interesie swojego zawodu, któremu się poświęcił...

— Zapewne rozpaczna jaką kolej budować! zauważył smutno pan Nazaryusz.

— Nie, budowy żadnej dzisiaj nie ma... ale widzisz sąsiedzie... Prosper jako inżynier nie porzucił służby, tylko wziął urlop na czas nieograniczony — więc jako inżynierowi służy mu prawo korzystania z wszystkich kolei żelaznych bezpłatnie!...

— Jakto! zawołała ciotunia i odłożyła nożyce — to on może jeździć po całej Europie?...

— A tak! może, jeśli tylko ma certyfikat od towarzystwa!... Chce więc poznać rozmaite urządzenia, aby potem z tego korzystać, jeśli wypadnie potrzeba!...

— To on już może nigdy tutaj nie wróci! rzekła po chwili ciotunia — komu cały świat tak otworem stoi, któż chciałby wracać się do parafii!...

— O wróci, wróci!... Słowo honoru daję pani, że wróci... jestem pewny że wróci!... Każdy młody człowiek to jak dziecko! Gdy ogień zobaczy to rękę do niego wyciąga, ale jak się raz upiecze, to wtedy rękę schowa do matki się przytula!...

— Do kogóż to pan stosujesz? zapytała ciotunia.

Major ukąsił się w język, uderzył ręką w nogę i odparł:

— Do nikogo, jak panią szanuję, do nikogo! Ot tak mówiłem sobie jak stary!... Prosper chce się wykształcić w swoim zawodzie jeszcze więcej i dla tego wyjechał zagranicę!

Widać było z twarzy majora, że dzisiaj nie był z siebie kontent. Sztuka dyplomatyczna jakoś mu dzisiaj nie dopisywała.

Najlepszy tego przykład miał na Bonusi. Bonusia słuchała go z tak dziwnym ironicznym wyrazem na ustach, jakby lada chwila chciała mu przerwać i powiedzieć: Kłamiesz! Ja wiem, dla czego Prosper zagranicę wyjechał!

Takie słowa czytał major w tym uśmiechu Bonusi, a były one dla niego tém straszniejsze, że były rzeczywiście prawdziwe!...

Milczenie głębokie, które teraz nastąpiło, było karą zasłużoną dla majora, było najoczywistszym protestem przeciw temu, co powiedział.

Wybawiła go z tej przykrzej sytuacji Bonusia.

Podniosła nagle główkę spuszczoną jak kwiatek, gdy kropla rosy padnie w niego i spojrzała jasnym okiem na majora. Jej twarz drgała jeszcze ostatkiem jakiegoś bólesci, ale dumnie podniesione czoło okazywało, że ta boleść jest już zwalczona.

— Panie majorze, rzekła dźwięcznym głosem, mam do pana prośbę o... książki, o jak najwięcej książek! Niech będą poważne i naukowe... chcę się uczyć, chcę sobie ulżyć samotność, na jaką jesteśmy skazani... chcę przy nich jakoś odżyć trochę!... Nie wiem dla czego, ale zdaje mi się, że one wrócą mi zdrowie i siły!...

— Jeżeli pragniesz książek moje dziecię, ozwał się smutno ojciec, to mogę ci sprowadzić ile chcesz!

— O książek, książek ojczu, jak najwięcej! mówiła dalej Bonusia przyciskając czoło do jego piersi — książek daj mi ojczu... a ja będę znowu zdrową i wesołą!...

Major patrzył z rozkoszą na piękną Bonusię, a lzy mimowoli cisnęły mu się do oczu.

Potem wstał nagle, zacisnął pięść i pogroził sromotnie w kierunku gdzie był kominek.

Wszyscy z trwogą spojrzeli w tę stronę... przy kominku nie było nikogo!

XXX.

Z A G R A N I C A.

Któż z podróżujących Polaków nie zatrzymał się choćby na chwilę w tém, że tak powiem, internacjonalném mieście, które w opisach turystów często nazywa się Florencją nadelbiańską?

Drezno, saska stolica jest to jedna z koniecznych stacyj podróży. Tu zazwyczaj wypoczywa się, używa widoku najcenniejszych skarbów sztuki, a pokrzepiwszy tym sposobem ducha puszcza się z tego cichego przybytku na głośniejsze fale świata!

Wielu jest jednak takich, którzy to miejsce obrali sobie za ostateczny cel swojej podróży. Są to najczęściej ludzie, którzy z czynnego żywota wypłynęli tu do cichój przystani, aby resztę dni swoich przepędzić spokojnie i wygodnie. Inni znowu przybywają do tego zacisznego fortu, aby nieturbowani od hałaśliwego świata mogli oddać się spokojniej pracy ducha i tutaj w skupieniu sił swoich pracować dla tych, którzy tam gdzieś się bawią lub bezowocną szermierką słów drogi czas tracą!..

Między innemi jest tu także pewien zastęp ludzi, który przybył, aby z towarzyskich stosunków tutejszych coś skorzystać, zdala od swoich pewną rolę odegrać, i w końcu za odegraną rolę dobrą wziąć zapłatę.

Zostawiając na boku wszystkie inne narodowości, które tutaj nader licznie są reprezentowane, zwrócimy uwagę na ciągnących tutaj naszych ziomków, przedstawiających najczęściej wszystkie dzielnice ziemi polskiej.

Komuz z tych nie utkwiał w pamięci tak zwany: hotel saski.

Historja tego hotelu, olbrzymiego szarego gmachu o trzech piętrach, byłaby historją niejednej polskiej rodziny, niejednej polskiej fortuny!...

Ileż to precudnych marzeń przyjechało do tego hotelu z głębokich gdzieś prowincyi — ileż dziewic z poetycznym na świat poglądem zamieszkało tutaj przez kilka rozkosznych miesięcy i biciem serca liczyło drogie chwile... ileż młodych par wyszło z téj sieni dywanem wyściełonej, aby na stopniach ołtarza złożyć przysięgę w ręce kapłana... a potem.. potem dostarczyć powieściom najsmutniejszych epilogów?...

Drezno w ogóle od lat kilkudziesięciu miało reputacyę, że tam bardzo łatwo zawierają się małżeństwa.

Starożytni wyobrażali sobie bożka miłości z oczami zawiązanemi. Jeżeli więc miłość koniecznie musi być ślepą, to znaczne oddalenie par miłosnych od ich parafii jest ową przepaską, która nie pozwala im się wzajem przypatrzeć.

„Hotel saski“ o takich przepaskach mógłby wiele, bardzo wiele powiedzieć.

Właściciele i dzierżawcy tego hotelu byli nawet często współaktorami niejednego dramatu, za co potem hojny zwyciężającemu bohaterowi podawali rachunek...

Hotel ten był dzisiaj, jak i zawsze przepełniony gośćmi wyborowemi. Na tablicy przejezdnych nie szcędzono tytułów. Hrabia, książę, baron były to najpospolitsze dodatki do nazwisk podróżnych. Kto tylko miał pieniądze, mógł się nazwać takim tytułem, jakim mu się żywić podobało. Osobliwie Polaków nie było tam żadnych— bez tytułów.

O ranniej godzinie przyjechały do tegoż hotelu trzy kobiety, z których jedna wydała się fortjanowi matką, druga córką, a trzecia służącą.

Zażądały kilku pokoi z salonikiem.

Na takie zamówienie pozdejnowała służba czapki z głowy, administrator uderzył w dzwonek elektryczny, krzyk i hałas zrobił się na wszystkich schodach — i podróżne kobiety w oka mgnieniu znalazły się na pierwszym piętrze w bardzo eleganckich apartamentach.

Podczas gdy kobiety kufry i kuferki otwierały, na dole administrator i odźwierny spięrali się z sobą o tytuł damy. Administrator chciał koniecznie zapisać do księgi hotelowej: księżna — odźwierny, który bliżej o swoich gości się ościęrał, sądził, że tytuł hrabiny zupełnie wystarczy, a nawet obawiał się, czy nie będzie zawiele. Coś mu tam wpadło w oczy, jakaś drobnostka i z tego wnosił.

Rozstrzygnięto w ten sposób, że posłano numerowego z kartą meldunkową na górę, a tymczasem wstrzymano wpis do księżki.

Nauczony stał długo przy progu w kabłak zgięty oczekując wypełnienia rubryk maldunkowych...

Słyszał cichą naradę między matką i córką... narada ta przeszła nawet w małą sprzeczkę... córka kilka razy przemocą odbierała matce pióro... pisano, mazano i znowu pisano... wreszcie oddano kartę numerowemu.

Numerowy ujrzał na karcie kilka słów przemazanych, potem wyczytał: *comtesse* Patrycyja...

Uklonił się ukłonem, jaki się hrabinie należy, i odszedł, aby ciekawość administratora zaspokoić.

Pani Patrycyja urządziła sobie naprzód mieszkanko, które dziennie kilkanaście talarów kosztować miało, potem wyszła z Alodyą do magazynów, aby według najpierwszej mody suto się przebrać.

Przez kilka dni siedziały obydwie w domu nie scho- dząc nawet do stołu wspólnego.

Pani Patrycyja chciała z efektem przedstawić ludziom siebie i Alodyę.

Za kilka dni były stroje gotowe.

Najprzód zamówiła ekwipaż, który już od godziny dziesiątej rano miał stać przed hotelem i nieznanym ludziom dawać znać o egzystencji pewnej hrabiny z pierwszego piętra.

Około godziny czwartej zeszły obydwie w sukniach szeleszczących, obficie koronkami nakrytych do sali jadal- nej, gdzie podawano obiad zwany *table d'Hôtes*.

Przy tym obiedzie zgromadzili się nie tylko miesz- kańcy hotelu ale przychodzili także i z miasta aby tam- tych poznać i siebie dać widzieć!

Był to zazwyczaj zbiór ludzi bardzo ciekawy.

Dla psychologa dostarczał ten zbiór bardzo wiele studyów. Mimowoli przypominał trupe podróżnych artystów, której członkowie odgrywali role sobie niewłaściwe, to jest, o jeden lub kilka stopni wyższe nad swój talent rzeczywisty.

Trzeba przyznać, że pani Patrycja wchodząc z Alodyą do sali sprawiła między gośćmi pewne poważanie.

Ubiór strojny i drogi, według ostatnich wymagań mody, wzrost słuszny imponujący, wyraz twarzy dumny i wszystko w koło lekceważący, a przytém pewność siebie i manieri wyższego towarzystwa — wszystko to złożyło się razem, aby całej jęj postaci nadać cechę czegoś niezwyčajnego.

Za nią drobnutkim krokiem, w bóciakach fijałkowych na wysokich korkach... nie weszła ale wplynęła raczej Alodya.

Alodya miała suknię fijałkową i taką samą zarzutkę, którą przy stole odjęła. Prześliczne blond włosy. ręką najpierwszego fryzjera utrefione wywołały prawie wykrzyk podziwienia. A gdy Alodya na ten wykrzyk spojzeniem szafirowych oczu swoich odpowiedziała i melancholijnie się uśmiechnęła, podziwienie to przeszło w powszechne uwielbienie. Szmer rozszedł się po sali, a matka i córka zbierały owoce długich swoich studyów...

Stół jednak wspólny nie miał dzisiaj nic szczególnego. Kilku Anglików podstarzałych o rudych włosach, ich żony i kuzynki z wiszącymi lokami o twarzach wybladłych, takż liczba Amerykanów i Amerykanek z dużemi czarnymi oczyma... Kilku Rossyan z kobietami ubranymi

w kolory papuzie i kilku młodych Podolaków, którzy zwabieni famą przyjechali szukać posagów...

Pani Patrycja wszystkich szczegółowo obesza swe mi badawczemi oczami. Alodya patrzała na wszystkich z uśmiechem i bawił ją też widocznie entuzjazm jaki widocznie wzbudzała w biesiadnikach.

Przypomniała sobie tyle a tyle chwil samotnych w parafii, gdy jej oczy szafirowe nadarmo patrzyły, jej uśmiech melancholijny nadarmo świadka szukał!... A tutaj każde wejście, każdy uśmiech coś komuś daje... coś może bierze...

Alodya uczuła się prawie szczęśliwą!

Któraż kobieta nie jest nią, gdy się widzi adorowaną?...

Po obiedzie, który trwał dwie godziny, wyszła pani Patrycja z Alodyą do sieni, tam kazały sobie przynieść z góry aksamitne zarzutki i wśród oczekujących gości, wsiadały obydwie do powozu, który od rana stał dla nich przed hotelem.

Goście hotelowi i biesiadnicy tłumnie napadli na odźwiernego i administratora wypytujac się o te damy wielko-światowe!...

Jeden powiedział to, drugi coś dodał, i tak stworzyła się jakaś piękna historya o pannie milionowej, a przytém tak pięknej jak madonny Rafaela, Murylla i Correggia!...

Większa część gości poszła na taras brylowski a ztamtąd na koncert do Belwederu.

Początek pięknej wiosny wprawiał wszystkich w złote humory. Widok na Elbę z tarasu był przecudowny,

parowe statki sunęły się po modréj tafli wody, niezliczone łuki kamiennych dwóch mostów przepuszczały mało-wniczo promienie słoneczne... jakże to nie marzyć, nie podziwiać, nie unosić się!...

Okazały powóz zatrzymał się u stóp tarasu.

— Ach patrz pan! Nasze piękne damy z Saskiego hotelu! wołano do siebie i podawano sobie tę wiadomość od *café reale* aż do Belwederu, gdzie ostatecznie ulokowały się piękne Polki!

Nadaremnie ulubiony *Wagner*, kapelmistrz królewski grał na trąbce swojej cudownej: „Pieśń bez słów“ tę samą pieśń, którą Alodya niegdyś Prosperowi grała.. daremnie cała orkiestra zagrzmiała Kąskiego „Przebudzenie lwa“... nikt nic nie słyszał, nikt nic nie widział — tylko Alodyę z matką!

Pani Patrycyja tryumfowała.

Gdyby to w parafii o tém wiadano, pomyślała z westchnieniem, gdyby pan Ansgary dowiedział się z kąd o naszych sukcesach?..

— Gdyby Fimcia i Babetka wraz z panią Szymonową widziały mnie w téj chwili! marzyła Alodya i melancholijnym swoim uśmieszkiem obdzieliła Anglików, Amerykanów, Niemców i wszystkie inne tam znajdujące się narody!

XXXI.

K A N D Y D A T.

Po dwóch tygodniach miała już pani Patrycyja wyborowe kółko znajomych.

Kółko to składało się po większej części z cudzoziemców. Byli tam Anglicy i Angielki, Amerykanie, dwóch bankierów portugalskich i jeden był poseł brazylijski.

Polskie towarzystwo w Dreznie zimujące rozjechało już się było po większej części. Z pozostałków wybrała sobie pani Patrycyja to, co jej domowi jakiego takiego splendoru dodać mogło. Kilku kawalerów z Podola i Wielkiego Księstwa, o których dowiedziała się, że ani pieniędzy, ani tytułów nie mają, zostawiła na boku.

Z takim dobranym orszakiem rozpoczęła kampanię. Dała kilka kosztownych wieczorków, kilka wycieczek łądem i wodą zrobiono w góry — wszystko udało się bardzo dobrze — tylko brakowało jednej osoby, która mogłaby być — bohaterem.

W całym towarzystwie nikt nie był do téj roli stosownym. Były różne figury — głównego aktora brakowało.

Wkrótce jednak i ten się znalazł.

Naprzeciw saskiego hotelu po drugiej stronie ulicy Maurycego jest hotel rzymski.

W narożném, piérwzopiętrowém oknie tegoż hotelu od dnia przyjazdu pani Patrycyi zwykł siadywać po całych dniach jakiś chudy, wysoki jegomość o rudych bakenbardach.

Jegomość mógł liczyć lat trzydzieści kilka i zdawał się widocznie być zajęty wdziękami Alodyi, którą codziennie widywał.

To jego wysiadywanie w oknie było tak systematyczne i odbywało się z taką wytrwałością, że nie mogło w końcu ująć uwagi pani Patrycyi.

Poczyniła kroki, aby się coś o osobie tego jegomości dowiedzieć, i uczuła w całym ciele dreszcz rozkoszy, gdy jój powiedziano, że to jest książę de Nassau, jakiś blizki kuzyn udzielnie panującego księcia.

Zwróciła na niego uwagę Alodyi, która tę troskliwość matki przyjęła z wdzięcznością, wywdzięczając się za nią — melancholijnym uśmiechem.

Od téj chwili rozpoczęła pani Patrycyja formalną kampanię ze swoim sąsiadem.

Robiła wszystko, co tylko zaciekawić, ośmielić, przygarnąć mogło sąsiada.

Pijała z Alodyą śniadanie przy otwartém oknie. Alodyja miała wtedy zazwyczaj przecudny negliżyk od najpierwszej modniarki. Pani Patrycyja otaczała się różnemi drobnostkami, które miały jój nadać aureolę arystokratyczną. Wtedy miał lokaj w liberyi rozkaz przychodzić z jakimś interesem, a pani Patrycyja odpowiadała w ten

sposób, że sąsiad mógł to wszystko bardzo dobrze obserwować.

Książę jednak, jak widać, miał krew nadzwyczaj zimną. Konsumował wszystko z największą systematycznością, co mu dawano, ale roli spektatora wcale nie zmieniał...

Siedział całymi godzinami w oknie, podziwiał z największą sumiennością negliżyk Alodyi i odsłonione nieco wdzięki, słuchał szczebiotliwej rozmowy matki z córką, patrzył na galonowanego lokaja przy drzwiach stojącego — ale dalej ani na krok nie postąpił.

Tak ubiegł cały tydzień.

Pani Patrycyja postarała się o to, że jakiś znajomy Anglik zaproponował księciu, że go paniom przedstawi, ale książę nie chciał korzystać z tej posługi.

Taka platoniczna adoracya Alodyi zaczęła panią Patrycyę niecierpliwieć. Dawała tego oznaki księciu. Kilka razy gdy patrzył, kazała okna przysłonić. Książę zamiast tém się podrażnić do bliższych stosunków, uszanował demonstracye sąsiadki i także od okna odstąpił. Pani Patrycyja odsłaniała okno — książę korzystał znowu z prawa publicznego.

Zimna krew księcia i ten dziwaczny, a niezrozumiały dla pani Patrycyi idealizm, zaczęły już ją na prawdę gniewać.

— Ręczę ci Alodyo, mówiła raz do córki, że on zbliżyłby się natychmiast do nas, gdyby go czémś podrażnić można. Że jest tobą zajęty, to rzecz oczywista, ale ten spokój jego, ta pewność, że o tej i o tej godzinie może na ciebie patrzeć, to wystarcza mu do marzeń o tobie

— z daleka! Gdyby on ujrzał jakie niebezpieczeństwo dla siebie... gdyby np. ktoś był przy tobie, w kimby on w wyobraźni swojej widział rywala — ręczę ci, że krew jego rozgrzałaby się aż do gorącości lawy i wtedy nie bacząc na jakieś tam względy towarzyskie, samby przyszedł do nas!

Alodya uśmiechnęła się na tę filozofię matki. Prócz niewinnego podstępu, nie widziała w niej nic złego.

— To być w żaden sposób nie może! odpowiedziała a wyjrawszy oknem, uśmiechnęła się, bo systematyczny sąsiad z taką godnością pełzał za nią, jakby w tém widział jakiś akt uroczysty!

Pani Patrycyja chciała jednak koniecznie, aby to być mogło! Po całych nocach myślała nad tém i wreszcie wymyśliła, że do tego trzeba będzie użyć znajomego Węgria z brodą okazałą, który jakby stworzony był na takiego statystę.

Zaraz drugiego dnia został Węgier zaproszony po obiedzie na czarną kawę, którą pić miano przy otwartém oknie.

Węgier stawił się sumiennie na oznaczoną godzinę, wypił dwie filiżanki kawy, a nawet pozwolono mu papierosik wypalić.

Książę patrzył z flegmą na to wszystko. Nie alterowało go to nic a nic. Spokojnie palił cygaro.

Przez kilka dni zapraszano Węgria i dawano mu kawę i cygaro — ale książę ani o włos nie zmienił swojej pozycyi.

Uznano, że Węgier nie odpowiada dobrze wymaganej od niego roli i puszczono go w odstawkę.

Po nim zaproszono żywych giestykulacyi Amerykaina i pojono go przez dni kilka kawą i traktowano cygarami.

Amerykanin dosyć dobrze wywiązywał się ze swojej roli. Mówił wiele i głośno, robił Alodyi małe psoty i śmiał się serdecznie.

Książę został nieporuszony. Czy przeczuwał, że ci ludzie nie są mu niebezpieczni, czy odgadł, że tylko rolę odgrywają, dosyć, że niemi bynajmniej się nie martwił, jak to było widać z jego twarzy spokojnej i myślącej.

Pani Patrycja była już w rozpacz. Nie wiedziała już jakich środków użyć, aby sąsiada z drugiej strony ulicy Maurycyego sprowadzić do siebie.

W końcu zaczęła już przygotowywać się do rezygnacyi i Alodyi nawet kilka słów o tém powiedziała — gdy nagle nowy gość zawitał do nich.

Był to — Prosper.

Gdy Prosper wszedł do saloniku, siedziała właśnie przy oknie Alodya, a pani Patrycja niespokojnie po dywanie chodziła. Sąsiad leżał oparty naprzeciwko w oknie.

Ujrawszy Prospera zmarszczyła pani Patrycja brwi nie dla tego, żeby uważała go za niebezpiecznego dla córki... że to był świadek z parafii!

Nie zważała jednak na to Alodya.

Prosper przypomniał jej parafię, przypomniał jej wiele, wiele rzeczy z jej wspomnień rodzinnych, a może nawet przypomniał coś jeszcze, czego się zazwyczaj głośno nie wymawia... bo któż kiedy zbadał serce kobiety?..

Alodya żywo powstała z fotelu i o mało... o mało co Prospera nie uściskała!

— Ach! Jakąż przyjemność pan nam zrobiliście! zawołała trzymając go za rękę — jakże panu wdzięczne jesteśmy z mamą!..

Książę w oknie naprzeciwko zmienił pozycję.

Spostrzegła to pani Patrycja.

Rozjaśniła czoło i podając rękę Prosperowi rzekła do niego z przyzwoleniem:

— Wierzę mi pan, że dopiero zagranicą czujemy czym są dla nas strony rodzinne, i ludzie, którzy nam te strony przypominają! Sprawiliście pan nam niespodziankę tak miłą, że za nią nie możemy panu dosyć być wdzięczni!...

Takiego przyjęcia nie spodziewał się Prosper. Obawiał się, że pani Patrycja za złe mu weźmie zbliżenie się powtórne do Alody i nawet był już przygotowany na małą burzę!...

Z różnych słów i spojrzeń Alody uroił sobie, że Alodya sprzyja mu, a może nawet i kocha go w głębi duszy — tylko matka może jest temu przeciwna i córka do niechętniej dla niej roli zmusza.

Teraz jednak wszystkie jego obawy upadły.

Alodya wita go jak brata... pani Patrycja przemawia do niego tak sentymentalnie, jak tego dotąd nigdy od niej nie usłyszał — słowem niebo szczęścia otwiera się przed nim!

Potrzeba jednak było dla przyzwoitości czems swó przyjazd do Dreżna umotywować.

— Przejeżdżając przez Dreżno, ozwał się po chwili, dowiedziała się, że panie tutaj bawicie. Uważałem za obowiązek wstąpić i powitać panie!

— Jesteśmy panu za to niewymownie wdzięczne odpowiedziała pani Patrycja oglądając świeże, modne ubranie Prospera i okazała jego postawę.

— Jakto? To pan tylko przejeżdża przez Drezno? smutno zapytała Alodya i pochyliła główkę do niego, jakby go o co błagała...

— Ja... ja... jękał Prosper — ja właściwie nie mam żadnych terminów... objeżdżam teraz najznakomitsze dworce kolei żelaznych... ale mogę w Dreźnie trochę dłużej pozostać!

— O to bardzo dobrze! bardzo dobrze! zawołała Alodya i wykręciła się na wysokim obcasiku.

— Bardzo pięknie ze strony pana! dodała pani Patrycja.

Książę zaczął się w oknie niecierpliwić.

Oddalał się kilka razy od okna, chodził zamyślony po pokoju i znowu się zbliżał. Było na nim widać niepokój.

Czy przeczuwał dla siebie niebezpieczeństwo?...

Nazajutrz o godzinie drugiej z południa wszedł lokaj do pani Patrycyi i oddał jej dwie karty wizytowe.

Pani Patrycja przeczytała i zadrżała — z radości.

— Prosić, prosić! krzyknęła do Niemca, który aż się przestraszył i z wielkiego ferworu otwierając drzwi gościom, klucz w zamku złamał.

Znajomy Anglik wprowadził do saloniku słusznego mężczyznę za rękę a kłaniając się paniom wymówił:

— Książę, de Nassau!

XXXII.

N A S T A T K U.

Piękne, urocze chwile marzeń złotych! Któż może godnie dotknąć się was piórem lub pędzlem? Jakże nieudolną w obec was jest cała sztuka nasza?

Wasze szaty promienne i tęczowe podobne są do tych niewidzialnych atomów pływających w przezroczu, które łamią promień słoneczny i rzucają go w przestrzenie w barwach mieniących!..

Czemuż jednak marzenia ludzkie jesteście tak zmienne i niestałe jak te atomy, które przeciw wiatru z każdą chwilą w nowe kształty układa?...

Oto patrzcie!... Tam na szafirowém sklepieniu nieba zarysowała się urocza postać białej dziewczicy z dyademem na wyniosłym czole! Słońce majowe ozłociło jej jasny warkocz i przetkało szatę złotymi paskami!... U jej stóp pochyła się druga postać zgięta do ziemi jest jak niewolnik!... Szczęśliwa dziewczica!... W koło niej rozsypały się kwiaty majowe jakby z rogu obfitości, a szary skowronek wzbil się pod jej stopy z dźwięczną piosenką jak mło-

dy poeta, którego zachwycił ideał — w koronkach brandzkich!...

Patrzcie, co się za chwilę dzieje!

Oto kawał skały, na którym klęczała u stóp dziewicy ta postać zgięta i w adoracji pogrążona, odłamał się i wraz z adoratorem zsunął się w przepaść, w próżną, straszną przepaść!...

Wiatr północny, wiatr zimny i mroźny przysuwał do niej jakąś niezgrabną postać, za którą stał liczny orszak służby... biała dziewica pochyła swe czoło ze złotym dyademem, otwiera ramiona... skowronek zmęczony długą pieśnią spada na ziemię... a za nim jak kawał ołowiu spada jastrząb...

— Cóż to znowu?... Patrzcie!

Wiatr od zachodu pchnął na czułą parę kilka chmur czarnych! Chmury pochłoneły białą postać dziewicy i zamieszały się jak chaos!...

Powoli, powoli szykuje się chaos... pojedyncze linie grupują się i cieniują... łamią się z ukosa i w poprzek.. schodzą się jedne z drugimi...

Cóż tam znowu?... Patrzcie!

Po błękitnym sklepieniu nieba płynie zwolna — pogrzeb! Orszak pogrzebowy z trumną w środku, umocnioną na wysokim karawanie sunie się smutno z zachodu na wschód a za jego śladem zwolna gaśnie purpurowe słońce, i wytryskają małe ruchliwe gwiazdki i czarną oponę ciągnie za sobą noc ciemna, nieubłagana...

Prec z tym obrazem!

Czemuż marzenia nasze są tak piękne i złote... a czemuż życie i rzeczywistość są tak dziwaczne?...

.

Nastąpiły chwile najśłodszych, najpiękniejszych marzeń — dla pani Patrycyi.

Znakomity gość zbliżył się wreszcie, a był to gość nielada. Krewny jednego z domów panujących!...

Pani Patrycyja czuła rozkoszne dreszcze, gdy temu gościowi rękę podawała, życzyłaby sobie, aby wtedy cały świat na nią patrzył i nie mogła nigdy tego przeboleć, że to dzieje się w Dreźnie a nie w parafii, gdzieby jój tak zazdroszczono!

O Alodyi miała to przekonanie, że ktokolwiek nią się zajmie, ten przy zręczném prowadzeniu rzeczy musi zostać jój mężem, jeśli ten mąż jest dla niej dobrą partyą pod każdym względem.

Książę de Nassau był przyjmowany jakby udzielny jaki monarcha. Pani Patrycyja dowiedziała się przez służbę o różnych gustach swego wysokiego gościa i tym gustom starała się w domu swoim zadosyć uczynić.

Księciu podobała się gościnność polska. Trzeba wiedzieć że w arystokratycznych kołach niemieckich nie ma wcale ani téj fantazyi, ani tego ożywienia, jakie stworzyć umieją kobiety polskie téj sfery.

Pani Patrycyja była mistrzynią w tym względzie. Jakkolwiek *de jure* nigdy do téj sfery nie należała, poświęciła jednak całe życie swoje głębokim studjom wszystkich akcesoryów tego świata i tak je sobie przyswoić

umiała, że patrząc na nią zdala możnaby ją było wziąć za urodzoną księżniczkę.

Nie dziw więc, że nudzącemu się w hotelu księciu towarzystwo w saloniku pani Patrycyi bardzo się podobało.

Przychodził dosyć często, chociaż nie tak często, jak był przez panią Patrycyą zapraszany. Bawił się z Aloadyą, która umiała prowadzić rozmowę w sposób wielkoświatowy. Niemieckie księżniczki i hrabianki nie miały wcale tego talentu. Tam sztywność, chłód, a w danym razie sentymentalizm mieszczański był wszystkiem — tu zaś do sentymentu mieszała się lekka zalotność, przypominająca trochę — bulwary włoskie w Paryżu, do chmurki na czole dodawano uśmiech wszystko obiecujący, nawet łzę, ów prawdziwy brylant duszy, umiano tu oblec w połysk pewnej niewinnej kokieteryi, która lekko podrażnia, chociaż do niczego nie obowiązuje...

Wszystko to podobało się księciu. Była to dla niego atmosfera wcale nowa. Wprawdzie z atmosferą podobną można się spotkać w pewnych połowicznych sferach świata w Paryżu lub u wód sławy europejskiej, ale tam grunt téj atmosfery był inny, był łatwy do chwilowych laurów a tutaj były warunki pewnej moralności, których koniecznie potrzeba było przestrzegać, a co dla księcia wcale nowy urok sprawiało.

Pani Patrycyja spostrzegła, że urokowi temu książę coraz więcej podlega. Wyteżyła więc wszystkie siły swoje, nie żałowała ani zachodu ani pieniędzy, aby księcia coraz więcej obmotać tą misterną niewidzialną siecią, którą zgrabne ręczki kobiece tak misternie prząść umieją!...

Przedewszystki \acute{e} m w obec gościa znakomitego stanowiska towarzyskiego potrzeba było roztoczyć pozory znacznego majątku, obok pozorów wysokiej arystokracji.

Zaraz w pierwszym tygodniu urządziła pani Patrycja wieczorek w wielkiej sali saskiego hotelu, na który zaprosiła co tylko znała najznakomitszego z towarzystwa angielskiego, amerykańskiego i polskiego.

Bawiono się bardzo dobrze. Pani Patrycja była niewyczerpana w sposobach służenia gościom swoim. Alodya miała suknię za dwieście talarów aż z Berlina sprowadzoną.

Książę de Nassau był widocznie Alodyą zachwycony. Wszyscy świadkowie stwierdzili to.

Nazajutrz po południu otrzymała pani Patrycja elegancki rachunek za wieczorek z żywemi obrazami, który wynosił osmset talarów, jedenaście srebrnych groszy i siedm fenigów... a panna służąca otrzymała rozkaz od pani Patrycyi aby do swego narzeczonego w parafii napisała list, w którym zawierałby się szeroki opis tego wieczorka z niektórymi dodatkami wraz z wiadomością, że pewien książę niemiecki, stryjeczny brat udzielnego księcia stara się o rękę panny Alodyi i prawdopodobnie z nią się ożeni...

Zdaje się, że pani Patrycja nie uważała jeszcze za dostateczne, aby opinia parafialna przez powyższe organa zawiadomioną była o szczęściu j \acute{e} y jedynaczki. Usiadła jeszcze sama do biurka i do pana Ansgarego napisała list, w którym jako literata prosiła go o niektóre szczegóły tyjące się familii de Nassau w Polsce ongi egzystującej i z polskimi domami spokrewnion \acute{e} y. Przyznała się otwar-

cie do nieświadomości w tym względzie, co przy nastąpić mającém małżeństwie jednego z książąt de Nassau z jęj córką byłoby dla nięj prawie występkiem!...

Zręczném tém zapytaniem chciała pani Patrycyja całą parafię trochę zaalarmować. Pan Ansgary, jako jeżdżąca na wózku kronika parafialna, miał tę wiadomość rozwieść od jednego powiatu do drugiego.

I w rzeczy samęj mogła się pani Patrycyja dosyć nacieszyć wzburzoną opinią parafialną, która w skutek nadeszłych wiadomości groziła paroksyzmami... spazmami i Bóg wie jakimi chorobliwemi objawami!

Pani Patrycyja jednak zostawiła sobie na późnięj tę rozkosz osobistego w parafii tryumfu, a dzisiaj starała się doprowadzić do skutku swoje nadzieje, o których miała przekonanie, że się spełnią!

Gdyby pani Patrycyja nie była sobie naprzód swego planu ułożyła, nie możnaby mieć jęj za złe, że podobne nadzieje żywiła! Któraż matka nie miewa podobnych nadziei patrząc na piękną, powszechnie adorowaną córkę?

Niemiecki książę nie był wcale trzpiotem jak jaki markier francuzki. Był to człowiek poważny, biorący rzeczy jak się zdawało, na seryo. Alodya widocznie mu się podobała, a postępując w tém uczuciu mógłby prawdopodobnie nadzieje pani Patrycyji uścić.

Do tak korzystnego horoskopu przyczynił się także sam książę swoim zachowaniem się.

Zwyczajem niemieckim chciał się za gościnność pani Patrycyji czémś odwdzięczyć. Według niemieckiego rachunku zdawało mu się, że jest obowiązany przynajmnięj tyle pieniędzy dla pań znajomych wydać, ile one dla nie-

go wydają. Ponieważ jednak stał od nich pozycją i majątkiem daleko wyżej, uważał więc za stosowne wydać dwa lub trzy razy więcej!

I rozpoczęła się szlachetna emulacja papierków banku saskiego!

W odwet za wieczorek ośmsettalarowy wyprawił książę wycieczkę w góry Saskiej Szwajcaryi, na parowym statku wyłącznie do tego najętym.

Wyprawa ta była ciekawym widowiskiem dla wszystkich spektatorów stojących na tarasie brylowskim.

Statek parowy „Kronfrina“ ubrano w wieniec kwiatów, pokryto dywanami. Muzyka wojskowa pod komendą ulubionego Wagnera,*) który na czarodziejskiej trąbce swojej tak wymownie „Pieśń bez słów“ wyśpiewać umiał, stanęła na pokładzie, aby uroczystym marszem przyjąć znakomitych gości, którzy w malowniczych grupach przechodzili przez mostek łączący statek parowy z lądem.

Wszystkich oczy zwrócone były na „piękną Polkę“ w sukni jasno-zielonej, która jak rusalka z rozpuszczonymi włosami spłynęła na pokład statku przyjęta powszechną adoracją stojących tam turystów.

Sród pięknych melodyi, wtórując szumem skrzydeł obrócił się zwolna statek i z należyłą powagą popłynął w górę rzeki, aby się dostać do jej ukrytych wdzieków i tam rozkoszować bez miary!...

Nastrój całego towarzystwa był wesoło-poetyczny. Dusza pragnęła wrażeń, serce otwierało się, język umiał

*) Zginął w wojnie francuzko-niemieckiej.

pod wpływem czarów wypowiedać to, czego dawniej wypowiedzieć nie umiał!...

Oparta o balustradę stała Alodya i patrzyła zamyślona przed siebie.

O czém myślała w téj chwili?

Gdyby to doścignąć myśli i marzenia kobiety!

Prosper próbował widocznie tego niewdzięcznego zadania, ale czy co odgadł?

Stał on opodal i patrzył w profil Alodyi.

Wszystko, co przez te parę tygodni w Dreźnie widział, uczył i słyszał — było dla niego nierozwiązaną zagadką!

Widział gry z księciem. Do czego miała ta gra doprowadzić? Wybujale marzenia pani Patrycyi mogły taką grę wymyślić i na scenę wprowadzić, ale cóż znaczy z drugiej strony ta nadzwyczajna uprzejmość, z jaką przyjmuje go pani Patrycyja i na wszystkie zebrania towarzyskie zaprasza?

Alodya rozmawia z księciem z pewną powściągliwością. Jest często zamyślona i czémś rozmarzona. Czasami wzdycha i jedwabną rzesą piękne oczy swoje zakrywa, aby w nich nikt nie czytał tego, co tam w duszy się roi!...

Dla księcia ma uśmiech wesoły, światowy—dla niego ten dawny melancholijny, jakim obdarzała go w cieniu téj ruiny samotnej przy muzyce téj wody szemrzącej ustawicznie, przy skargach wiatrów w konarach drzew parkowych!...

Cóż to znaczy?

Prosper pytał i pytał ale nie mógł sobie odpowiedzieć.

Alodya była dla niego serdeczną, daleko serdeczniejszą niżeli w granicach parafii! Była do niego więcej zbliżoną, więcej poufałą, jakby był jej bratem lub narzeczonym! Była więcej niżeli siostrą!...

Cóż to znaczy?

Czyż Alodya przy każdej sposobności nie przynosi jego nad księcia? Czyż nie daje nawet czasem tego uczuć księciu? Cóż znaczy ten kwiatek odebrany z rąk księcia a jemu rzucony?... Cóż znaczą te wilgotne połyski, któremi zaświecą jej oczy szafirowe gdy na niego spojrzą?... Cóż znaczy to kurezowe drżenie ręki, gdy mu ją podaje, aby razem z nim iść przez wązką groblę koło ogrodu zoologicznego?...

Cóż to wszystko znaczy?

Raz grała ulubioną swoją „Pieśń bez słów.“ Książę, który był w wesołym humorze, wytłumaczył tę pieśń w sposób humorystyczny! Jakże gniewnie strzeliło wtedy jej oko!... Z jaką skargą spojrzała na Prospera jakby mu powiedzieć chciała:

— Ty zrozumiałbyś lepiej moją pieśń bez słów!

A kiedy Prosper te wszystkie drobne rzeczy razem zebrał i z nich jakąś całość chciał ułożyć, brakowało mu zawsze czegoś, na czém mógłby to wszystko oprzeć i postawić.

Mimo to nie mógł tego wszystkiego nie wiedzieć. Widział jasno, że coś jest, chociaż nie mógł go ująć żadną wyczerpującą definicyą.

Przypuszczał więc, że Alodya kocha go, kocha tą piękną czystą miłością, która w głębi duszy spoczywa, a której usta nigdy nie wypowiadają! Kocha go tém sub-

telném drżeniem serca, które porusza się tylko jak liść osiki w największej ciszy powietrza, a wśród burzy traci tę magiczną oscyllację, i równa się z pospolitemi drzewami!...

Dzisiaj może nie pora wyznać to uczucie... oznajmi się ono samo, gdy nadejdzie czas, tak jak rzucone w ziemię ziarno, dopiero wtedy wystrzeli do słońca, gdy to słońce już się niém opiekować może na całe życie!...

A może Alodya zmuszona jest przez matkę do pewnej roli milczącej, którą tém chętniej przyjęła, im pewniejszą jest jej końca!... Dla czegoż stawać w poprzek marzeniom matki, jeśli sam czas te marzenia powoli z liści obierze? Pocóż przebojem chwycić za kwiat szczęścia, jeśli ten kwiat sam ku niej się nagnie i na jej łono swój kielich położy?...

Czyż pani Patrycja nie myśli o podobném zakończeniu tej awanturniczkiej podróży? Czyż można mieć za złe matce, która czas niejaki daje się ludzić wysoko nastrojonemi nadziejami? Czyż to ma być ubliżeniem dla niego, że go niejako zostawiają w rezerwie?

Takie myśli i marzenia przebiegały często przez głowę Prospera. Coś go bolało przy tych myślach, coś odpychało go od ludzi, którzy przed nim jakby na scenie jakiej odgrywali role niewłaściwe, ale jedno spojrzenie Alodyi, jeden jej uśmiech melancholijny rozpraszał wszystkie jego skropuły i przywiązywał go tém silniej do rydwanu powszechnie uwielbianej kobiety, o której miał wewnętrzne przekonanie, że go kocha, że tylko pewnemu przymusowi ulega, aby tego jasno niewypowiedzieć.

— Jakaż to prześliczna willa! rzekła oparta o balustradę statku Alodya, podnosząc rękę ku prawemu brzegowi Elby.

— To willa następcy tronu! odparł Prosper i podał Alodyi binokle.

— Willa następcy tronu? podjęła pani Patrycyja z niejakiem zadziwieniem, sądziłam, że ona jest na Nowém-mieście!

— Zapewnie masz pani na myśli tę pyszną willę z wieżycą!...

— Tak jest! To przecież jest coś królewskiego!

— To willa — Renza!

— Renza?... Czyż to być może, aby człowiek, który na koniach koziołki wywraca mógł komfortem równać się następcy tronu?

— Jeśli za te koziołki tyle pieniędzy uzbierał, to można mu przebaczyć! odpowiedział jakiś Podolak błędny, ale są ludzie, którzy koziołki przewracają i za nie jeszcze drogo płacą!

Pani Patrycyja niedosłyszała ostatnich słów mówiącego, bo jakiś znakomitszy znajomy zagadnął ją w tej chwili.

Prosper tylko słyszał i zamyślił się.

Statek płynął z powagą dalej i powoli wsuwał się w dolinę coraz węższą, zamkniętą z obu stron skalistymi górami.

— Jest mi coraz duszniej! ozwała się Alodya do Prospera, czy i pan czujesz to?

Prosper pomyślał chwilę, uśmiechnął się i rzekł:

— Moje oko przyzwyczailem do małych przestrzeni, nie szukając dalekich horyzontów!... Dla tego wolno oddychać mogę piersią nawet w tej ścieśnionej dolinie, a nawet mogę zapomnieć o tém, że tam za tym wałem kamiennym jest świat szeroki, są ludzie, miasta i narody!...

— Pan poruszasz zawsze strunę, którą chciałabym zmusić do milczenia...

— Jeśli to milczenie jest pani potrzebne do szczęścia...

— Szczęścia?... przerwała z westchnieniem Alodya
— cóż jest szczęście?

— Cóż jest szczęście?... Szczęście nie ma żadnej definicyi. Jest ono uczuciem, uczuciem przyjemném i słodkiem, które nam osładza codzienne ciężary życia!

— A jeśli wybieramy sobie życie bez żadnych codziennych ciężarów, czyż wtedy nie można się obejść bez tego szczęścia, o którym pan mówisz?

Prosper patrzył czas niejaki w oczy Alodyi. Oczy te były teraz przysłonione do połowy rzęsą jedwabną. Blask ich był przyćmiony jakąś mgłą przezroczystą. Patrzyły one na jakiś obraz zawieszony w powietrzu.

— Życie bez pewnych ciężarów, odpowiedział po chwili Prosper, jest wprost niemożliwe, tak jak wszystko na świecie. Wszystko ciąży do jakiegoś punktu i to tworzy jego egzystencyą. Ciężary życia można nazwać jakim bądź inném słowem, można nazwać obowiązkami, pracą, ambicyą, nawet namiętnością — ale bez nich nie ma życia, tak jak z samego cukru nie można stworzyć potrawy codziennego jedzenia!

— Pan dzisiaj jesteś moralistą — nie lubię dzisiaj pana!

— Słowa te nie zamykają mi jednak nadziei, owszem pocieszają mnie, że innym razem...

— Lubiałam pana... i zawsze lubię, gdy pan nie uderzasz w struny zbyt poważnie!

— Z tego mego dziwnego usposobienia możesz pani wiele wnosić. Tylko ludzie bez wrażeń mogą być zawsze w lekkim humorze, który radzi dowcip codzienny i pozwala nam zgrabnie rzucać słówkami jak akrobata ołowianymi kulami!

— A może to byłoby przyjemniejsze — dla mnie!

— Nie pojmuję dzisiaj pani!

— Bobym może nie czuła jednego z tych ciężarów życia, o których pan niedawno wspominałeś!

Rzekłszy to uśmiechnęła się rozkosznie Alodya i wykręciła się szybko na wysokim obcasiku, aby w jej oczy dłużej nie patrzył.

— Jak się pani ten browar podoba? zapytał ją w tej chwili książę — wyrabiają w nim rocznie czterdzieści tysięcy beczek piwa!

— Nieoceniona fabryka marzeń i — snu spokojnego! odpowiedziała z dowcipnym uśmiechem Alodya.

— Co pani z tych obojga wybiera?

— Podzielimy się! Jeśli książę wybierzesz jedno — ja wybiorę drugie!

Książę spojrział na Alodyę i skrzywił się.

— Ta kobieta intryguje mnie coraz więcej, rzekł do swego przyjaciela, hrabiego von der Au — czasami zdaje

się, że sama mi się narzuca, a gdy do niej się zbliżę, odwraca się i zamyka mi drzwi przed nosem!

— *Wahrhaftig, ein interessantes Wesen!* odpowiedział hrabia i spojrział przez szkiełko na Alodyę, która oparta o balustradę patrzyła na fale Elby, wymykające się z pod koła statku.

— Dzisiaj jesteśmy wszyscy szczęśliwi! ozwała się do księcia pani Patrycyja z radosnym wyrazem na twarzy.

— Miałbym być szczęśliwszym jeszcze! odparł książę smutno i zamyślił się.

Twarz pani Patrycyi zajaśniała jeszcze radością. Odgadła, co znaczy ta skarga księcia!...

XXXIII.

PRZY RUINIE.

Wycieczka do Saskiej Szwajcaryi udała się wybornie. Wszyscy byli zadowoleni.

Książę po książęcemu ubawił całe towarzystwo.

Obiad zjedzono na Bastej przy którym wygłaszano wiele dowcipnych i poetycznych toastów. Gospodarz wycieczki zapomniał nawet że jest Niemcem i z prawdziwie polską rozrzutnością nakarmił i upoił swoich gości.

Ztamtąd udano się konno do Koenigsteinu. Poważniejsze matrony odbyły tę podróż w lektyce.

Podziwiano tę jakby na okaz zbudowaną fortecę, patrzano czas niejaki z zawrotem głowy na jej strome, skaliste ściany, podziwiano piękne widoki i działa wałowe z herbami zjednoczonymi Saksonii i Rzeczypospolitej polskiej, bawiono się także olbrzymiemi szczątkami piwnego króla Gambrynusa, wyrzeźbionego na cześć „Augusta Monego“... potem spuszczone się znowu do statku i wśród tysiąca lamp kolorowych powrócono do miasta.

Na drugi dzień kazała znowu pani Patrycyja pannie służącej napisać długi list do kamerdynera z opisem tój księżęcej wycieczki i do tego dodać, że zamąż pójście Alodyi już jest postanowione, rozchodzi się tylko o termin ślubu, i czy ma się odbyć w Paryżu u św. Magdaleny w „chappelle des mariages“ czy w Londynie w kościele św. Rocha!...

Jakkolwiek przez pozostałego w parafii kamerdynera podobne wiadomości w mgnieniu oka rozchodziły się po sąsiadach, pani Patrycyja napisała jeszcze długi list do pana Ansgarego w kwestyi dział Koenigsteinu i ich herbów sasko-polskich, a przytém nawiasem opisała na dwóch osobnych arkuszykach papieru całą wycieczkę której gospodarzem i bohaterem był sam książę de Nassau, konkurent Alodyi!

Opinia parafii była tą wiadomością jeszcze bardziej podrażnioną!...

Pani Patrycyja jednak gotowała dla niój nowy ferment...

Niemieckiego księcia potrzeba było w ustawicznym ruchu utrzymywać. Flegmatyczny jego charakter wymagał koniecznie tego ruchu.

Trzeba było wciągnąć go w sieć coraz więcj.

Kosztowne przyjęcia i kosztowniejsze jeszcze wycieczki wkładały na księcia pewne obowiązki.

Najprzód musiał książę wyłożone dla niego pieniądze w dwójnasób oddawać, bo tak nakazywało mu jego stanowisko towarzyskie.

Pieniądze te oddawał w różnych improwizowanych wycieczkach, które wiele kosztowały, ale które również

wciągały go coraz więcej w nastawione przez panią Patrycyę sidła.

Pani Patrycyca wiedziała dobrze, że podobne stosunki każdego szlachetnego człowieka obowiązują. Niemiecki książę był człowiekiem szlachetnym i według zdania pani Patrycyi, nie mógł sobie robić tak lekkomyślnej igraszki.

W dalszym więc ciągu swoich planów, niejako w odwet wycieczki w góry saskie, urządziła pani Patrycyca kosztowną wycieczkę do ruin Tarandtu w powozach.

Dwadzieścia pysznych powozów zawi ożło ochoczych gości do lesistych okolic Tarandtu, którzy na koszt pani Patrycyi bawili się tam różnemi sposobami przez cały dzień.

Oglądano ruiny starego zamczyska, starannie przez poczciwych Sasów jako kapitał krajowy utrzymywane i długo rozprawiano nad fantazją polskiego szlachcica, który pod temi ruinami wybudował sobie rozkoszną willę...

— Ruiny i willa, mówił książę, to ubliża jedno drugiemu.

— Trzeba dodać, że to mieszkanie polskiego szlachcica, zauważył Prosper.

— Być może, że to da się jakoś wytłumaczyć, odparł z uśmiechem książę de Nassau.

W powrocie zwiedzano sławny browar, zwany „Bergkeller,” przez który przechodzi kolej żelazna.

Tu znowu miał sposobność książę powiedzieć coś o sławném piwie, przechowywaném w niezmiernych piwnicach, w skale góry wykutych, i w zamian usłyszał znowu od Alodyi jakąś odpowiedź nie bardzo smaczną,

która spowodowała znowu przemówienie jego do hrabiego von der Au.

— Zaczynam się obawiać o siebie! Ta kobieta jest w stanie zrobić ze mnie szczęśliwego niewolnika!

— Nic dziwnego! odpowiedział hrabia, leży to w naszym charakterze narodowym!

— Jak to pojmujesz hrabia, zapytał z chmurką na czole de Nassau.

— Rzecz bardzo prosta, odparł jowialny hrabia, jesteśmy podobni do flamandzkiej szkapy. Póki na nas nikt nie siądzie, póty mamy głowy spuszczone i szukamy chwastów na ziemi. Gdy pierwszy lepszy chłop na nas wyskoczy, to zadzieramy głowę do góry i wierzgamy jakbyśmy nieśli na sobie — Cezara!

— Jakież to powinowactwo ma z panną Alodyą?

— Zamiast Cezara — posadź księżę Junonę!

— Junonę? powtórzył księżę z uśmiechem — ja ci powiadam hrabio, to nie żarty... to prawdziwa Junona!...

Hrabia włożył znowu szkiełko do oka i spojrzał z uwagą na Alodyę, która na stoku góry stała w pozie poetycznej. opromieniona purpurowym światłem zachodzącego słońca...

Matka patrzyła na nią z rozkoszą.

— Gdyby kto z parafii widział w tej chwili Alodyę w takim otoczeniu, olśnioną takim blaskiem..

O słońcu w tej chwili nie myślała pani Patrycja.

XXXIV.

K A T A S T R O F A.

W przeciągu dwóch miesięcy wyczerpano do dna wszystkie rozkosze Drezna, które dla ludzi skromnych nie są zbyt drogie, ale za które pani Patrycja bardzo drogo zapłaciła. Chodziło jój bowiem o to, aby znacznemi wydatkami stworzyć w koło siebie atmosferę wielkich dóstatków.

Książę używał, jak się wyrażał, tój sielanki z całym zapalem flegmatycznego swego temperamentu, wpatrywał się całemi godzinami w piękny profil Alodyi, przynosił jój wyszukane kwiaty, słuchał muzyki — ale nad to nic więcej nie robił.

Niemiecki ten platonizm zaczął niepokoić panią Patrycję. Książę widocznie kochał się w pięknej Polce, ale granice jego uczucia nie dosięgały bynajmniej sakramentalnych granic małżeństwa.

Pani Patrycja obliczyła swój pugilares i westchnęła. Był tam znaczny, bardzo znaczny ubytek. Trzeba było całą rzecz raźniej do końca prowadzić.

Pani Patrycyja zmieniła system kampanii.

Tłumne zebrania i wycieczki miały wprawdzie pewien afekt sceniczny, ale przeszkadzały zbliżeniu się dwojga kochanków. Co trzeba było dla efektu już się zrobiło, teraz wypadło cofnąć się w jakieś zacisze romantyczne, i wziąć z sobą księcia.

Plan ten udał się wybornie.

Pani Patrycyja oświadczyła księciu, że chce zwiedzić z Alodyą brzegi Renu i tylko to ją od wykonania tego planu wstrzymuje, że obawia się utracić tak miłego towarzysza, jakim dla nich dotąd był książę.

Księżciu była ta propozycja bardzo na rękę. Już i tak w stolicy saskiej zwrócił zanadto na siebie uwagę, co mu wcale nie było przyjemnym. Podróż po brzegach Renu mogła go zupełnie od ludzi odosobnić i pozwolić mu przeżyć kilka tygodni w platonicznych swoich marzeniach obok kobiety, która dziwnym sposobem trzymała go na uwięzi.

Zgodził się więc na ten projekt i obiecał damom, że im towarzyszyć będzie, gdyż i tak chciał podobną przejażdżkę odbyć. Z sobą wziął tylko hrabiego von der Au, swego przyjaciela.

Pani Patrycyja uznała również za stosowne zaprosić z swojej strony Prospera a to z powodów dosyć ważnych.

Najprzód chciała, aby Prosper zatrudniając hrabiego pomógł tym sposobem do większego zbliżenia się księcia do Alodyi, powtóre uważała go za wyborny ferment dla flegmatycznego Niemca, który w Prosperze widział rywala chociaż nie bardzo niebezpiecznego, ale zawsze

rywała, który bardzo skutecznie oddziaływał na jego powolność.

Prosper prawdopodobnie odgadł rolę jaką mu przeznaczono, ale zachowanie się Alodyi dodało mu otuchy, że téj roli użyje na swoją korzyść w taki sposób, że pani Patrycyja mimowoli swojej dopomoże mu do osiągnięcia zamierzonego celu.

Być może także, że strach przed człowiekiem w parafii, który mógł debiutantki w nieswoich rolach skompromitować, przyczynił się także do nadzwyczajnej łaski, z jaką traktowała teraz Prospera pani Patrycyja.

Zapakowano więc kufry i z wielkim żalem gospodarza hotelu saskiego wyjechano koleją lipską.

Podróż była rozkoszna, poetyczna. Pani Patrycyja starała się na każdej stacyi otoczyć siebie i córkę atmosferą ludzi bardzo bogatych, co nadzwyczaj wiele talarów związkowych kosztowało, nie licząc w to bawarskich i badenńskich.

Książę nie zmienił swojej roli. Był sumiennym adoratorem Alodyi, był grzecznym towarzyszem podróży, obsługiwał nawet czasem damy, na Prospera kilka razy na godzinę krzywem okiem patrzył—ale nad to wszystko nic więcej nie robił!

Przejechano Ren tam i napowrót, zwiedzano najznakomitsze winnice, wdrapano się na kilka gór niewielkich, ale billans tych wszystkich przyjemności nie był dla pani Patrycyi zaspakajający.

Wreszcie z końcem lipca postanowiła pani Patrycyja zamknąć rachunek.

Książę pewnego wieczora napomknął coś o odjeździe. słówko to sprawiło takie wrażenie, że Prosper uznał za rzecz stosowną dla zrównoważenia sytuacji kilka słów od siebie pani Patrycyi powiedzieć.

Zaraz na drugi dzień, gdy pani Patrycyja po herbacie w altanie na brzeg Renu wyszła zostawiając w altanie Alodyę i księcia, zbliżył się do niej Prosper i po kilku słowach obojętniejszych rozpoczął:

— Nie weźmiesz mi pani za złe, jeśli ośmielę się zwrócić uwagę pani...

— Na księcia? przerwała szybko pani Patrycyja — dziękuję panu za tę troskliwość. Dowodzi ona, że pan Alodyi bardzo dobrze życzysz!

— Dziwna rzecz, że ta troskliwość dla panny Alodyi schodzi się z własnym moim interesem...

— Przyjaźń dla nas nazywasz pan interesem... to bardzo dobrze! Tém więcéj możemy na nią liczyć!

— Jestem niezrozumiany!

— Sądzę, że dla nas najlepiej będzie, jeśli na tém niezrozumieniu się poprzestaniemy. Wszystkie wyjaśnienia zazwyczaj szkodzą stosunkom serdecznym!

Prosper pomilczał chwilę.

— Mógłbym to wziąć za odpowiedź, rzekł po chwili, gdybym nie miał do wyrzucenia, że wziąłem odpowiedź bardzo niejasną.

— Mówiliśmy o księciu... czy nie widzisz pan, że książę Alodyę kocha?

— A panna Alodya?

— Czyż można wątpić, aby która kobiéta mogła być obojętną na afekt księcia *de Nassau*?

— Zdaje mi się, że właśnie jest nią panna Alodya!..

— Moja córka zawsze wie co robi! odparła z dumą pani Patrycyja i wydeła usta.

Prosper westchnął.

— Chciałeś pan odpowiedzi jasnej panie Prosperze — rzekła po chwili pani Patrycyja podając rękę nie-szczęśliwemu konkurentowi — daję ją panu ale przyobiecuj mi pan, że się na nas gniewać nie będziesz, że zostaniesz nadal naszym przyjacielem, jakim dotąd byłeś!

Prosper w milczeniu słuchał dalej.

— Trzeba przedewszystkiém, mówiła pani Patrycyja, być wyrozumiałym na pozycyę ludzi. Pozycya nasza jaką w świecie zajmujemy zmusza nas do pewnych komicznych abnegacyj, o jakich inni ludzie nawet wyobrażenia nie mają!... Często trzeba nawet zadać gwałt własnemu sercu, trzeba wylać wiele łez i wiele nocy bezsennych przebyć.... ale ustąpić z zajętej pozycyi nie można!... Rozumiesz mnie pan teraz?..

Prosper nie miał czasu, aby na to dać jakąś odpowiedź, bo w téj chwili wyszła Alodya z altany a za nią z chmurką na czole książe.

— Czy zgadzasz się z tém Alodyo, com w téj chwili panu Prosperowi oświadczyła? rzekła do niej matka mrugając na księcia.

— Ja zawsze zgadzam się z mamą, odparła smutno Alodya i sympatycznym głosikiem swoim rozpoczęła kilka taktów ulubionej pieśni: „Ostatnia róża...“

— Tym razem niech się pani nie zgodzi! ozwał się książe z błagalnym wejrzeniem — proszę, zaklinam panią nie czyń tego!

— Czy widzisz księżę w tém jakie niebezpieczeństwo dla mnie? zapytała ciekawie Alodya.

— Tak jest... dla pani i dla — siebie! odpowiedział księżę i zamyślony postąpił bliżej brzegu.

Skorzystała z téj pauzy pani Patrycyja.

Właśnie na ścieżce od altany pojawił się hrabia von der Au.

Pani Patrycyja zbliżyła się do niego.

— Mości hrabio, rzekła do niego z miną urzędową, prosiłabym na jedno słówko!

— Służę pani, odparł hrabia podając rękę pani Patrycyi.

— Chciałam z panem mówić o rzeczy tyczącej się księcia... pan mnie rozumiesz!

— Rozumiem... a nawet mam polecenie od księcia odpowiadać w téj delikatnej rzeczy jego imieniem.

— Przyznasz pan, że zachowanie się księcia względem mojej córki, wkłada pewne obowiązki na niego, wyjaśnienia nam swojej sytuacji...

— Żądanie najsluszniejsze! Jestem na usługi!

— Córka moja i ja wytłumaczyłyśmy sobie to zachowanie się, że księżę ma...

— Najserdecniejszy afekt dla pań, jak to stwierdził trzechmiesięcznym zachowaniem się swoim...

— I na moją córkę rzucił pewną opinię, której, bez ubliżenia jej i sobie, wypadaloby zadość uczynić!

— Zdaje mi się, że sytuacja była bardzo jasna!

— Dla mnie niezupełnie!

— Księżę przecież nie może się wyrzec swojej pozycji!

— Swojej pozycyi?

— Dla pozycyi księcia trzeba mieć wyrozumiałość!

— Nie rozumiem pana!

— Często pozycya, jaką kto w świecie zajmuje, zmusza go do ofiar najboleśniejszych o jakich inni ludzie nawet wyobrażenia nie mają! Często przychodzi spełniać taką ofiarę z największym wysileniem, trzeba jej oddać najpiękniejsze chwile życia, i rzucić za sobą jak drogie perły, z których może tylko wyrość gaj pełen klejnotów — wspomnienia.

— Co pan mówisz! Więc książę miałby...

— Odwagę... te piękne chwile przerwać na zawsze!

— Zamiast *odwagi* chciałam powiedzieć co innego!

— Dla tego uprzedziłem panią, bo nie miałbym sposobu w obec pani bronić honoru mego wysokiego przyjaciela!

— Podam panu tę sposobność... panie Prosperze pójdź pan do nas... jak nazwałbyś pan zachowanie się kogoś względem Alodyi, gdyby przyjaciel jego chciał to do płochój zabawki zredukować?

Prosper poznał o co rzecz idzie.

Spojrzał na panią Patrycę.

Pani Patrycja była nadzwyczaj rozdrażnioną.

W gniewie i oburzeniu zapomniała, że przed chwilą prawie te same słowa powiedziała Prosperowi, które w tej chwili usłyszała od hrabiego imieniem księcia...

Prosper szybką myślą objął całą sytuację. Spodziewał się dawno takiej katastrofy i wyczekiwał ją. Teraz ona nadeszła...

Do jego zwycięstwa konieczną była taka katastrofa.. Złożyła się ona jeszcze lepiej, niżeli się spodziewał... Zawezwano go, aby wziął czynny udział w tej katastrofie... Taki udział był dla jego marzeń korzystny... Zresztą uważał za swój obowiązek stanąć teraz w obronie Alodyi, której chciano ubliżyć... Mimo odpowiedzi matki serce dyktowało mu tę obronę...

— Nazwij pan po nazwisku takie postępowanie! rzekła drżąca ze złości pani Patrycja.

— Jeżeli tu jest mowa o zachowaniu się pewnej osoby względem panny Alodyi, na co sam patrzyłem, odparł spokojnie Prosper—to zachowanie się takie nie można inaczej nazwać jak tylko — nikczemném!

Hrabia nie na to nie odpowiedział tylko się skłonił i odszedł.

Prosper zrozumiał to.

Jeszcze tego samego dnia przeszli obaj granicę i udali się do Szwajcaryi.

Nazajutrz rano odbył się pojedynek.

Prosper lekko draśnięty w nogę musiał kilka dni zatrzymać się w miejscu pojedynku, a gdy napowrót do willi z altaną zdążył, nie zastał już tam ani księcia ani Alodyi.

XXXV.

W SZCZAWNICY.

Pora kąpielowa w Szczawnicy była już na schyłku. Jak to się zazwyczaj u naszych wód dzieje, dopiero przy końcu pory zaczyna towarzystwo kąpielowe więcej z sobą harmonizować.

Harmonia taka sprzyja powszechniej zabawie, toż pod koniec pory, w przededniu rozjazdu gości, zaczynają się dopiero stosunki ożywiać.

Tego roku Szczawnica była dosyć ożywiona. Zeszłego lata przyszło tu do skutku kilka małżeństw, czém zachęceni kawalerowie i panny zjechali się tego roku liczniej niżeli zwykle, szukając wzajemnie wyśnionych i wyrachowanych ideałów.

Pomiędzy mężczyznami tegorocznego zastępu odznaczał się pewien młody człowiek, który zaraz na wstępie ściągnął na siebie powszechną uwagę.

W kaplicy miejscowej odbywało się właśnie nabożeństwo niedzielne, gdy nagle przy konfesyjonałe okazał się młody mężczyzna czarno ubrany z twarzą bladą i małą książeczką z wyłoczonemi brzegami w ręku.

Przyklął pokornie przy kapłanie i rozpoczął spowiedź bardzo długą...

W drugiej połowie dziewiętnastego wieku nie widziano jeszcze takiego penitenta, który ufryzowany à la Byron, w rękawiczkach paryzkich, w wytwornym tuzurku klęczał w kościele jak prosty grzesznik i w obec wszystkich dam wielkiego i małego świata przyznawał się do długiego rejestru grzechów swoich!...

Dla szczawnickich gości było to widowisko niesłychane!

Wypadek podobny w parafii narobiłby był także nie mało hałasu, cóż dopiero w Szczawnicy, gdzie jest zbiór gości, do podobnych efektów nieprzyzwyczajonych!

Całe nabożeństwo niedzielne było tym wypadkiem sprofanowane. Nikt nie myślał o Bogu, nikt się nie modlił, tylko każdy pytał drugiego, kto jest ten człowiek, którego wytworny ubiór dziwnie odbija od korzącego się w prochu pokutnika?...

Drażliwszych nerwów kobiety nie mogły sobie dać rady, aby wszystkie pytania na raz wypowiedzieć!

— Kto może być ten młody, przystojny człowiek? Jakże on dziwnie odbija od innych tuzinkowych ludzi! Patrzcie jaki piękny wyraz twarzy, co za oko pełne wyrazu, a jak skromny! To ideał wcielony!... Któż on może być? Ma maniery człowieka wielkiego świata — ba i nabożność ta jest cechą wyższej arystokracji — dziś tylko arystokracja modli się z taką odwagą... Ach cóż to za jedyny człowiek w tym bezbożnym wieku!... Moznaby szukać za nim!...

Tak mówiły, myślały i marzyły kobiety!

Tymczasem dowiedziano się, że nieznajomy penitent przyjechał w nocy pocztą do zakładu, wziął sobie pomieszkowanie w tak zwanym pałacu na pierwszym piętrze z obszernym krużgankiem na źródło Józefiny, i zapisał się do listy gości:

— Juliusz Alfons Maryan hr. Ossoliński.

— Ah! Ah! wołały kobiety, teraz, nic dziwnego, że takie wrażenie sprawił!...

Tak zwany hrabia Ossoliński trzymał się zdala od gości szczawnickich. Jednemu Podolakowi, który przywoił sobie rządy towarzystwa szczawnickiego i każdego znajomego i nieznajomego napadał, odpowiedział hrabia Ossoliński bardzo grzecznie i z wielką pokorą, że jako chory przybył do wód i postanowił żyć w zacisznym odosobnieniu.

Gdy Podolak zgromadzonym kobietom tę odpowiedź hrabiego Ossolińskiego zakomunikował, zawołały kobiety jednogłośnie, że taki człowiek wart jest największych ofiar z ich strony!

I ofiarnych było wiele, ale hrabia Ossoliński odpierał mężnie wszelkie pokusy, w jakiejkolwiek postaci one go napastywały.

W tym samym prawie czasie mężkie kółko kąpielowych niemniej zaintrygowane było przybyciem dwóch cudzoziemców, z których jeden był Hiszpanem a drugi Francuzem.

Hiszpan oczywiście był grandem a Francuz markizem z wstążką orderu legii honorowej.

Obaj przybyli do Szczawnicy innemi drogami. Jeden z Krakowa drugi z Szmeksu, i wzajem siebie nie znali.

Ponieważ to byli ludzie nie młodzi i bez żadnego efektu w towarzystwie kąpielowem się zjawili, nie sprawili między kobietami takiego wrażenia jak hrabia Ossoliński.

Za kilka dni jednak w pewnych męzkich kółkach mówiono o nich z pewną ciekawością.

Obaj cudzoziemcy nudzili się i nudy swoje chcieli rozerwać grą w karty.

Zapoznali się obaj przy liczniejszych świadkach i zaproponowali sobie grę — dla rozrywki.

Hiszpan przystał — Francuz dał bank.

Gra szła bardzo ciekawie. Rulony złota przesuwaly się ustawicznie to do jednego to do drugiego. Liczni spektatorowie otoczyli grających...

Na nieszczęście tego samego wieczoru zaczął deszcz padać. Deszcz w Szczawnicy to jedna z siedmiu plag egipskich! Prócz dwóch restauracyj nie ma żadnego miejsca publicznego, gdzieby się goście razem zejść mogli. Pomieszkania za szczupłe aby u siebie w domu gości przyjmować, zresztą brak jest potrzebnych do tego sprzętów. Kobiety więc muszą w pokojach swoich siedzieć jak w więzieniu, a mężczyźni siedzą w restauracji — jedzą albo grają!

Cóż więc dziwnego, że w takim razie niektórzy z pacjentów czują, niepowściągniętą ochotę do tych kartek malowanych, które podczas deszczu sprawiają czasem tak jasną pogodę.

Otóż Hiszpani i Francuzi znaleźli zaraz więcej amatorów. Z początku nieśmiało przyłączył się jeden Poznańszczanin, za nim poszły Litwa, Galicya i Podole.

Ruch koło stolika z zielonym sukmem zaczął się coraz więcej ożywiać.....

Grano noc całą aż do rana.

Szczęście tym razem posłużyło—Hiszpanowi.

Francuz zgrał się do koszuli, a za nim jakby dla sympatyj zgrała się Litwa, Galicya, Księztwo, i Podole.

Nazajutrz telegraf miejscowy roznosił do Litwy, księztwa i na Podole prośby — o pieniądze!

Francuz telegrafował do Londynu.

Nim jeszcze świeże posiłki nadciągnąć zdołały, poczyniono na miejscu tymczasowe pożyczki i rozpoczęto grę — aby się odegrać!

Francuz rzeczywiście odegrał się — ale Hiszpan za to stracił wszystko.

Dziwna rzecz, że z Hiszpanem, jakwtedy z Francuzem przegrały także Litwa, Ukraina, Galicya i księztwo!..

Dały się słyszeć jakieś głosy, rzucające podejrzenia różne na cudzoziemców!

To spowodowało wystąpienie hrabiego Ossolińskiego z jego dotychczasowego odosobnienia.

Chciał się ująć za swemi rodakami.

Wysłuchał jednej i drugiej strony i dla przekonania się, czy cudzoziemcy rzeczywiście fałszywie grają, siadł z nimi do gry.

Była to dziwna walka, walka Horacyuszów!

Ossoliński grał zimno, jak człowiek wytrawny i bardzo zamożny. Pierwsze straty nie zapalały go bynajmniej. Z marmurową twarzą śledził kapryśków fortuny...

Od południa do północy trwała walka! Cały zgromadzony naród szczawnicki przypatrywał się swemu

bohaterowi. Kobiętom co pięć minut roznoszono biuletyny...

O północy nadszedł biuletyn i Francuz i Hiszpan pobici na głowę... Ossoliński wygrał bajeczne sumy!...

Oklask powszechny dano szczęśliwemu zapaśnikowi, ale oraz stwierdzono, że Francuz i Hiszpan nie grali — fałszywie.

Za dwa dni nadeszły z zagranicy kredytyry do bankierów krakowskich dla cudzoziemców — a Litwa, księztwo i Galicya wystąpiły znowu do boju!

Fatum jednak istne prześladowało nieszczęśliwe ziemie. Znowu skończyło się na przegranéj.

Osobna deputacya oświadczyła hrabiemu Ossolińskiemu, że się dobrze zasłużył Szczawnicy i prosiła go, aby znowu zaczął być jak drugi Attyła chłostą bożą dla nieprzejednanych cudzoziemców...

Nabożny hrabia nie chciał być tym razem narzędziem opatrności boskiej oświadczając głośno, że w karty nigdy nie gra, gdyż to gra przez szatana wymyślona. Zgodził się jednak za ich pieniądze rozpocząć walkę ze smokami apokaliptycznymi i odbić ich przegraną.

I znowu rozpoczęto walkę — zemsty.

Tymczasem szła walka wielkim oporem. Pot lał się strumieniem z bladego czoła bohatera. Wreszcie za trzydzieści godzin ogłoszono ostatni biuletyn, który brzmiał że piątą część przegranych przez Litwę, księztwo i Galicyę pieniądze szczęśliwie napowrót odegrano!

Litwa, Galicya i księztwo wyprawiły za to znakomite owacye swemu bohaterowi, który jak drugi Cyncy-

nat cofnął się od laurów swoich do swego krąganku, na którym w malowniczej pozie zwykł był francuzkie i angielskie romanse czytywać.

Tak stały rzeczy w Szczawnicy, gdy telegraf z Krakowa zamówił opróżnione właśnie mieszkanie „pod Bogarodzą“ na piérwszém piętrze.“

XXXVI.

DAWNY NIEZNAJOMY.

Pani Patrycja była teraz w położeniu człowieka, który wyszedł z domu w nadziei, że zje tort cały, a tymczasem skończyło się — na bułce.

Po rozstaniu się z księciem, który tyle złotych marzeń zabrał z sobą i talarów pruskich, po niektórych jeszcze innych pobieżnie podjętych projektach, które wszystkie skończyły się na niczém, postanowiła pani Patrycja uczynić krok rozpaczliwy — udać się do Szczawnicy!

Szczawnica przy bliższém rozpatrzeniu się nie była pozycją tak bardzo rozpaczliwą.

Najprzód wyobrażała ona małe, skromne ramki w których tak wielki obraz, jakim była pani Patrycja z Alodyą mógłby się bardzo okazać wydać!

W Dreźnie, nad Renem, w Paryżu—nawet w Wiesbaden, gdzie dwa tygodnie przepędziły — zawiele jest okazji pysznych, imponujących, efektownych, aby między niemi zupełnie nie zginąć!

W skromnej Szczawnicy zaś można olśnić, oczarować, — zająć najpiérwsze miejsce!

A zrobić coś trzeba było koniecznie, bo talary już poszły a guldenów bardzo mało się zostało! Prócz tego ów „mały nieznajomy“ był nieubłagany a termin podpisanego pisma zbliżał się nielitościwie z każdą sekundą....

Takie myśli spowodowały panią Patrycyę, że z sze-rokiój areny świata przybyła do skromnych wód krajowych, aby tam marzeń swoich odszukać, które nad Renem tak haniebnie ją opuściły!...

I niebo tym razem sprzyjało jój.

Zaledwie bowiem Alodya, odpocząwszy chwilę w zgrabnym negliżyku, na galeryę domku „pod Bogarodzica“ wyszła, aby kąpielowemu towarzystwu *au vol d'oiseau* się przypatrzeć, piérwsze jój wejrzenie dziwnym sposobem padło na sąsiedni krużganek, na którym właśnie siedział rozparty hrabia Ossoliński z książką w ręku.

Ich oczy spotkały się z sobą.

Alodya zarumieniała się — krzyknęła z cicha i uciekła do matki.

— Mamo! Mamo! wołała na progu cała blada.

— Cóż ci jest! Cóż ci jest! pytała przestraszona matka.

— Mamo!.. Ten... ten... młody mężczyzna...

-- Jaki mężczyzna?

— Ten młody, przystojny... co to w kościele parafialnym... przypominasz sobie mama?...

— Spowiadał się?

— Tak... tak... spowiadał się!

— Może ci się przywidziało?

— Nie mam, jak mamę kocham... on sam...

Pani Patrycja patrzyła czas niejaki na Alodyę:

Potém uśmiechnęła się, pocałowała ją w czoło i rzekła:

— Po cóż tak się zaraz alterować!... Jest?... to do-
brze. Poznamy się bliżej!... Miałam jakieś dziwne prze-
czucie, które mi w te góry jechać kazało...

Alodya wstrząsnęła się jakby nagle przyszła do siebie.

Dla czego mama tak mówisz? rzekła do matki z ma-
łą chmurką na czole.

— Któż wie, gdzie go los jego czeka? odpowiedziała
matka.

— Czasami szukając tego losu, gubimy to, co mamy!

— Przecież ty Alodyo tego powieźć nie możesz!

— Czyż zaguba marzeń naszych nie może być tak
samo bolesną jak strata osób?

— Na marzenia nie mamy już czasu!

— Czy jestem już tak stara?

— Brak pieniędzy jest większym nieszczęściem od
starości.

Alodya westchnęła i zadumała się.

Pani Patrycja zakąsiła usta, bo w téj chwili przecią-
gnęły jęj przed oczyma owe misternie giloszowane obraz-
ki pruskich, lipskich, bawarskich i badeńskich bankno-
tów, których tyle a tyle poszło napróżno!

— Mój Boże, pomyślała sobie, jakby to nad nami
tryumfowała parafia nasza, gdybyśmy z próżnemi rękami,
bez żadnej zdobyczy do domu wróciły... Cóżby się stało
z temi listami o księciu de Nassau? Wstyd, hańba na wie-
ki!... Nie, tak wracać nie można, opinia parafialna wzięła-
by nas na języki!... Nie to być nie może... Pan Bóg ła-

skaw... może to on w ostatniej potrzebie zsyła nam ratunek w osobie tego nieznanego, który tak dziwnie nam się po raz pierwszy zaprezentował!.. Być może, że to Bóg miłosierny lituje się nad nami...

Pani Patrycja uroniła kilka łez i była przekonana, że te łzy pochwycił stróż-anioł i u stóp Boga jako dyamenty z niemałą prośbą położył...

— Ubierz się moje dziecko w tę suknię słomianego koloru, co to dla księcia... bo w niej najlepiej ci do twarzy, rzekła po chwili do Alodyi.

Alodya patrzyła przed siebie zamyślona.

XXXVII.

ZNAJÓMOŚĆ Z NIEZNAJOMYM.

Westchnienie pani Patrycyi do Boga i suknia Alodyi słomianego koloru dosyć głęboko wycięta, odniosły pożądaný skutek.

Gdy po południu „na Miodziusiu“ pani Patrycyja z Alodyą się pokazały, całe towarzystwo kąpielowe zwróciło na nie uwagę.

Pani Patrycyja umiała wybornie to, co Francuzi nazywają „la mise en scène“.

Najprzód wzięto z sobą lokaja, naumyślnie w tym celu w Krakowie najętego, w liberyi okazałój. Lokaj razem z panną służącą dodawał pewnego blasku damom kąpielowym.

Otóż lokaj ten z świecącymi guzikami nosił dzisiaj jakies okrycia cieplejsze i postępował odmierzonym krokiem tuż za paniami.

Muzyka grająca dzisiaj na Miodziusiu zgromadziła tam całe towarzystwo.

Była to bardzo piękna wystawa wdzięków i tualet kąpielowych. Niektóre z nich były wprost z Saskiego ogrodu przyniesione.

Uderzyło to wszystkich, że nawet hrabia Ossoliński pojawił się dzisiaj ufryzowany starannie. Dawniej nie był tutaj nigdy, bawiąc się w melancholijnego marzyciela.

Hrabia Ossoliński widocznie ścigał Alodyę swemi czarnemi oczami...

Alodya wyglądała prześlicznie. Jasne włosy rozpuszczone na białe ramiona czyniły ją podobną do eterycznej rusalki... Wszystkich oczy były na nią zwrócone... Patentowane królowy pory kąpielowej ostrzyły ząbki swoje na niebezpieczną rywalkę, która nie rywalizując już zwyciężyła.

Podziwienie a nawet i zazdrość doszły do najwyższego stopnia, gdy jakiś mało znany podagrzysta wziął hrabiego Ossolińskiego za rękę i — damom świeżo przybyłym przedstawił!

Towarzystwo kąpielowe nie słyszało już teraz muzyki! Zapytania bez odpowiedzi, odpowiedzi bez zapytania, wyjaśnienia, komentarze, uwagi i zdania posypały się bez końca.

Jedni byli przekonani, że to jest umówione „rendez-vous“ pomiędzy hrabią i panną i tylko dla przyzwoitości przedstawiono go matce. Inni inaczej tłumaczyli sobie to dziwne zdarzenie!

Po rozpromienionej twarzy, po oczach błyszczących widać, że pani Patrycja była w tej chwili bardzo szczęśliwa.

Melancholijny uśmiezek Alodyi przeszedł w uśmiech rozciekawienia, z którym było jej bardzo do twarzy...

Nad samym wieczorem widziało całe towarzystwo, jak pani Patrycja prowadziła hrabiego z sobą do domu „pod Bogarodzią“ na herbatę!

Noc dzisiejsza w Szczawnicy była nader niespokojna... po której nastąpiły dni burzliwe poświęcone niewinnej obmowie bliźniego...

Wszystko co żyło rzuciło się teraz na nieszczęśliwego hrabiego! Obrażona duma, nieuwzględniona pycha, głupkowata zarozumiałość, wszystko to połączyło się w jeden wielki obóz!

— Któż jest ten „tak zwany“ hrabia Ossoliński? pytano z przekąsem, — dla czegoż to unikał dotąd całego towarzystwa? Czyż mu tutaj nikt nie wyrównywał?

— Kto wie jaki to hrabia mówił drugi, przecież Ossolińskich znamy dobrze! Nie dałbym grosza za to, że jakiś awanturnik podszył się pod zacne nazwisko założyciela zakładu narodowego we Lwowie!

Najsprytniejsi rzucili się na zwiady. To jednak co z sobą przynieśli, nie wystarczało zagniewanym umysłem!

Dowiedziano się tylko, że ma paszport wołoski w którym wyraźnie stoi hrabia Ossoliński!

Z pobieżnych rozmów dowiedziano się, że ma mieć jakieś dobra pod Odessą, ale wyjątkowe stosunki zmusiły go do naturalizowania się na Wołoszczyźnie, gdzie ma być współnikiem jakiegoś banku przemysłowego.

Jakiś dowcipniś przyniósł wiadomość, że ów tajemniczy hrabia pochodzi poprostu z Sulimy i nazywa się Sulimski, które to nazwisko zostało w wołoskim paszporcie przekrecone.

Stary Ukrainiec, który dla kaszlu z pokoju swego nie mógł wyjść, dał swoim znajomym, którzy do niego przyszli, pierwsze świadectwo, że koło Odessy znał ludzi, którzy się piszą: Ossolimscy, i czasami pozornego równobrzmienia z Ossolińskimi nadużywają...

Wszystkie te wieści i plotki przebiegały całą Szczawnicę wzdłuż zacząwszy od domku „pod góralem“ aż do murów „Bogarodzicy!“

Najciekawszą była wiadomość mozolnie wyszperana przez Warszawiaka w zajeździe miejscowym.

Według jego raportu, Hiszpan, Francuz i hrabia tworzyli spółkę za pomocą gier hazardowych!

Miał na to dowody, że wszyscy ci trzej rycerze znali się doskonale a przed publiką rolę nieznajomych udawali!...

Opowiadał nawet, że późną nocą schodzili się razem i przy drzwiach zamkniętych dzielili się zdobyczą lub nowe plany układali!...

Słowem hrabia Ossoliński, jak brzmiał paszport wołoski, był niewyczerpanym przedmiotem różnych domysłów i nadzwyczaj śmiałych przypuszczeń...

Zaszło nawet pewne zdarzenie, które powyższe domysły zdawało się stwierdzać.

Gdy bowiem takie wieści o tak zwaną spółkę eksploratorów obiegać zaczęły, zniknęli z Szczawnicy obaj

cudzoziemcy, nie pożegnawszy nawet tych, z którymi tak szczęśliwie w karty grali!...

Wszystko to dawało wiele do myślenia. Myślom takim niektórzy wierzyli, a niektórzy wprost temu przeczyli. Do tych ostatnich należeli głównie ci, którzy hrabiego widzieli w kaplicy modlącego się ze złotój księżeczki, a potem spowiadającego się i komunikującego. Byli bowiem przekonani, że Pana Boga nie używa się do ziemskich spekulacyj.

Zdawało się, że w domku „pod Bogarodzicą“ o tych wszystkich wieściach nic a nic nie wiedzą!

Bawiono się tam wybornie a nawet z pewną ostentacją. Odosobniono się od reszty towarzystwa, ale na to tylko, aby tém świetniej od niego odbijać.

Pani Patrycja na mniejszą nieco skalę powtórzyła tutaj wszystko to, co w Dreźnie robiono dla księcia. Były wycieczki, przejażdżki, odbywano wyprawy na Dunajcu, w Pioniny, do Czerwonego klasztoru, do Niedzicy i Czorzstyna! Pojechano nawet do Węgier, aby zwiedzić dolinę Popradu!...

Wszystkie te wycieczki odbywały się z wielką ostentacją, która nie mało kosztowała pieniędzy.

Hrabia robił to samo, co robił ongi książę, tylko na mniejszą skalę. Za wycieczki kosztem pani Patrycyi przedsięwzięte oddawał wycieczki swoim kosztem. W takich wyprawach był rozrzutny, prawie dorównywał niemieckiemu księciu!

Pani Patrycja widziała już w nim księcia!

A cóż Alodya?

Alodya... zdawało się, nie podzielała radości matki. Była grzeczną i rozmowną, bawiła się bez przymusu, a nawet śmiała się, ale szafirowe jój oczy zasępiały się często mgłą zamyślenia, jój uśmiech był często tak smutny, jakby w samej rzeczy czuła w głębi duszy smutek nieutulony!...

Cóż mogło ją niepokoić?...

XXXVIII.

MATKA I CÓRKA.

Pewnego dnia, gdy już zimne powietrze kąpielowym gościom dojmować zaczęło, weszła pani Patrycyja do pokoiku Alodyi.

Pani Patrycyja była zaturbowana. Niespokój mławał się w jej oczach i na twarzy. Z uwagą spojrzała na Alodyę.

Alodya siedziała przy stoliku zamyślona. Białe czoło podparła drobną rączką, a szafirowe oczy zawiesiła gdzieś w powietrzu. Smutny musiał być ten obraz powietrzny, bo twarz jej pokryła się mgłą smutku.

Długi czas patrzyła pani Patrycyja na córkę. Niespokój jej rósł coraz więcej. Widocznie siłiła się, aby być odważną, ale siły niedopisywały jej.

I odwagi rzeczywiście było jej potrzeba.

Tak zwany hrabia Ossoliński był dzisiaj dla niej ostatnią deską ratunku!

Widziała że jest bogaty, bo znaczne wydatki robił i robił je z manierami człowieka, któremu podobne wydatki najmniejszej różnicy nie sprawiają!

Miał paszport legalny podpisany przez kilka konsulatów zagranicznych a w tym paszporcie nazwano go hrabią Ossolińskim. Prócz tego był salonowej ogłady, mówił wprawnie po francuzku, umiał nosić piękne nazwisko swoje... więcej nie pragnęła.

I byłoby to wszystko bardzo dobre, gdyby nie złośliwi glosaryasze, którzy powyciągali jakieś dziwaczne wieści o tym hrabi, a które to wieście niewytłumaczonym sposobem aż do niej się dostały!...

Wieści te mogły być tylko wieściami... a gdyby nawet coś w tém prawdziwego było, jak naprzykład gra w karty... mój ty Boże! Czyż młodzi ludzie nie grają w karty, czyż nie zgrywają się, nie posadzają się potem wzajemnie?.. A przecież nikt ztąd jeszcze nie wziął asumptu, aby na kogoś rzucić kamieniem i wykląć go!...

Tak rozumowała sobie pani Patrycyja i zamykała oczy na wszystkie czarne plamy, które na konterfekcie tak zwanego hrabiego coraz więcej występowały...

Obawiała się tylko jednej rzeczy — obawiała się skrupułów Alodyi. To niepokoiło ją w téj chwili i odbierało jęj odwagę rozmówienia się z córką.

Rozmowa ta była w samęj rzeczy niemalém zadaniem. Skrupuły Alodyi mogły wszystkie jęj marzenia nagle posuć, a były to marzenia — ostatnie. Po nich już nic nie było... była próżnia, straszna próżnia... upadek fortuny widoczny... i co najgorsza — była szydząca z niej Opinia parafii!

Tęj ostatnięj nigdyby nie zniosła!

Stokroć lepsze od nięj najboleńsje katusze, lepsza śmierć nawet od wstydu i hańby — w swojéj parafii!...

Alodya widziała zbliżającą się matkę, widziała, że matka we fałdach sukni swojej niesie dla niej coś ważnego, jak to z jej twarzy wyczytać było można...

Nie zmieniła jednak ani pozy, ani wyrazu, jaki w tej chwili twarz jej oblekał.

— Droga Alodyo, rzekła matka siadając koło niej, droga córko moja.

Tu głos jej zadrżał i nagle ugrzązł w krtani.

Alodya była nieruchoma jak statua.

— Niech mama mówi dalej, rzekła głosem jednolitym, tylko niech się mama przygotuje na pewne postanowienie moje, od którego odstąpić nie myślę!

Pani Patrycyja zbladła. Alodya zapowiedziała jej naprzód swój upór i oświadczyła, że w tym uporze wytrwać zamierza.

— Wiesz dobrze droga córko, mówiła dalej z ciężkim oddechem pani Patrycyja, wiesz dobrze, że życie rzeczywiste nie tak wygląda jak je nam przedstawiają w poezjach!

— Zależy to od nas samych, aby ono nie bardzo inaczej wyglądało! spokojnie odpowiedziała Alodya.

— Prawda... ale nacisk okoliczności.

— Jesteśmy zawsze paniami naszego serca!

— Serce nie zawsze przynosi nam szczęście!

— To co ono przynosi jest jeszcze najlepsze z wszystkiego!

— Obawiam się, że ono dotąd tobie nic jeszcze nie przyniosło!

— Czyż może być która kobieta tak nieszczęśliwą?

— Zdziwiasz mnie!

— Zdaje mi się, że prędej możnaby się dziwić gdybym się wszelkich wrażeń serca wyparła!

— Jestem twoją matką — winnaś mi szczerość!

— Nie umiałabym być nawet nieszczerą!

— Więc mówisz, że serce twoje...

— W sercu mojem zamieszkał człowiek, któryby mógł mi sprawić szczęście wymarzone!

Pani Patrycja rozjaśniła twarz.

— A gdyby ten człowiek... ten ideał twój... przy bliższém wpatrzeniu się miał jakie drobne, zwyczajne, ludzkie skazy.

— Na człowieku, którego kocham, żadnych skaz widzieć nie mogę!

— Więc kochasz go naprawdę? z radością zawołała pani Patrycja.

— Kocham go tak, jak kochać umiem! Być może, że inna kochałaby go inaczej.

Alodya pochyliła tu główkę i z szafirowych oczu otarła dwie łzy błyszczące.

Pani Patrycja pocałowała ją w czoło.

— Łzy twoje, drogie dziecko, rzekła z zarumienioną od radości twarzą—łzy twoje są mi rękojmią, że będziesz szczęśliwa!

— Przeciwnie... łzy te są może pomnikiem grobowym mego szczęścia!

— Zkądże ci taka melancholia?

— Nie jest to żadne przecucie, ale zimna świadomość tego co robię!

— Przecież mówisz, że kochasz!

— Powtarzam to raz jeszcze!

— Nie dziwię się temu!... Ten człowiek ma jakąś siłę przyciągającą do siebie!

— Sama jego obecność jest dla mnie szczęściem!

— Jest to człowiek szerokiego horyzontu!

— Ma rozległą naukę...

— Zdaje się, że i stosunki rozległe...

— O jego stosunkach nie myślałam nigdy—on sam mógłby dla mnie być wszystkim!

— Jako człowiek należący do wyższej sfery...

— Jeżeli się kogo kocha, stawia się tron dla niego przed niebiosami!

— Gdyby on był tutaj w tej chwili.. klęczałby u nóg twoich na podobne słowa!

— Ale... jego nie ma!

— Przyjdzie wieczorem...

— Przyjdzie?... Przyjdzie?... Nie, to być nie może! Mama mnie łudzi tylko! Nieprawdaż?

— Przed godziną mówił ze mną..

— Przyjechał? Jest?... To źle! bardzo źle!

— Przecież hrabia Alfons nie wyjeżdżał!

— Hrabia Alfons? ..

— O kimże myślałaś?

— O panu Prosperze.

— O panu Prosperze! krzyknęła pani Patrycyja i posiniała na twarzy.

Kilka chwil trwało grobowe milczenie.

Pani Patrycyja stała z podniesioną od zadziwienia ręką. Usta miała otwarte, oczy nieruchome.

Alodya była spokojną jak posąg. Na pięknej, bladej twarzy nie zadrgnęła ani jedna fibra. Oczy nie zmie-

niły blasku, tylko różowe usta złożyły się do melancholijnego uśmiechu.

Wzięła po chwili matkę za rękę i rzekła:

— Nie obawiaj się mamó!... Za tego człowieka, którego kocham, nie pójdę, bo pójść nie mogę! Pójdę za hrabiego Alfonsa!

Pani Patrycyja wpadła w drugą ostateczność zadziwienia.

— Alodyo! Alodyo! Dzisiaj nie rozumiem cię! Mówisz jak w gorączce! Słów twoich do kupy zebrać nie mogę! Jakaś rozpacz, czarna rozpacz mówi z ust twoich!...

— Rozpacz? spokojnie odparła Alodya — rozpacz mówisz mamó?... Nie! Do téj rozpaczki przygotowałam się dawno! Całe życie, całe wychowanie było do tego skierowane. Wiedziałam, że za tego nigdy nie pójdę, którego mi serce wskaże!... Wiedziałam, co byłam winna sobie — mojej pozycyi!

Pani Patrycyja patrzyła z rozrzewnieniem na córkę. Alodya mówiła dalej:

— Przyzwyczajaliśmy wszystkich w naszej parafii do tego, że pójdę świetnie zamąż, że jakiś znakomity konkurent zjawi się w naszym pałacu! Tym co w naszej parafii obok nas mieszkali, dałyśmy do poznania, że są zamali dla nas!... Nastroiłyśmy nasze pretensye wysoko i okazywałyśmy to w obec sąsiadów naszych. Tym marzeniom poświęciłyśmy wszystko!... Jakże teraz chcesz mamó, abyśmy od tego odstąpiły?... Cóżby w całej parafii powiedziano, gdybyśmy od książąt udzielnych i markizów ci chaczem do parafii wróciły i w dom nasz właściciela trzeciej części wioski wpuściły?... Nie, to wywołałoby śmiech powszechny w całej parafii, nasi sąsiedzi zjechaliby się,

aby się z nas śmiać, sąsiadki, aby nas obmawiać!... Nie, mammo, takiego kroku zrobiłbym nigdy nie mogła!... Prędzejbym umarła, lub poszła na kawałek suchego chleba, byle tylko w parafii zostawić po sobie jasny blask, jaki zostawia przelatujący po niebie meteor!...

Łzy wytrysnęły z pięknych oczu Alodyi.

Matka patrzyła zdziwiona na córkę. Nie wiedziała czy ma się cieszyć z takiej^opozy jedynaczki swojej, czy płakać. Cieszyć nakazywał jej rozum, bo całe życie pracowała nad t^om, aby jedynaczka taką była, a płakać kazało serce... kazał jakiś instynkt tajemny, o którym właściwie nie wiedziała z^oąd pochodzi i gdzie mieszka!...

Odetchnęła głęboko, przyłożyła rękę do gorącego czoła Alodyi i rzekła:

— Więc moje drogie dziecię... jesteś zdecydowaną pójść za hrabiego Alfonsa!

— Bez wahania! odpowiedziała spokojnie Alodya.

— A gdyby na Alfonsie okazały się jakie skazy?...

— Obmyślałam wszystko!

— Gdyby nawet jego tytuł...

— Wiem, że jest przywłaszczony!

— Gdyby stosunki majątkowe...

— Jestem przygotowaną na najgorsze!

— Gdyby opinia o nim jako o graczcu...

— Wiem więc^o ni^ozeli cała Szczawnica!

— I to wszystko nie wstrzymałoby cię...

— Mówię, że już postanowiłam!

— Cóż tak na twoje postanowienie wpłynęło?

— To, w cz^om byłam wychowana!... Hrabia Alfons ma legalny paszport rządu, pod którym mieszka i w tym

paszporcie jest mu tytuł prawnie przyznany. Takiego więc tytułu używać mu wolno. Będą trochę pokątnie przeciw temu mówić — cóż to znaczy? Przecież po wyrok do Heroldyi nikt nie pójdzie!... Zresztą zamieszkamy zagranicą, gdzie nikt naszego ubóstwa, jeśli nas nawiedzi, nie ujrzy — a w parafii będzie zawsze siedzieć meteor: że wyszłam za hrabiego Ossolińskiego!... Czyż taka opinia w parafii nic nie warta? Czyż nie można dla niej samą zostać nieszczęśliwą na całe życie. Czyż wiele z moich rówieczniczek nie poświęca się w ten sposób?... A taką drogą przecież nie pójdę, jak idą niektóre panny, co objechawszy świat szeroki i nie znalazłszy „co lepszego“, wracają do parafii i wychodzą za swego sąsiada, pozwalając mu łaskawie wierzyć, że go zawsze kochały!..

Alodya powstała przy tych słowach i wyprostowała się jak królowa. Zdawało się, że jest bohaterką, a ona była tylko konsekwentną swemu zwichnionemu wychowaniu...

Pani Patrycja rozkosznie patrzyła teraz na córkę.

Wzięła ją w objęcia, ucałowała i rzekła!

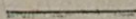
— Alodyo! Ty jesteś moją córką! W tobie poznaję teraz siebie!...

I matka z córką uściskały się serdecznie!

.

Za godzinę wszedł do pokoju w uroczystém usposobieniu hrabia Alfons Ossoliński.

Za dwie godziny mówiono po całej Szczawnicy, że między hrabią a Alodyą zamieniono pierścionki.



XXXIX.

W P A R A F I I.

Piérwszy śnieg zaczął pruszyć z szarego sklepienia nieba.

Major wyrzawszy oknem powitał westchnieniem nadchodzącą zimę i otworzył wielką szufladę, w której nader misternie uporządkowane były chrząszcze, motyle, i najrozmaitsze skrzydlate owady.

Wyciągnął całą szufladę, powymmował starannie różne pudła i pudełka z owadami, a zapaliwszy krótką fajeczkę zaczął w nowy porządek układać swoje tegoroczne zdobycze.

Było to zwykłe jego zimowe zatrudnienie. Takim zatrudnieniem zazwyczaj inaugurował zimę, jak to właśnie w téj chwili się działo.

Po pokoju tymczasem przechadzał się Prosper.

Prosper był blady i wyglądał jak człowiek, który długą przebył chorobę. Chodził powoli, a krok jego był niepewny, jakby mu sił jeszcze nie dostawało.

W pokoju była cisza, smutna cisza. Wiatr tylko zimowy wciskał się z jękiem między szpary okien i przynosił z świata jakieś dziwne nie zrozumiałe wieści....

A wieści teraz w parafii było wiele, bardzo wiele. Sąsiedzi nie mieli nawet czasu, aby je wszystkie należycie zarejestrować!

Pan Ansgary zajeździł parę broniaków, a jeszcze nie wypełnił dobrze swego urzędu jako kronikarz parafii. Nawet na dostateczną liczbę anonimów nie stało na czasie. Bo też wielkie, bardzo wielkie rzeczy działy się w parafii!...

Wyjaśniło się najprzód, że ów wielki nieznajomy jest nie mniej nie więcej jak tylko hrabia Alfons Marja Ossoliński, dziedzic licznych dóbr, właściciel handlowych składów w Odessie, współdyrektor banku i admirał floty kupieckiej pływającej po wodach Czarnego morza, zacząwszy od Dardanellów aż po morze Marmora!...

Na ucho znowu dodawano że tenże hrabia jest tajemnym agentem czy przyjacielem Palmerstrona, że Napoleon własnoręcznie do niego listy pisuje, a stary Garybaldi radzi się go przy każdej wycieczce z Caprery na ląd stały, na którym zwykł obalać trony i sadzać na nie nowych królów!...

Takie rzeczy opowiadała w sekrecie i publicznie pani Patrycyja o swoim przyszłym zięciu, a kuryery parafialne roznosiły famę tego zdarzenia aż po ostatnie kopce parafii!...

W parafii wrzało i kipiało! Pani Szymonowa i jej cztery córki pozieleniały z zazdrości, pani Marcinowa przyjechała naumyślnie swoim landowskim powozem aby

z ust pani Patrycyi takie nowiny usłyszeć, a pan Ansgary zdychawiczniał od ciągłego powtarzania wszystkich przymiotów hrabiego Ossolińskiego!

Pani Patrycyja tryumfowała.

Alodya — uśmiechała się.

Nim jeszcze parafia z takich nowin ochłonać mogła, już rozesłano karty zapraszające, litografowane złotem — na wesele!...

Zaproszono wiele, bardzo wiele gości — bo tak ważny fakt wymagał wielu — spektatorów.

Ślub odbył się w miasteczku. Mieszczanie za znacznym wynagrodzeniem pieniężnym oświecili całe miasto, strzelali z pistoletów i z kluczy, przyczem spalono dwa budynki gospodarskie księdza proboszcza!

Słowem wszystko odbyło się wspaniale i z książęcą okazałością!

Kobiety były panem młodym zachwycone, Alodya w białej jedwabnej sukni z białym welonem u czoła wyglądała jak dusza ulatująca do nieba i z melancholijnym uśmiechem żegnała wszystkie parafialne marzenia...

Konsumcya wina i drogich potraw była niezmierna! Parafialne żołądki rozszerzyły się tak samo jak otwarte były serca tych wszystkich, którzy z taką gościnnością swoich sąsiadów podejmowali!

— Co za świetny los! wołał pan Michał, polykając kawał sztrasburskiego pasztetu!

— To wielki los wygranój! odpowiadał pan Marcin nalewając dziesiątą kieliszek francuzkiem winem.

— To Krezus powiadają! szeptał pan Szymon i westchnął głęboko.

— I dobry ród! dodał hrabia Kwiryn, bez którego podobna uroczystość nie mogła się obejść.

— Tak... ród Ossolińskich! tłumaczył pan Ansgary szukając w pasztecie z dziczyzny jak najlepszego kaska!

— I jeszcze do tego co za patryotyzm! bełkotał bezzębny jegomość, który od godziny mełł zuchwami zraz sarniny — książę de Nassau chciał ją, ale przemógł Ossoliński — bo swój! *Viva!* Niech żyje jaśnie wielmożna hrabina Ossolińska!...

Takie i tym podobne głosy odzywały się na sutęj uczcie, przy której zwyczajem parafialnym nawet wszyscy furmani z batów trzaskali.

Po uczcie rozjechali się goście spiérając się z sobą czy nowożeńcy wprost do Paryża wyjadą, czy w drodze wstąpią do Rzymu, lub z wizytą do wicekróla egipskiego się wybiorą, jak o tém na seryo opowiadał pan Ansgary.

A gdy już wiadomość do parafii doszła, że nowożeńcy rzeczywiście z ogromnemi kuframi pocztową bryką wyjechali — jeszcze spierano się o wice króla egipskiego i o Napoleona, którego żona miała ich do Tuileryów na mieszkanie zaprosić!

Takie rzeczy wstrząsały teraz całą parafią, ale obok nich zapomniano także i jednego z parafian, którego nawzisko z całym tém wydarzeniem łączyło się w sposób niefortunny.

Prosper zrobił w parafii zupełne *fiasco!*

Wszystko o nim wiedziano, nawet to, o czém on sam wiedział! Wiedziano, że za Alodyą pojechał, że na szarym końcu włóczył się za niemi po całej Europie, że przy pewnych uroczystościach służył im za lokaja w liberyi

z czerwonym kołnierzem, jak ów bezzębny jegomość na weselu publicznie opowiadał — wiadano także o pojedynku i odprawie jaką dostał nad romantycznym brzegiem Renu!

Zkąd o tém wszystkiém wiadano? trudno dociec, dość że wiadano.

W całej parafii nie było człowieka, któryby nie-
szczęśliwego bohatera wziął w opiekę. Nikt nie odważył się bronic go — wszyscy stali po stronie Alodyi.

— Zkąd temu jednodworcowi taka fantazyja do głowy przyszła? wołał pan Symplicyusz, który o sto zagonów mniej miał majątku od Prospera.

— Komu to emulować z księciem de Nassau! wyrzekał pan Karol, który dzierżawkę miał za żydowskie pieniądze.

— Gdy konia kuli, żaba nogi nadstawiała! tubalnym głosem szeptał pan Maciej swemu sąsiadowi do ucha.

— Gdzież jemu mierzyć się z Ossolińskim!

— Dobrze mu się stało!

— Dostał takiego odkosza, że się pewnie z niego tak prędko nie wyliże!

Nawet cztery córki pani Szymonowej nie darowały biednemu Prosperowi.

— Teraz może już pan Prosper wyjechać sobie z parafii na piękne! Żadna panna nie odważy się pójść za niego! mówiła Babetka.

— Gdybym miała starą panną zostać, nie przyjęłabym kawalera, który w ten sposób skompromitował się! zauważyła Fimcia.

— Nawetby się nie odważył w parafii na coś podobnego! Mówią, że książę de Nassau... wyrzucił go za kołnierz z swego pokoju! dodała czarnooka Klimcia.

— I nawet nie chciał się z nim pojedynkować tylko w jego zastępstwie strzelał się jakiś hrabia niemiecki, uzupełniła bladolica Filipina.

W taki to sposób zajmowała się Prosperem cała parafia

Prawdopodobnie wiatr zimowy wraz ze śniegiem przynosił mu wieści o tém i wsuwał je przez szpary okien do pokoju — ale Prosper zapewne nie rozumiał wiatru!

Zdaje się jednak, że major dobrze rozumiał.

Z czołem zmarszczoném siedział nachylony nad chrząszczami i przeprowadzał je z jednej szpilki na drugą.

Blady Prosper chodził zamysłony.

— Przyszła mu dziwna myśl do głowy, ozwał się do majora stając przed nim — co jest, co człowieka najbardziej obowiązuje dla drugich?

— Wdzięczność! szybko odpowiedział major dzionąwszy chrząszcza w bok szpilką.

— Wdzięczność? powtórzył Prosper — myślałem właśnie o czém inném!

— To powinno stać na pierwszym miejscu!

— Nie wiem do czego dziadunio to stosuje!

— Do niczego! Ot tak mówię! odparł dyplomata i z ukosa spojrzął na Prospera.

Prosper kilka razy przeszedł się po pokoju.

— Jak długo leżałeś? ozwał się po chwili major.

— Całych pięć tygodni! odpowiedział Prosper.

— Pięć tygodni! Spory kawał czasu!... Dzięki Bogu i dobrym ludziom, że się na tém skończyło!

— Do tych „dobrych ludzi,“ przedewszystkiém dziadunio kochany należysz!

— Bynajmniej! Ja wypełniłem tylko mój obowiązek a byli tacy, którzy żadnych obowiązków nie mieli, a jednak...

— W samój rzeczy... należy im się moja wdzięczność!

— Siostra pana Nazaryusza codziennie przysyłała różne przysmaki, jakich jest brak w naszym kawalerskim domu!

— Zaczna, bardzo zaczna kobiéta!

— To nie dosyć jest powiedzieć to w tych pustych ścianach!

— Właśnie myślałem dzisiaj nad tém. Chciałbym, aby moje pierwsze kroki, które po za domem postawię, im się należały!

Major schował brodę do chustki i z ukosa spojrział na Prospera.

Prosper chodził zamyślony.

— Należy także i Bonusi kilka słów lepszych powiedzieć... za książki, które ci przysyłała i etcetera! zauważył po chwili major.

Prosper na to nic nie odpowiedział. Chodził ciągle zamyślony.

— Pocziwe dziewczę! ciągnął dalej major kłójąc szpilką chrząszcza — ile razy tam przyszedłem, to wpadało na mnie jak opętane i pytało się o ciebie!

Prosper zatrzymał się.

— Czy nie moglibyśmy tam dzisiaj wieczorkiem pojechać? zapytał major.

Major schował uśmiech i brodę do chustki.

— Nic nie mam przeciw temu! odpowiedział i wysypał kilka chrząszczów na ziemię, po które trzeba się było schylić...

Jeszcze daleko było do wieczora, gdy Prosper rozkazał zaprzęgnąć do bryczki, a nawet niecierpliwił się, że ta robota szła tak powoli.

XL.

W I Z Y T A.

W dworku pana Nazaryusza zaświecono właśnie lampkę.

Ciotunia dostała nowy zeszyt żurnala i zaczęła po dług nakreślonych figur wykrawywać różne formy do ubioru zimowego.

Bonusia przytrzymała jój papier.

— Zima! Zima! zawołał pan Nazaryusz, który właśnie wszedł do pokoju i śnieg z czapki strzepywał — zima się ściele!

— Ciekawa jestem, ozwała się ciotunia, poprawiając okulary, co téż nam piérwszy śnieg przyniesie!

— Piérwszy śnieg? rzekła Bonusia—cóż nam piérwszy śnieg przynieść może?

— Jest wiara u ludu, mówiła z rozrzewnieniem ciotunia, że piérwszy śnieg każdemu człowiekowi coś przynieść musi!

— Hm, tak, tak! odparł z uśmiechem pan Nazaryusz, któremu śnieg jako pokrycie oziminy bardzo się

podobał — śnieg pierwszy zawsze ludziom coś przynosi, to prawda! Chłopu przynosi upragnioną sannę — myśliwemu ponowę — dziurawemu dworowi wodę i wilgoć — a pannie... kawalera!

Rozśmiał się z własnego konceptu pan Nazaryusz i spojrzął z ukosa na Bonusię.

Bonusia zmarszczyła piękne czoło.

— Już ja dziękuję za takiego kawalera, odpowiedziała z chmurką — który wraz z śniegiem do mnieby przyszedł!

— A cóż to śnieg ma do tego? zapytał ojciec.

— Śnieg jest symbolem zimna i mrozu — a serce potrzebuje wiosny i kwiatów! Kto w czasie wiosny i kwiatów komu innemu służył, ten na zimę niech sobie usiadzie — przy ciepłym piecu!

Pan Nazaryusz ciekawie spojrzął na Bonusię. Podejrzywał, że słowa te stosuje do kogoś znajomego.

— Falszywie sądzisz moje dziecię, rzekł po chwili, wiosna i kwiaty są to rzeczy bardzo piękne i idealne, ale właśnie zima jest próbą co jest trwałe a co znikome! Zasługą wiosny nie jest, że kwiaty wydaje, ale zasługą jest umieć sobie zimę ubarwić! Kto to potrafi, ten panuje nad każdym losem, jakiby go mógł spotkać!

Bonusia słuchała z uwagą słów ojca.

Zdawało się, że ciotunia tych słów wcale nie słuchała, bo nagle ozwała się:

— Czy pan Prosper ma się już zupełnie dobrze?

Bonusia spojrzała dziwnie na ciotunię. Jój blade czoło namarszczyło się.

Chciała właśnie coś odpowiedzieć, gdy przed gan-kiem zaturkotał wózek, a w oknie okazały się przykryte śniegiem kare konie majora.

Do pokoju weszli major i Prosper.

Bonusia spłonęła cała... Potém zbladła i była blada jak papier.

Major odkrząknął, pocałował w rękę ciotunię, Bonusię w czoło, a schowawszy brodę do chustki zacierał ręce mówiąc:

— Ponowa! Ponowa!... mospanie, ponowa!... Uważałem pilnie, czy nie natrafę na ślad jaki... na jakiego zwierza, któryby przemykał się do mego kochanego sąsiada... hm, hm... do jego córeczki nadobnej, krasnoliciej... hm, hm...

— Zwierzyna z parafii wymknęła się panie majorze! odpowiedziała Bonusia a oczy jój zabłyśły bengalskim ogniem.

Prosper, do którego prawdopodobnie wymierzone były szpilkowe słówka nie zważał w téj chwili na nie, bo większa część jego duszy skupiła się teraz w oczach.

Patrzył na Bonusię.

Bonusi już nie widział z dziesięć miesięcy.

W tym czasie, w spokojniejszych chwilach życia, przychodziła mu często na myśl. Major wygadał się coś o niej, coś mu o niej napomknął, co wystarczyło, aby o niej kiedy niekiedy pomyśleć.

Wprawdzie umysł jego nie był usposobiony wtedy do zatrzymania się dłuższego przy tym skromnym obrazku, ale dzisiaj po przebytych katastrofach duszy, po przebytej chorobie... jakoś inaczej to się składało!

Rana jego serca — jeżeli to raną nazwać można — zagajała się powoli, a do tego zagojenia potrzeba było jakichś myśli lub marzeń łagodnych, któreby nie szarpały tak duszy jak dawne!...

Któż mógł mu sprawić dzisiaj te łagodne marzenia?..

Prosper patrzył z uwagą na Bonusię.

Bonusia zmieniła się od tego czasu bardzo wiele, a zmieniła się na korzyść!

— Czy ta zmiana była rzeczywistą, czy tylko oko jego widziało teraz inaczej?

Zdaje się, że było jedno i drugie.

Dawniej widział gorejącą przed sobą pochodnię. Przy świetle téj pochodni, która żywiła się ziemskim produktem, nie mógł dojrzyć małej z nieba mrugającej gwiazdki!...

Dzisiaj pochodnia ta zagasła dla niego, a mała gwiazdka roztoczyła szeroko srebrne promienie swoje, aby mu służyć lepiej od pochodni za przewodniczkę życia!...

Być może, że coś podobnego roiiło się Prosperowi w głębi duszy, gdy na Bonusię patrzył, nie można jednak tego zaprzeczyć, że i Bonusia rzeczywiście zmieniła się od tego czasu.

Gdy ją Prosper po raz pierwszy dorosłą ujrzał, widział w niej dopiero surowy materyał na kobietę.

Dzisiaj stała się Bonusia kobietą dojrzałą.

Jój twarz dawniej aniołkowata przybrała wyraz poważnych myśli i uczuć. Jasno błękitne oczy otworzyły się szeroko, bo z nich wypłynęło już wiele, bardzo wiele łez, Aby tego ludzie obojętni nie poznali, przykryły je do połowy długie jedwabne rzęsy, które drżały ustawicznie,

jakby okrywały jakiś magnes utajony!... Piękne wypukłe czoło załamało się na przodzie i oświetliło bardzo pięknie kilka wypukłości, które okazywały, że tam przez ten czas pracowały myśli poważne, a nawet czasem smutne!...

Prócz tego i cała postać Bonusi nabrała jakos innego wyrazu. Widać było po téj uginającej się kibici, że smutek i strapienie pochylały ją w różne strony, lecz jój nie złamały!

Słowem była to kobiéta, kobiéta w całym znaczeniu tego słowa, kobiéta, którą otacza szeroka atmosfera nieukojonych pragnień, zatraconych marzeń, bolesnych snów i rajskich zachwyceń!...

W tę atmosferę wszedł teraz Prosper.

Po pierwszych słowach przywitania, po różnych wypytywaniach się o przebytą chorobę, i po złożeniu podziękowania ciotuni za przysyłane konfitury a Bonusi za książki — weszła rozmowa na tok zwykłych, codziennyh rzeczy.

Bonusia ożywiała się coraz więcej. Jój blada twarz zaczęła powoli znowu nabierać kolorów i światła.

Zdawało się, że żałowała pierwszych szpilkowatych słów swoich i starała się to jakoś Prosperowi wynagrodzić.

Prosper nie słyszał słów szpilkowatych, za to słodsze brał z wdzięcznością i chował je w pamięci swojém na pierwszym miejscu.

— Pan tak długo byłeś w podróży! rzekła do niego Bonusia śród rozmowy.

— Widziałem wiele rzeczy, odparł z kurczowém poruszeniem twarzy Prosper.

— I ja przez ten czas wiele podróżowałam! rzekła z uśmiechem Bonusia — ale tylko w książkach! Patrz pan tam na tę etażerkę! Te wszystkie książki przeczytałam, a niektóre z nich po kilka razy! I ja wiele rzeczy zobaczyłam nowych, o których dawniej nie miałam wyobrażenia, i wiele nauczyłam się!

— Nauczyliśmy się więc oboje! z uśmiechem zauważył Prosper.

— Tak... tylko moja nauka... nic mnie nie kosztowała!

— Książki są tańsze od rzeczywistych podróży!

— Tak nie myślałam!

— Możesz pani swoją myśl — domówić.

— Nie pogniewasz się pan na mnie?

— Naprzód pani wszystko przebaczam!

— Pan nie masz nic do przebaczenia!

— Trudno mi bania rozumieć!

— Pan w swoich podróżach nabawiłeś się — choroby!

— Czy to chciałaś mi pani powiedzieć? zapytał Prosper i chciał zajrzeć głębiej w te szeroko otwarte oczy... a te oczy szybko zamknęły się przed nim.

Bonusia zarumieniała się.

— A cóż tam nasz rekonwalescent? zapytał teraz z drugiego końca stołu major — niechże go tam dobrze panna Bonusia dobrze wyturuje, że z zagranicy przywiózł sobie jakąś chorobę, która nam tyle kłopotów narobiła!... A do tego jeszcze jak zaczął w malignie gadać! . Niechże zdrów będzie, dowiedzieliśmy się rzeczy nie mało!... Czy panna Bonusia wie, co mówił?...

— Nie trudno odgadnąć! odpowiedziała Bonusia i spuściła smutno oczy.

— Jakto odgadnąć? Co odgadnąć! przerwał major wysunawszy z chustki brodę. Na cóż to odgadywać dopiéro!

— Prawda! Cała parafia wie o tém! odcięła się trochę złośliwie Bonusia.

— O znam pani czyje imie najczęściej wymawiał w malignie?

— Wszak mówię, że to jest dostatecznie znajome!

— Słowo honoru daję, że się pani mylisz!

— Myle się razem z opinią powszechną!

— Jak panią kocham to plotki nie więcej.

Bonusia wstała przy tych słowach i odeszła do swego pokoiku, z kąd już więcej dzisiaj nie powróciła do gości.

Zawołana przez ciotunię do herbaty, wymówiła się, że ma nieznośną migrenę.

Przez całą wieczność był major smutny i milczący.

Wyrzucał sobie, że dzisiaj za mało miał względu na — dyplomację.

XLI.

MAŁA BOHATERKA.

Przy tój wizycie zarysował się jakiś dziwny kontrast co do usposobienia między majorem a Prosperem.

Major chodził zły i zamyślony. Pudła z chrząszczami stały nieuporządkowane i czekały lepszych czasów. Z Prosperem unikał major rozmowy, a gdy mu się milczenie sprzykrzyło, rzucał od czasu do czasu na wiatr jakieś przekleństwo francuzkie z czasów pierwszego cesarstwa. Komu należało się to przekleństwo, trudno było wiedzieć, chociaż służący Bartek był przekonany, że major sam siebie diabłem i piorunem częstował.

W innym zupełnie humorze był po tój wizycie Prosper.

Błada twarz jego ożywiła się, a nawet czasami nabięrała dawniej, czerstwój cery. Uśmiechał się do siebie i widocznie roił sobie coś rozkosznego.

Nie trudno odgadnąć, o czém roił sobie Prosper.

Jeszcze dawniej napomknął mu w sposób nie bardzo dyplomatyczny major coś o Bonusi.

Żaden mężczyzna nie słucha obojętnie, gdy mu ktoś powie, że ta lub owa kobieta nim się zajęła.

Prosper nie był bez zwykłych, ludzkich słabości, wiadomość więc ta podrażniła najprzód trochę jego próżność, a byłaby może nawet z czasem i do serca się dostała, gdyby znowu inne słabości ludzkie nie były go porwały w odmet obcego mu życia, z którego wypłynął zmęczony i poturbowany ale nie bez nadziei, że jeszcze do zdrowia powrócić może.

Dzisiaj oglądnowszy swoje rany i przekonawszy się, że odniósł je nie na prostej drodze życia ale w ciemnych maminowcach, postanowił zagoić je i zaczął znowu wdychać do dawnego zdrowia.

Z pierwszą jutrzenką tej nowej dla niego doby życia, wystąpił w jego duszy nowy obraz kobiety, obraz cichy i prawie zwyczajny, bez żadnych sztucznych rembrandtowskich światel i cieni.

Obraz ten w czasie jego choroby nerwowej przypominał mu się każdego dnia, bo każdego dnia przychodził posłaniec od siostry pana Nazaryusza z jakimiś specyjalami, a później z książkami.

Ciotunia motywowała swoją troskliwość tém, że w domu kawalerskim, jakim był dom majora, zazwyczaj nie smażą się ani konfitury, ani żadne inne słodycze, które dla chorego, według jej przekonania są niezbędnie potrzebne. Również tak samo mniemała o książkach, które nazywała konfiturami dla ducha.

Prosper jednak wytłumaczył sobie inaczej tę sąsiedzką troskliwość ciotuni Bonusi.

Widział w tém wszystkiém tylko — Bonusię.

Major już dawniej coś mu o Bonusi powiedział, dzisiejsza troskliwość sąsiadzka stwierdzała to dowodnie.

Tak myślał Prosper.

W chorobie, w osamotnieniu myśl podobna jest zawsze przyjemną. Nie odpycha się jój, tylko pozwala się jój gościć tak długo w duszy, póki się jój podoba.

A myśli téj podobało się bardzo w duszy Prospera. Dusza ta bowiem była poraniona i potrzebowała jakiegoś balsamu, któryby te rany powoli uspakajał aż do zabliznienia się.

Skutkiem téj myśli była owa wizyta w dworku pana Nazaryusza.

Prosper był widocznie z téj wizyty kontent.

Najprzód widok Bonusi sprawił na nim bardzo przyjemne wrażenie.

Bonusia wyglądała teraz jakoś zupełnie inaczej. W tych oczach pełnych wyrazu, w tym uśmiechu zaprawionym smutkiem, na tém myślącym, załamane czole była jakaś dziwna siła, która przyciągała, więziła, garnęła i przykuwała do siebie...

Prosper dziwił się, że wprzód tego nie widział.. bo nie wiedział, że wprzód tego nie było!

Był to bowiem kapitał przebytych cierpień i boleści bezsennie przemarzonych nocy, z bojaźnią śmierci doznanych kurczów serca...

Bonusia, jaką ją teraz widział, przewyższyła jego marzenia, jakie sobie w chorobie o niej roił!

Zachowanie się jój podczas wizyty wytłumaczył sobie jak najlepiej.

Uprzedzony przez majora, że Bonusia jest mu bardzo przychylny a nawet... nawet... widocznie go kocha— widział wszystko w świetle różowém i tak był pewny siebie jak Cezar gdy miał Rubikon przekroczyć.

Chodziło mu o to tylko jeszcze, aby między ostatnią swoją katastrofą a dzisiejszém marzeniem jakąś przestrzeń zostawić i tymczasem oswoić siebie i Bonusię z ostateczną myślą.

Że Bonusia téj myśli sprzyja, miał tego dowody na wizycie, jak to sam sobie wytłumaczył. Jój nieobecność przy herbacie, jój słówka trochę docinające świadczyły, że widok jego nie był dla niej obojętnym.

Takie były teraz myśli i marzenia Prospera, które wprawiały go w humor jak najlepszy.

Dla czego zaś major tak posmutniał, dla czego po francuzku kłął i chrząszczy zaniedbywał — trudno było odgadnąć.

Być może, że on coś inaczej widział...

Prosper widocznie szedł teraz za powziętą myślą swoją. Co trzeci, a później co drugi prawie dzień bywał w domu pana Nazaryusza.

Major prawie zawsze towarzyszył, a nawet wtedy nie odmówił mu towarzystwa, gdy był widocznie chory a zamieć była grudniowa.

Zawsze jednak gdy wracali, dziwny był kontrast w ich usposobieniu.

Major był smutny i zamysłony — Prosper nadzwyczaj wesoły.

Prosper miał w części słuszny powód, aby być wesołym.

Bonusia z każdym dniem więcej mu się podobała. Zimowe wieczorki, pozbawione wszelkiej innej dystrakcyi, skupiały cały interes w sąsiedzkiem przyjacielskiem kółku. Prosper rozmawiał godzinami z Bonusią i z każdą godziną widział w niej więcej uroku. Z każdą godziną uwidomiały się coraz większe skarby téj niezaputanej egzotycznemi narkotykami kobiety. Widział, że horyzont jój wiadomości i nauki jest daleko szerszy niżeli się spodziewał. Słyszał trafne sądy z jój pięknych usteczek, a czasem nawet bawił się jój łagodnym dowcipem, gdy humor całego towarzystwa na to zezwalał!...

I tak powoli z każdym tygodniem rósł w duszy Prospera mały obrazek Bonusi i nabiérał coraz piękniejszych światel. W końcu urosł w piękny, wspaniały obraz, któremu trzeba było oddać cześć należytą i przed nim — ukleknąć.

Było to jakoś w czasie karnawału, gdy Prosper postanowił zakończyć swoje marzenia — czy raczej przenieść je do rzeczywistości.

Do tego postanowienia przyczyniło się jeszcze dziwne zachowanie się pani Patrycyi.

Pani Patrycyja od niejakiego czasu dostała jakiejś dziwacznej gorączki. Wydzierzawiwszy cały swój majątek pewnemu małemu człowiekowi o wschodnich rysach, zostawiła tylko dla siebie pałac i ogród z parkiem. Niektórzy utrzymywali, że to była potajemna sprzedaż majątku.

Bądź jak bądź uwolniwszy się od trudów gospodarstwa zaczęła teraz bywać po sąsiedztwach w całej parafii, a nawet widać było, że te wizyty odbywała z pewną trawiącą gorączką. Bywała w najodleglejszych dworkach,

a nawet pod strzechą cząstkowego dziedzica często zagościła, gdzie dotąd nigdy nie bywała.

Zachowanie się jój na tych wizytach było dziwaczne. Co kilka słów wydobywała z kieszeni listy w dużych kopertach i wśród rozmowy odzywała się:

— Dostałam list od córki — *hrabiny Ossolińskiej!*... *Ossolińscy*... są teraz w Paryżu!

Wymówiwszy te słowa, chociaż w towarzystwie o czém inném mówiono, obejrzała list na wszystkie strony, aby obecni stampillę pocztową i pieczęć z koroną hrabiowską widzieć mogli.

Potém chowała list do kieszeni, żegnała towarzystwo i jechała dalej w zieloném pudle swoim, aby tę samą scenę z listem gdzieindziej odegrać!

Jedni w tém dziwaczném zachowaniu się pani Patrycyi widzieli poprostu próżność w obec opinii parafii, która w manię przechodziła, inni coś innego o tém mówili. A nawet pewnej niedzieli okazały się *anonimy* w parafii, które donosiły parafianom, że tak zwany hrabia Ossoliński był garsonem z jakiejś restauracyi i że teraz wraz z Alodyą jakąś pokątną garkuchnię w Paryżu założył!

Anonimom parafia nie wierzyła w oczy, bo anonimy parafialne kilka razy rzecz nieprawdziwą do wiadomości podały, ale mówiono o nich i dodawano nawet niejaki komentarze.

Wszystko to jednak odgrzewało sprawę Prospera. Przy Alodyi i Ossolińskim był zawsze nieunikniony Prosper.

Drażniło to Prospera. Chciał stanowczym krokiem odepchnąć się od tych wspomnień, i rozmowom w parafii nadać inny kierunek.

W tym celu postanowił rozmówić się z majorem.

Major wrócił już był od kilku dni do chrząszczy i jak mógł najłagodniej przekłuiwał je szpilką bez względu na to, że one już dzisiaj tych zabójczych ciosów nie czuły.

Prosper rozpoczął rozmowę z zupełną spokojnością. Nie przedsiębrał on teraz żadnej niepewnej wyprawy jak ongi do pałacu — cała rzecz była pewna i jasna. Chodziło mu tylko o uwiadomienie majora i o więcej trochę uroczystą wycieczkę po serce i rękę Bonusi.

O skutku swego kroku ani wątpił! Nie było żadnych romantycznych przeszkód, nie było różnicy stanu ani majątku — cóżby miało stać na przeszkodzie?

Major zrazu słuchał spokojnie Prospera.

Gdy jednak Prosper wygodnie na fotelu usiadł i wśród rozmowy z największym spokojem cygaro zapalił, nie mógł już wytrzymać major-dyplomata, a zapomniawszy o swojej dyplomacyi, kolnął chrząszcza w samą głowę i zawołał:

— Co tobie po głowie się roi! Niedawno dostałeś odkosza w pałacu, teraz chcesz go dostać — w dworku?

Prosperowi zagasło cygaro!

— Co też dziadunio mówi! rzekł z pewnym niepokojem, i zmienił pozę na fotelu.

— Co ja mówię, ty nigdy nie uczujesz! odparł major dosyć impetycznie, a przecież skutki uczą cię, że miałem zawsze słusność!

Prosper zmarszył czoło. Słowa majora zaczęły go coraz więcej niepokoić, chociaż w nich żadnego niebezpieczeństwa dla siebie nie widział.

— Tymczasem nie obawiam się żadnego rozumowania, mówił z wymuszonym spokojem Prosper.

— A ja ci powiadam, że panna Bona potrafi ci jeszcze lepiej nosa utrzyć niżeli panna Alodya! odfuknął major wcale nie dyplomatycznie.

Dosadne wyrażenie się majora zadrasnęło Prospera. Zmarszczył czoło i odparł:

— Rozumny człowiek może raz tylko w życiu fałszywy krok uczynić, bo potem dobrze pod nogi patrzy! Przyznaję się do jednego fałszywego kroku, ale dzisiaj już dobrze patrzę przed siebie!

— I cóż widzisz przed sobą?

— Widzę spokojny, cichy port szczęścia, którego dawniej wśród burzy nie widziałem!

— A ja ci powiem bez żadnych figur poetyckich, że dostaniesz — odkosza!

— Czarny pesymizm dziadunia dowodzi, że dziadunio marzeniom moim nie sprzyjasz!

— Nietylko sprzyjam, ale były one przed rokiem jedyną słodyczą życia mego! Sam je zagoryczyłeś i popsułeś!

Prosper zerwał się z fotelu i zaczął szybko chodzić po pokoju.

— Zresztą cóż chcesz? mówił dalej major, czyż nie jesteś sam sprawcą swego nieszczęścia?... Panna Bona miała dla siebie afekt, sam to widziałem. I cóżś zrobił z tym afektem? Podeptałeś go jak opadły listek na zie-

mię, i przeszedłeś po nim do innego egzotycznego kwiatu, który nie dla ciebie zakwitnął!... Teraz opamiętałeś się i wracasz... ale czy wiesz co się z podeptanym listkiem stało?... Oto ten podeptany listek podniósł dumnie swoje czoło i nie chce cię znać teraz! .. Czyż tego nie widzisz? Czyż ja osmdziesiątletni starzec lepiej patrzę od ciebie? Czyż wy dzisiaj młodzi jesteście już tak zarozumiali, że nie widzicie subtelných drgnięń serca, które was odpycha?...

Prosper coraz niespokojniej chodził po pokoju.

— A w końcu, mówił dalej major, zasłużyłeś sobie na to. Ja sam, gdybym był kobietą, nie mógłbym inaczej.. Gdyby kobiety miały więcej solidarności, gdyby nie podkupywały sobie mężczyzn wzajemnie, wyszłyby do daleko wyższego kursu od tego, jaki wy im dzisiaj przyznajecie!... A bądź pewny, że Bonusia tak tanio nie sprzeda się jak myślisz!

Prosper zatrzymał się przed majorem.

W uroczystym nastroju rzekł do niego:

— Dziadunio możesz mieć słuszność, ale ja w gruncie duszy mojej nie zasłużyłem sobie na to nieszczęście, jakim mi grozisz. Wiem, że posiadasz sympatyę panny Bony, a słowa dziadunia zmuszają mnie tylko do tego, abym krok mój stanowczy przyśpieszył!

— Jedź i oświadczyć się — ja z tobą nie pojedę!

— Jeżeli dziadunio tak sobie życzy—to sam pojedę!

— Dobrze — a gdy wrócisz, to krzykniesz mi na górę, czy jest rekuza, czy nie!

Prosper zeszedł na dół, kazał zaprzęgnąć i odjechał do pana Nazaryusza.

Major przekłówał dalej szpilką chrząszcze.

Po dwóch godzinach usłyszał dzwonki.

Zbliżył się do okna, otworzył lufcik i zapytał:

— A co? Jest?

— Jest! odpowiedział zmienionym głosem Prosper, i czempredzėj z sanek wyskoczył.

Major wrócił do swego zatrudnienia.

XLII.

PLAN TAJEMNICZY.

Przez cały tydzień bardzo smutno było w nowym domku. Major nic nie mówił do Prospera. Prosper unikał rozmowy z majorem. Rano powiadali sobie dzień dobry, jedli razem śniadanie, obiad i wieczerzę, a potem kończyli dzień drugim słowem: dobranoc!

Taki był tryb życia majora i Prospera.

Bonusia rzeczywiście dała rekuzę Prosperowi.

Prosper posmutniał, pobałdł, a nawet schudł widocznie.

I było nawet czego schudnąć. Opinia bowiem parafialna dostała nowe zajęcie. Pan Ansgary jeździł znowu kulawemi broniakami od dworu do dworu, a nawet *anonymy* pojawiły się wierszem i prozą.

W nowym domku wiedziano o tém. Major widocznie był strapiony. Czasami tylko miał jakieś jaśniejsze myśli, bo uśmiechał się do nich.

Pewnego dnia, gdy Prosper w swoim pokoiku na klucz się zamknął, aby nikogo do siebie nie dopuścić, wybrał się major cichaczem do pana Nazaryusza.

Gdy pan Nazaryusz majora w swoim domu obaczył, wziął go za rękę, do kancelaryjki zaprowadził i tam drzwi za sobą zamknął.

Pan Nazaryusz był błądy i widocznie zmartwiony.

— Kochany sąsiedzie, rzekł do majora, daj mi żołnierskie (palestranckiego nie chcę) słowo honoru, że szczerze i otwarcie ze mną mówić będziesz!... Dotąd bąkałeś półgębkiem a ja tam na takiej dyplomacyi się nie znam!

— Masz żołnierskie słowo honoru, odpowiedział mi bez wahania się major, któremu żal było ulubionój dyplomatycznej roli. Masz słowo, a teraz rób co chcesz!

— Wielkie nieszczeście nawiedziło nas majorze! mówił dalej z westchnieniem pan Nazaryusz.

Major westchnął.

— Moja córka dała rekuzy panu Prosperowi!

— Bardzo słusznie!

— Co mówisz majorze! Ja myślałem.

— W zasadzie bardzo dobrze zrobiła!

— Co mi tam po zasadzie!... Ja dziecię tracę!

— A cóż jest Bonusi?

— Jak tylko dała rekuzę panu Prosperowi, zaraz położyła się do łóżka i do dziś dnia jęczy w boleści i rozpaczy.

Major postawił marsa.

— Wiész sąsiedzie, odrzekł po chwili — twoja córka bardzo mi się podoba! Nogi bym jój ucałował! Widać, że ma charakter!

— Ale sąsiedzie, co mi tam bredzisz o charakterze, ona może mi — umrzeć.

— Nie spodziewałem się po tym aniołku... piękna.. ładna, wielka dusza!

— Jakto! Tobys się cieszył, gdyby umarła?

— Umarłaby bohaterką!

Pan Nazaryusz machnął ręką.

— Myślałem majorze, że mi co pomożesz, a ty prawisz jakieś morały!

— Na moralach sąsiedzie świat stoi!

Pan Nazaryusz posmutniał i rzucił się na krzesło jak człowiek, któremu sił zabrakło.

Major długi czas był zamyślony. Po chwili ozwał się:

Prawdę mówiąc, Prosper nie zasłużył sobie na taką miłość, ale z czasem może i wart jój będzie!... Czy sądzisz sąsiedzie, że Bonusia kocha Prospera?

— Mówiąc między nami—szaleje za nim, ale wprost powiada, że pierwój umrze, a za niego nie pójdzie!...

— Cóż ją od tego wstrzymuje?

— Wzgląd — na opinię w parafii!

— Wzgląd na opinię w parafii?

— Powiada, że kawaler, który w parafii swojej taki fałszywy krok uczynił, nie może i nie powinien w niej znaleźć żony!

— Hm! Ma poniekąd słuszność!

— Powiada, że wszyscy sąsiedzi i sąsiadki śmieliby się, gdyby oświadczenie kawalera przyjęła, który niedawno za inną po świecie gonił, i jój nie dostał!...

— Prawda, słuszna prawda!

— Ale ona z tą prawdą — umrze!

— Tego dopuścić nie można!

— Cóż zrobić?

— Trzeba nad tém pomyśleć, dobrze pomyśleć bo tu chodzi o życie dwojga ludzi!... A z sercami kochany sąsiedzie, to trudna sprawa! Serce to tak jak oko! Nic w powietrzu nie widzisz, a przecież wpadnie ci owad mały którego wyplakać trzeba! Z sercem ostrożnie — nie trzeba mu się z radą narzucać—bo to uosobiony upór. Trzeba rzeczy tak kierować, aby ono nic a nic nie spostrzegło! Rozumiesz sąsiedzie — nie a nie!

Pan Nazaryusz smutno patrzył na majora, który znowu odzyskał swoją ulubioną rolę dyplomatyczną, w dowód czego brodę do chustki zaraz schował.

— Bonusi umrzeć nie damy, mówił dalej z brodą w chustce, a Prosper niech trochę za swoje grzechy odpokutuje! Rozumiesz sąsiedzie?

— Nic nie rozumiem!

— To dobrze! Spuść się na mnie — moja w tém głowa!

Rzekłszy to uściskał go i ucałował, chociaż pan Nazaryusz nie mógł pojąć, za co i dla czego?

Wkrótce pożegnał się i odjechał.

XLIII.

SKUTKI BURZY.

Każda parafia musi mieć pewną lwicę lub coś podobnego.

W naszej parafii była nią pani Modesta, która robiła wszystko co mogła, aby się swemu imieniowi przeniewierzyć.

Była to młoda wdówka o czarnych włosach, której mąż niepojętym sposobem po dwuletnim pożyciu małżeńskim zastrzelił się.

Pani Modesta odtąd używała swobody życia, które jednak inaczej sobie urządziła, niżeli to w zwyczaju bywa.

Zazwyczaj ludzie zasobni jadą na zimę do miasta a lato na wsi przepędzają.

Pani Madesta przepędzała zimę na wsi, a na lato wymykała się zagranicę.

Pan Ansgary, powaga powiatowa, tłumaczył to w ten sposób, że zima w mieście potrzebuje wiele znajomych, w których można na wieczorkach się bawić. Pani Modesta, według téj powagi, nie mogła liczyć na znajome do-

my, któreby jej salony swoje gościnnie otworzyć chciały. Lato zaś zagranicą przepędza się najczęściej pod gołym niebem, w ogrodach, na przechadzkach i koncertach.

Tu zaś bardzo łatwo o znajomości, o towarzystwo. Najwygodniej jest u wód zagranicznych.

Czy pan Ansgary miał słuszność trudno wiedzieć.

Parafia nie lubi zazwyczaj tego rodzaju kobiet, do jakich należała pani Modesta. To też i opinia parafii dla nich jest czasem niesprawiedliwa.

Pani Modesta była wesołą, śmiała się zawsze, a wejście miała takie, jakby każdego chciała do siebie przyciągnąć. Przytém paliła cygara, jeździła konno, lubiła towarzystwo wojskowe — a przedewszystkiem nie cierpiała kobiet.

Mogły to być tylko oznaki lwicy parafialnej, poza któremi nic innego prócz chęci odznaczenia się nie było — ale parafia wzięła je za prawdę i wydała na młodą, bawiącą się wdówkę wyrok bardzo niekorzystny!

Otóż stało się pewnego dnia, gdy już zima była na schyłku i jakby przed śmiercią jeszcze raz wszystkie siły swoje wyczerpała — że major dostał nagle ochoty przesankować się wśród śnieżnej zamięci jeszcze po raz ostatni.

Przypowiadał bowiem po tej mroźnej burzy deszcz wiosenny.

Prosperowi ta jazda wśród burzy bardzo się podobało. Byłby nawet rad z wichrami iść w zawody, bo usposobienie jego było teraz bardzo podobne do wichrów!

Rekuza Bonusi dziwnie go zmieniła.

Przed tą rekuzą zdawało mu się, że sięga po ciche skromne szczęście ręką spokojną. Bonusię kochał wpraw-

dzie, ale przy tój miłości nie czuł bynajmniej owych gwałtownych drgnień serca, jakie z przeszłego epizodu życia swego zapamiętał. Cicho, spokojnie dążył do portu, a kto wie, czy zdążywszy do niego nie byłby kiedy przypomniał sobie tego epizodu, w którym inaczéj mu się miłość przedstawiała?...

Dzisiaj jednak po rekuzie, po stanowczém oświadczeniu Bonusi, że mu serca i ręki swojej odmawia, nabrało uczucie jego innego, poważnego a nawet tragicznego nastroju!

Czuł się bardzo nieszczęśliwym, a stracone jego marzenia wyglądały teraz tak ochoczo w magiczném oświehleniu boleści, jak ich pierwéj nigdy nie widział!

Oddalający się od niego obraz Bonusi miał teraz tyle uroku, tyle powabu... jaki zazwyczaj mają marzenia, które tracimy!

Gwałtowna, wielka burza powstała w jego duszy i zatarła do szczętu wszystkie wrażenia, które tam pozostały z przeszłego epizodu.

Dzisiaj nad Bonusię nie było dla niego kobiety na świecie — świeciła przed nim jak ideał, którego ręką dostać nie można!

Takie było usposobienie Prospera.

W takim usposobieniu przystał jak najchętniej na przejażdżkę śród mroźnej burzy, bo ta burza była dzisiaj jego żywiołem!

Z uroczystą miną, jakby we fałdach swego płaszcza chował bardzo ważne rzeczy, wsiadł major do sanek. Prosper wskoczył za nim lekko jak człowiek, który jest w swoim żywiole.

Woźnica podciął rumaki.

Jazda była szalona. Pękate, z zimna opuchłe wierzby migaly się przed oczyma. Śniegu tumany snuły się jak białe widma po niezmierzonej równinie, a wiatr północny odrywał od zmarzłej ziemi bryły lodu i toczył nimi po zagonach!...

Prosper nie patrzył nawet gdzie jedzie—droga była mu obojętna.

Po dwugodzinnéj szalonnéj gonitwie, przetań major oczy i kazał woźnicy stanąć.

Prosper zapytał o przyczynę.

— Coś mi słabo! ozwał się major przecierając ręką czoło.

Prosper spojrział z niepokojem na majora.

Major miał kilka razy napady apopleksyi.

— Gwałtownie uderza mi krew do głowy! ozwał się znowu major po chwili.

Prosper przestraszył się.

— Moznaby wstąpić do karczmy ogrzać się! rzekł biorąc majora za rękę.

Major schował brodę do chustki i odparł:

— Dobrzeby było ogrzać się — ale karczmy tutaj nie ma!

Prosper powstał i spojrział do koła.

— Widzę niedaleko dwór — rzekł z niepokojem — dwór... Klonowicy!

— Chcesz mnie zawieść... do pani Modesty?

— A cóżby w tém było złego?... W takim razie.

— Dla ciebie — to nie wypada!

— Jedź Bartek! krzyknął Prosper, a po chwili wziął sam lejce i całym pędem ruszył — do dworu pani Modesty.

Pani Modesta przyjęła z otwartemi ramionami niespodziewanych gości...

Prosper zaraz na progu oznajmił pięknej lwicy powód tak awanturniczej wizyty — ale major na nieszczęście tak zdrowo wyglądał i taki był wesół, że piękna wdówka rozkosznie się uśmiechnęła, Prospera nawet po kamieniu za niewinne kłamstwo uderzyła i drogich swoich gości na herbatę zatrzymała.

Za kilka dni mimo śnieżnych zamieci obwoził pan Ansgary wiadomość po całej parafii, że Prosper dostawszy odkosza od Bonusi, zwrócił się do pięknej wdówki i wśród największej burzy u niej wraz z majorem, który go swatał, wesoły wieczorek przepędził!...

Pani Szymonowa dodała do tego jeszcze kilka szczegółów, a panny Szymonówny dowiedziały się, że pani Modesta grała na tym wieczorku „Przebudzenie się lwa“ a pan Prosper nuty przewracał.

XLIV.

LAURY MAJORA.

Tak stały rzeczy, gdy pewnego dnia nad wieczorem wszedł major do dworku pana Nazaryusza.

Pan Nazaryusz spojrział szybko na majora, czy z twarzy jego co nie wyczyta. Ale major był dzisiaj od stóp do głowy dyplomata i wyglądał jak ambasador, z którego twarzy nie można poznać, czy przynosi z sobą pokój czy wojnę!

Major pominął nawet pana Nazaryusza, przystąpił tylko do ciotuni i w rękę ją pocałował.

Bonusia blada i prawie przezroczyśła siedziała nad jakąś książką.

— Cóż tam majorze nowego nam przynosisz zagadnęła ciotunia.

— Nowego? Prócz śniegu, burzy i plotek parafialnych nie ma nic nowego! odparł z chmurką na czole major.

— Każda plotka mieści część prawdy w sobie, zauważyła z smutnym uśmiechem Bonusia

— Tyle prawdy ile w tych romansach, co pani czytasz! odpowiedział Bonusi major.

— W romansach jest czasem wiele prawdy!

— A kiedy to?

— Wtedy, gdy autor pisze o *poświęceniu się* kobiety!

— O poświęceniu się? Cóż to za rzecz przyjemna — poświęcać się!

Twarz Bonusi ożywiła się.

— Jakto? zawołała z rumieńcem, pan major nie rozumiesz rozkoszy poświęcania się?

— Hm, hm, mruczał major chowając brodę do chustki — poświęcenie się, poświęceniu się nie równa... ciekawy jestem w jaki sposób kobieta poświęcić się może!...

— Ach panie majorze, zawołała w zapale Bonusia, nie odbieraj pan nam najpiękniejszych uczuć naszych!... Poświęcenie się kobiety jest to coś tak szczytnego, o czém mężczyźni nawet wyobrażenia nie mają!...

— Hm, hm... nie widzimy wcale dzisiaj tych poświęceń się!

— Niczego nie żałuję jak tego, żem się nie urodziła w pierwszych wiekach chrześcijaństwa! Rozkosz przebiega żyły moje, że wtedy za piękną ideę, za wiarę naszą, można było żywcem dać się spalić na stosie ognia!...

Twarz Bonusi zarumieniła się, oczy zagrały tęczywém światłem.

Major schował brodę i uśmiech do chustki, mrugnął z ukosa do pana Nazaryusza i długi czas krząkał, aby rozmowę na inne pole sprowadzić, i pewną pauzą ją od danego tematu oddzielić.

— Hm, hm, ozwał się wreszcie, niech panna Bonusia nie ma mi za złe, jeżeli ja tak niegodziwie w dzisiejsze poświęcenia się nie wierzę — bo oto w domu pod bokiem mam wielkie zmartwienie!...

— Czy to prawda? zagadnęła ciotunia i urwała.

— Prawda! Prawda! odpowiedział major, wiem o coś pani zapytać chciała!

— Więc na prawdę żeni się pan Prosper z panią Modestą?

Bonusia wstrzymała oddech. Łzy drżały jej pod powieką.

— Żenić nie żenić się, odpowiedział major mrugając na pana Nazaryusza — ale, ale ma się coś ku temu!... I to całe zmartwienie moje!

— Mówią, że major go swatasz!

— Uchowaj Boże! To plotki!... Jabym go tam swatał!... Ja nocami spać nie mogę, że coś podobnego może się w głowie Prospera pomieścić! Gdyby mnie kochał, mógłby dla mnie poświęcić tę myśl niedorzeczną!... Nieprawdaż panno Bonusiu?

— W samej rzeczy... to myśl... niedorzeczna! wyszeptala przytłumionym głosem Bonusia!

— A mnie każesz pani wierzyć w jakieś tam poświęcenia się!...

— Może pan Prosper tak nie myśli! zauważyła ciotunia.

— Gdzie tam pani! Na seryo myśli! Jak panią szacuję!... Są sytuacje w życiu człowieka, w których już nic nie widzi, tylko na oślep goni choćby i w przepaść!...

— Dobrze, ale musi być jakiś powód do tego! wtrąciła nieśmiało Bonusia.

— Powód?... hm, hm... powody muszą być różne. Czasami zapala człowieka namiętność, czasami popycha go mszcząca ręka Nemezy; a czasem przyczyną tego jest — serce zranione!

— Serce zranione, cicho powtórzyła Bonusia.

— O tak, tak... serce zranione to może człowieka wtrącić w największe nieszczęście! A charakterystyczną rzeczą jest przytém, że człowiek jasno swoje nieszczęście widzi, i mimo to z całą świadomością w nie się rzuca!... Podobnym on jest wtedy do kozy, która unikając strachu rzuca się w przepaść!...

Bonusia na to nic nie odpowiedziała. Siedziała blada i zamysłona chwil kilka, potem wstała i już więcej do gościa nie wyszła.

Major miał teraz w obec ciotuni bardzo bardzo trudną rolę.

Ciotunia słowa majora wzięła na seryo i mocno się tém zmartwiła.

Major musiał dla niej także mieć minę zmartwioną, ale widać było po jego twarzy, że wewnątrz mocno się cieszył.

.
.

Na drugi dzień, ledwo świtać zaczęło, zapukał pan Nazaryusz do pokoiku majora.

— A co? zapytał major pewny zwyciężkiego biuletynu.

— Dzięki Bogu dobrze! odparł uśmiechniony pan Nazaryusz — ale... ale... któż to dzisiaj kobiety zrozumie Na honor, za naszych czasów to jakoś inaczej bywało na świecie!

— Cóż tam?

— Płakała przez całą noc! Przed świtaniem wstała, przyszła do mnie, uklękła, rozplakała się i rzekła:

— Niech mi ojciec pozwoli... ja się chcę *poświęcić!*

— *Poświęcić!* krzyknęłam przestraszony, bo myślałem, że żywcem chce się spalić!

— Tak jest, *poświęcić* się, odpowiedziała—*poświęcić* się — dla pana Prospera.

Na dalsze moje zapytania mówiła, że Prospera wprawdzie kocha całą duszą, że bez niego na świecie żyć nie może, ale opinia parafialna nie pozwalała jej przyjąć jego oświadczenie. Dzisiaj zaś, gdy on tak szalony krok chce uczynić, gdy ma to przekonanie, że on pani Modesty kochać nie może i tylko z rozpaczycy dobrowolnie świat sobie zawiązuje—więc chce się dla niego *poświęcić* i przyjąć jego oświadczenie!

— Cha, cha, cha! zaśmiał się major i zatarł ręce — ale cyt! Nie przeszkadzaj jej sąsiedzie, i owszem niech się *poświęca!* Będzie to jedno z najlepszych dzisiejszych poświęceń!..

I śmiał się serdecznie stary major.

— Ba, ale to poświęcenie się ma jeszcze jeden warunek! ozwał się pan Nazaryusz.

— Jakiż tam warunek?

— Bonusia jest tego zdania, że opinii parafii tém poświęceniem się w żaden sposób zwalczyć nie można.

Dla tego stawia warunek, aby Prosper z parafii wyjechał i napowrót do swego zawodu wrócił. Tam, w wielkiem mieście, lub gdzie przy budowie kolei żelaznej nie będą ludzie ich znali, ani o tém wiedzieć co przed ślubem było!

Major podskoczył tutaj do góry. Ucałował serdecznie pana Nazaryusza i odparł:

— Nieoceniona jest twoja Bonusia! Czego ja całym moim wpływem nie dokazałem, tego ona jak widzę dokaze!... Przecież i ta *opinia parafialna*, czasem tak poniewierana przydała się do czegoś dobrego!... Wiiesz, że go wychowałem w tym celu, że praca osobista, a nie oddziedziczony majątek powinien być celem jego życia!... Uważam to za najzgubniejszą rzecz w naszych tradycjach, że trzymamy się tytułu obywatelstwa ziemskiego, a stronimy od innych tytułów pracy osobistój. Ztąd cały nasz upadek! I Prosper uległ tem nałogowi... ale dzięki Bogu wykuruje się teraz! Ho, ho, ten warunek Bonusi musi być *sacrosanctas!*... Zaraz ja go tam wyślę!

I ucałowali się serdecznie obaj sąsiedzi a na progu szepnęła jeszcze major panu Nazaryuszowi do ucha:

— Widzisz sąsiedzie, jak ja to gładko wszystko urządziłem. Tylko dyplomatycznie trzeba brać się do dzieła... dyplomacya to nasza wygrana!

Pan Nazaryusz uśmiechnął się na to, jakby temu zdaniu sąsiada nie wierzył, uściśnął mu rękę i drzwi za sobą zamknął.

Za kilka chwil stał Prosper z rozpromienioną twarzą przed majorem.

— Teraz idź i zegnij kolano przed tą dziewczyną kończył major swoją harangę.

Prosper już dawno dawał oznaki niecierpliwości.

— Dwóch rzeczy zazdrościć ci teraz, mówił dalej major podgartując czuprynę — twoich lat i miłości, jaką cię kocha to blade dziewczę!

Prosper brał za kłamkę.

— Ale nie warjuj! Dziewiątej godziny jeszcze nie ma!... Zaczekaj—gderał dalej major—ale pamiętaj o warunku.

— I tak myślałem już wrócić do mego zawodu, odpowiedział Prosper i spojrział na zegarek.

— To dobrze myślałeś! Może to najlepsze jest z całej twojej awantury!... Wierzaj mi, serce ścisza mi się z bólu, gdy na biednej wioszczynie widzę pięciu lub sześciu drągali, którzy aby nie stracić tytułu obywatela ziemskiego, objadają ojca, polują z hartami i w karty grają — a od pracy osobistej uciekają, bo pracą osobistą nie można — posagów łowić!

— Ba, ale nie wiem, czyja większa wina, czy tych co łowią, czy tych, co w ten sposób łowić się dają?...

— Masz słuszność — widzę, że nieszczęście i Bonusia nauczyły cię rozum!

— Przecież i ten *przypadkowy* wieczorek u pani Modesty ma także pewną zasługę!

Major odkrząknął, potwierdził głową, ale w oczy Prosperowi nie spojrział, jak to zawsze czynić zwykli zawołani dyplomaci.

XLV.

WESELE I SMUTEK:

Za dwa miesiące, gdy wiosna białym kwiatem wszystkie ogrody pokryła — odbył się prawie zupełnie w ciichości, tajemnicy, jak tego sobie panna młoda życzyła skromny ślub w kościółku parafialnym miasteczka.

Widzami i świadkami tego uroczystego aktu była tylko garstka mieszczan, którzy przy wejściu z kościoła państwu młodemu serdeczne życzenia składali.

Parafia o tym ślubie prawie nie wiedziała, bo była wielką nowiną mocno zaalarmowana.

Oto jeden z parafian pojechał był do Paryża na wystawę i tam odszukał hr. Ossolińskich, aby im swoje parafialne uszanowanie złożył.

Dotąd pani Patrycja opowiadała zawsze cuda o przeptychu, z jakim w Paryżu żyje jej córka hrabina Ossolińska.

Sama Alodya pisywała długie listy do dawnych sąsiadek, z którymi dawniej nawet mało się znała, donosząc im o wielkiem swoim szczęściu, o zaszczytach jakie ją

spotykają za mężem tak znakomitego nazwiska, opisała bale w *hôtel de ville* i Tuileryach, na których była...

Listy te były tak długie i szczegółowe, że mogły wzbudzić nieufność...

Teraz rzecz się wyjaśniła.

Parafianin odszukał na szóstém piętrze panią hrabinę i widział ją na własne oczy gotującą na małej kuchence jakąś strawę nader prostą...

Salony składały się z dwóch izdebek na poddaszu...

Rodacy mieszkający w Paryżu śmieli się z paszportu hrabiego Ossolińskiego i mieli go za prostego przemysłowca, który różne role odgrywał...

Czém się teraz trudni, parafianin nie dowiedział się, ale widział nędzę, nędzę ostatnią!...

Pocziwa parafia zasmuciła się, gdy się o tém dowiedziała!

Widziała ona zawsze pewne bohaterstwo w kobiecie, która dla opinii parafialnej zrobiła ofiarę z całego życia swego, aby tylko w parafii — fałszywym blaskiem mniemanego szczęścia błyszczyć!...

A bohaterstwo biednej kobiety było tém większe, że poświęciła się więcej dla próżności matki, która jej zwichnione dała wychowanie!...

Ileż to podobnych Alodyi jest bohaterek...

Ileż to ich nie poświęca się dla *opinii parafialnej!*

Smutek pocziwój w gruncie parafii przeszedł nawet w oburzenie, gdy się dowiedziano, że mniemany dzierzawca pani Patrycyi po tych nowinach wystąpił jako właści-

ciel pięknych niegdyś dóbr i jako taki w tabuli krajowej się zapisać kazał!...

Wesele w dworku pana Nazaryusza nie przerywało tego smutku parafii. Nie było ani muzyki ani tańców.

Wszyscy zaś byli szczęśliwi, bardzo szczęśliwi. .

Zaraz nazajutrz mieli państwo młodzi wyjechać daleko od parafii, jak tego sobie Bonusia życzyła, gdzie Prosper miał objąć budowę kilku mil kolei żelaznej. .

Major cieszył się z tego, a nawet pił zdrowie przyszłego dyrektora kolei żelaznej, a sam obiecywał pod przysięgą, że razem z panem Nazaryuszem będzie mu wiernie gospodarować na ojczystym zagonie!..

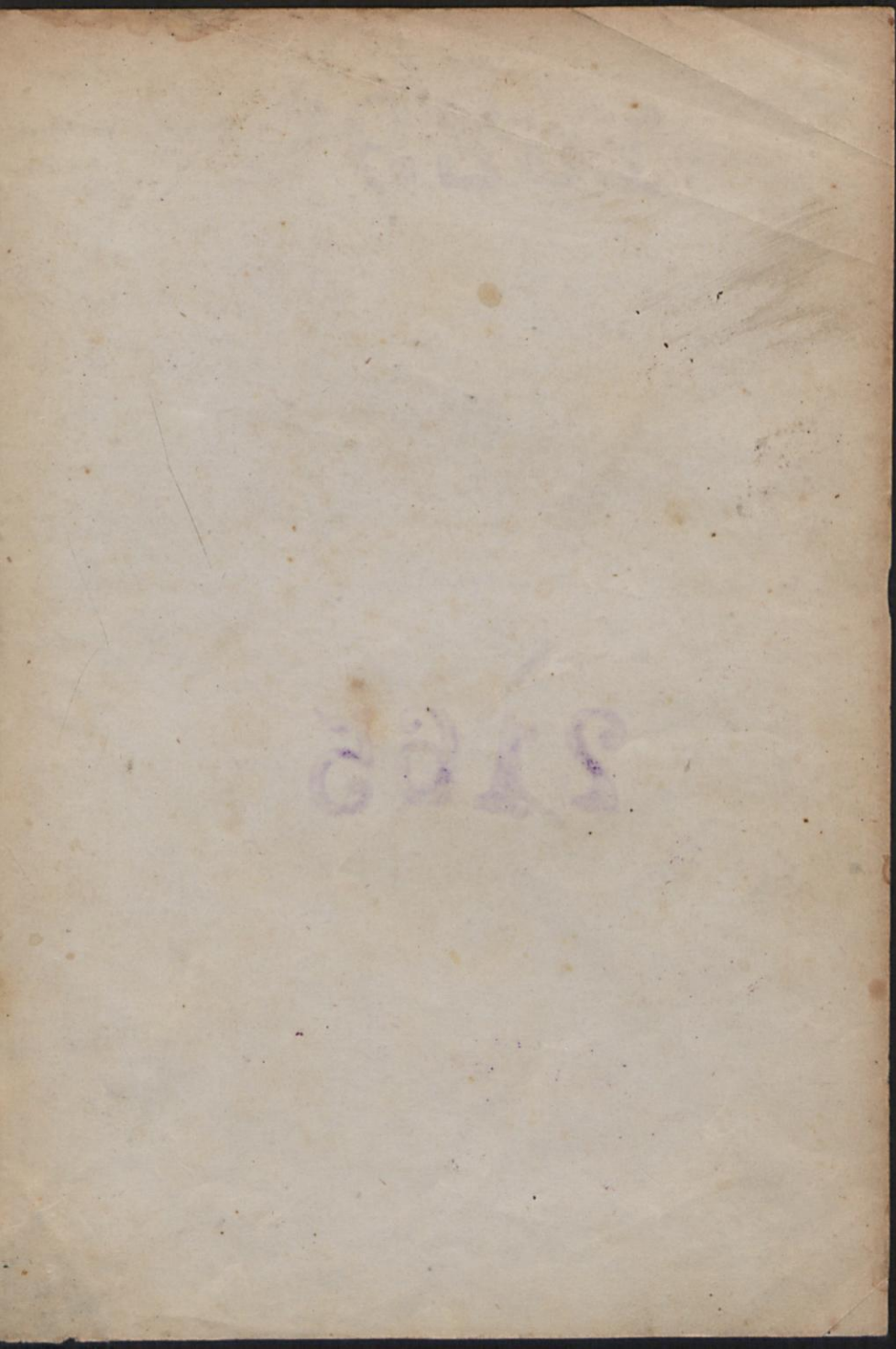
W końcu nawet do tego stopnia radości się uniósł, że w obec wszystkich gości weselnych obiecał chrząszcze swoje i motyle dać na zabawkę pierwszemu prawnukowi!

Pan Nazaryusz uświetnił ten akt uroczysty świetnym toastem!



ONIEC.





1329

~~2165~~

66		39
1220	8	16
27	35	13
45	39	30
52	57	34
65	64	47
78	76	63
89	91	68
	71	63
	78	88
	87	85
	96	90

Księgozbiór BP



10098894

Zamosc ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

